KOLEJNA FANABERIA WŁADZY

Donald Tusk wkrótce wpadnie w pułapkę KSeF. Kto ją zastawił?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 3/663 12–18 STYCZNIA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Polscy politycy pogubili się w sprawie ataku Trumpa na Wenezuelę

Czy istnieją dobrzy Niemcy?

Grzegorz Braun – bicz na III RP

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

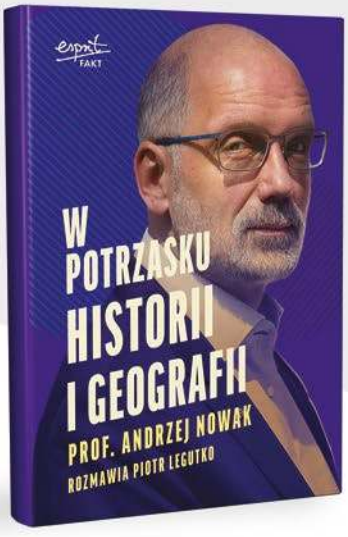

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PROF. ANDRZEJ NOWAK, ROZMAWIA PIOTR LEGUTKO: „W POTRZASKU HISTORII I GEOGRAFII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~740~~ ZŁ

308,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 432 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 6f6219898c

Olaboga, historia się nie skończyła

PAWEŁ LISICKI

Gdyby nie konsekwencje, byłoby to nawet zabawne – mam na myśli reakcje zszokowanych liberalnych elit nową polityką prezydenta Donalda Trumpa i jego coraz bardziej jednoznacznymi roszczeniami do Grenlandii. O ile porwanie z Wenezueli prezydenta Nicolása Maduro miało miejsce daleko i dotyczyło, jakby nie było, komunistycznego dyktatora, o tyle jasno zgłaszany postulat (a właściwie ultimatum) przechwycenia przez USA autonomicznego regionu pod zwierzchnością Danii ma całkiem inny charakter. Co ciekawe, ani sam prezydent USA, ani jego doradcy nie próbują nawet usprawiedliwiać swoich żądań. Prezydent USA najpierw wspominał o tym, że Grenlandczycy mają prawo sami decydować o sobie, ale dodawał: tak czy inaczej, zdobędziemy ją (czyli Grenlandię). Kilka dni temu powiedział, że USA „absolutnie" potrzebują Grenlandii dla własnej obrony, bo w rejonie arktycznej wyspy roi się od rosyjskich i chińskich okrętów. Innymi słowy, jedynym motywem przejęcia tego terytorium ma być potrzeba bezpieczeństwa USA.

Z kolei w rozmowie z CNN Stephen Miller, wpływowy doradca do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego i zastępca szefa personelu Białego Domu, pytał, „na jakiej podstawie" Dania rości sobie prawo do kontroli nad Grenlandią. W odpowiedzi na pytanie, czy USA gotowe są użyć siły do przejęcia Grenlandii, stwierdził, że „żyjemy w świecie, w realnym świecie rządzonym siłą, potęgą [...]. To są żelazne prawa tego świata od zarania dziejów". Podobna była wymowa specjalnego oświadczenia Białego Domu, według którego „użycie amerykańskiego wojska jest zawsze opcją". Oczywiście Waszyngton ma też w zanadrzu opcję wykupu wyspy za odpowiednią sumę. Chociaż trudno to nazwać operacją finansową, gdy niechętnemu partnerowi przykłada się do głowy symboliczny rewolwer. Albo sprzedacie, albo weźmiemy sobie sami – mówi Duńczykom Waszyngton.

Łatwo zauważyć, że takie stawianie sprawy – potrzebujemy nie naszego terytorium, bo tak uważamy – nie ma nic wspólnego z jakkolwiek rozumianymi zasadami współczesnego prawa międzynarodowego. Jest to po prostu odwołanie się do zasady nagiej siły, jeśli można tu mówić o zasadzie. Amerykanie nie zasłaniają się w tym przypadku odwołaniem się do reguł demokratycznych – być może dlatego, że – jak wynika z sondaży – obecni mieszkańcy Grenlandii, nawet ci, którzy nie chcą pozostawać pod zwierzchnictwem Kopenhagi, nie chcą też w większości podporządkować się Waszyngtonowi.

Ba, można by wręcz utrzymywać, że chęć przejęcia na własność Grenlandii oznacza jeszcze bardziej poważne naruszenie reguł prawa międzynarodowego niż to, co zrobiła Rosja względem Krymu w 2014 r. Po pierwsze zdecydowana większość mieszkańców półwyspu była Rosjanami, po drugie Moskwa mogła się powoływać, nawet jeśli Ukraina je odrzucała, na argumenty historyczne. W przypadku Grenlandii nie ma mowy o uwzględnieniu stanowiska miejscowej ludności, a argumentów historycznych, nawet najbardziej wątpliwych, brak. Po prostu Waszyngton twierdzi, że Grenlandii potrzebuje. A kto tak nie uważa, niech próbuje się sprzeciwić. Mamy siłę i tyle – mówią Amerykanie.

I pomyśleć, że jeszcze trzy miesiące temu Mette Frederiksen, premier Danii, twierdziła, że „z europejskiej perspektywy istnieje tylko jeden kraj, który jest gotowy nam zagrozić, a jest to Rosja, dlatego potrzebujemy bardzo zdecydowanej odpowiedzi" – oczywiście było to wezwanie do wsparcia walczącej z Rosją Ukrainy. Teraz pani premier tupie nogą i woła: „Zdecydowanie wzywam Stany Zjednoczone, aby przestały kierować groźby pod adresem historycznie bliskiego sojusznika, a także pod adresem innego kraju i innego narodu, który jasno oświadczył, że nie jest na sprzedaż". Olaboga, ojejku, no na pewno Biały Dom się wzruszy.

Cóż, państwa europejskie mają to, na co same zasłużyły. Wpadły w pułapkę bezalternatywności. Dania może sobie protestować ile wlezie, podobnie jak wspierający ją politycy europejscy, ale nie zmieni to w niczym sytuacji – postawili wszystkie karty na USA i teraz się dziwią, że muszą za to płacić. Na otarcie łez Kopenhaga dostanie może rekompensatę finansową.

Elity europejskie zapomniały o własnych narodowych interesach, wierząc, że zostały one zastąpione przez interes lewicowo-liberalnej, transatlantyckiej międzynarodówki. Od samego początku wybuchu konfliktu na Ukrainie państwa europejskie po prostu były narzędziem w ręku globalistycznego Waszyngtonu – dlatego wspierały Kijów i dążyły do osłabienia Rosji. W chwili, gdy USA porzuciły agendę globalistyczną, Europejczycy znaleźli się z ręką w nocniku. Nagle Waszyngton zaczął zachowywać się jak klasyczne imperium. Chce Grenlandii dlatego, że to służy jego egoistycznym interesom. Ciekawe, jakie inne jeszcze terytoria „absolutnie" się USA należą?

Kolejne posunięcia Trumpa pokazują, że dawny, liberalny porządek leży w gruzach. Nie nastąpił koniec historii, wręcz przeciwnie, ruszyła ona w podskokach przed siebie. Kto pierwszy to zrozumie i kto pierwszy wyciągnie z tego wnioski, ten straci najmniej. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

TEMAT TYGODNIA

14 MIKOŁAJ DROZDOWICZ
CO NAM MÓWI GRZEGORZ BRAUN?
Fenomen politycznego performera

18 PIOTR SEMKA
BIAŁY SŁOŃ

22 ROZMOWA Z MARIUSZEM RATAJCZAKIEM
TAM, GDZIE ZACZYNA SIĘ TYRANIA. GRZEGORZ BRAUN PRZED SĄDEM

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 JAN FIEDORCZUK
POLSKA NA BOCZNYM TORZE
Polityczna sztuka dla sztuki

48 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
PATRIOCI Z GIĘTKIM GRZBIETEM

50 ŁUKASZ WARZECHA
ATAK USA NA WENEZUELĘ. POLSCY POLITYCY POGUBIENI

53 BOGDAN CHAZAN
DEMOGRAFIA NA SOR

56 FILIP MEMCHES
ANTYKOMUNIZM ANACHRONICZNY

HISTORIA

58 ROBERT BOGDAŃSKI
CZY ISTNIEJĄ DOBRZY NIEMCY?
Zamilczanie niemieckich zbrodni

60 ROZMOWA Z TOMASZEM SPECYAŁEM
NIE TYLKO NIEDŹWIEDŹ WOJTEK, LECZ TAKŻE NIEDŹWIEDZICA BASIA

ŚWIAT

64 JACEK PRZYBYLSKI
PAX TRUMPIANA
W erze Trumpa liczą się tylko wpływy i siły

67 MACIEJ PIECZYŃSKI
OKUPACJA, CZYLI NOWE ŻYCIE

70 ROZMOWA Z JAKIEM BAUDEM
ROSJA WOJNĘ Z UKRAINĄ WYGRYWA

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
KTO ZASTAWIŁ PUŁAPKĘ KSEF?
Kolejna fanaberia władzy

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CO PO ŻURKU?
Demolka wymiaru sprawiedliwości

27 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
NIEMIECKIE ZIOMKOSTWA „WYPĘDZONYCH" W POLSCE

30 RADOSŁAW WOJTAS
BERLIN I BRUKSELA CENZURUJĄ INTERNET W POLSCE?

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KNEBLOWANIE KANAŁU

KULTURA

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
NASZE DOBRO NARODOWE
Pokłosie Roku Wańkowicza

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TRZEJ KRÓLOWIE I DAMA DWORU

40 PIOTR GOCIEK
AMERYKAŃSKA UTOPIA

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 6f6219898c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Michał Kość/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Amerykańska korekta

W kilku ostatnich numerach Waszego poczytnego Tygodnika omawiacie założenia nowej strategii Bezpieczeństwa Narodowego w Ameryce. Piszecie, że Amerykanie uznali, iż bycie „żandarmem świata" było błędem, „kolorowe rewolucje", eksport amerykańskiej demokracji do różnych zakątków świata, usuwanie tyranów, despotów nie służyło amerykańskim interesom.
Wszystko się zgadza, ale jak zwykle musi być jakieś „ale". Chodzi mi o odpowiedzialność. Po amerykańskich wyczynach, zdestabilizowaniu porządku świata, trzeba posprzątać. Dlaczego Europa, dotknięta tak ciężko lewackimi idiotyzmami, musi się mierzyć np. z masowym zalewem przez obce nam kultury i cywilizacje?
Przecież gdyby żył Kaddafi, to czy chociaż jeden ponton, jedna łódka odbiłaby od brzegów Libii? Czy Husajn pozwoliłby na tak masowy odpływ ludzi z Iraku? Przykłady można mnożyć. Dlaczego my mamy za to płacić?
Może ktoś odważny zwróciłby się do USA o partycypowanie w kosztach utrzymania, a może wkrótce deportowania nielegalnych imigrantów do rodzinnych krajów? Może trzeba by stworzyć im warunki we własnych krajach, aby nie chcieli wyjeżdżać? Ale na to potrzebne są pieniądze. Bardzo łatwo jest burzyć, destabilizować, o wiele trudniej budować.

Z poważaniem
ED-TA

Jankeski mir

Szanowni Państwo,
zanim jeszcze na dobre zaczął kadencję, prezydent Obama otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, prowadząc dwie wojny. Obecny prezydent Trump nie otrzymał owej nagrody bezpośrednio, chociaż podobno o niej marzył, wspierając jednocześnie ludobójstwo w Strefie Gazy oraz pomysły typu stworzenia w jej miejscu riwiery i przeniesienia odwiecznych mieszkańców do jakiegoś afrykańskiego Nibylandu, naprędce uznanego przez Izrael za państwo. Można by jednak rzec, że dostał ją pośrednio – zadedykowała mu ją mianowicie ubiegłoroczna pokojowa noblistka z Wenezueli, pani María Corina Machado. Niedługi czas potem pan Trump może się pochwalić manewrem zaiste godnym tej nagrody – [...] porwaniem prezydenta Wenezueli wraz z żoną. Jankeski mir godny swej nazwy!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Ile zarobił ZUS?

Droga Redakcjo,
czytam właśnie, że OFE zarobiły w ubiegłym roku średnio 42,1 proc. Mam pytanie do pana premiera Tuska: Ile w tym czasie zarobił ZUS? Ja wiem – nie moje pieniądze, bo inaczej państwo by ich sobie nie wzięło – więc nie powinienem się interesować. A jednak wyobraźnia pracuje.

Serdeczne pozdrowienia
Pamiętliwy wyborca

Świątecznie

Radosnych świąt
Dla tygodnika, co jest jak prawdy dorzecze,
Co chce i musi nad informacją trzymać pieczę.
Wiary i nadziei w nieustającej medialnej drodze,
Niech polska informacja rozbrzmiewa ku przestrodze.
Kierunek wytyczony na Gwiazdę Betlejemską,
Bóg wam sprzyja, władając mocą nieziemską!

PS Redaktorze, informacji profesorze,
Mój Boże!
Wnikliwy rozum, co w szał wpędza
Niektóre loże.

23 GRUDNIA 2025 R.
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 6f6219898c

NA PIERWSZY OGIEŃ

Amerykorealizm – towar rzadki

PIOTR SEMKA

„Biedny Meksyk – Pan Bóg tak daleko, Stany Zjednoczone tak blisko" – napisał kiedyś meksykański pisarz Carlos Fuentes. Przez lata oglądane przez Polaków w zagranicznych filmach lub w książkach literatury liberoamerykańskiej narzekania na bezwzględność jankesów były w Polsce zazwyczaj przyjmowane wzruszeniem ramion. To naturalne, bo cierpieliśmy ucisk Moskwy, a Ameryka jawiła się nam jako naturalny sojusznik.

Wiele państw ma w swej historii odległego sojusznika z konieczności. Przykładowo: Portugalia, przez stulecia zagrożona pretensjami terytorialnymi Hiszpanii, zawarła sojusz przyjaźni z odległą Anglią. Dla odmiany Szkoci, zmagający się z naporem Anglików z południa, otrzymywali pomoc od Francji.

Z tego właśnie powodu wynika polska amerykanofilia. Jej efektem jest brak reakcji większego oburzenia na atak Donalda Trumpa na Wenezuelę czy upominanie się przez Waszyngton o Grenlandię. Ta amerykanofilia jest dość często wyśmiewana i zawsze można znaleźć przykłady na to, że Ameryka zawiesza na kołku swoje szczytne ideały i brutalnie realizuje własne interesy. W tym kontekście przypomina się zdradę Roosevelta w Jałcie, skazanie Indochin na czerwony potop w połowie lat 70. czy też – sięgając do całkiem niedawnych czasów – decyzje Obamy o rezygnacji z umieszczania w Polsce tarczy antyrakietowej. Rzecz jednak w tym, że choć Ameryka nie jest stuprocentowo pewnym aliantem czy raczej protektorem, to żadnego lepszego na razie nie widać. W zdolność Francji i Niemiec do bronienia Polski przed Rosją wierzą chyba tylko najbardziej zakuci platformersi. A Rosjanie są raptem 300 km od Warszawy. Na dodatek opinie, że presja Trumpa na Grenlandię, terytorium należące do Danii, członka NATO, jest dla nas groźna, bo wysadzi w powietrze istnienie NATO, nie robią już aż takiego wrażenia, dlatego że NATO jest już cieniem dawnej formy z najlepszych lat. A sama Europa bez Ameryki jest za słaba, żeby postawić się Putinowi. Takie rojenia o europejskiej sile obronnej jawią się tylko jako propagandowa zasłona dla apetytów niemieckich i francuskich firm zbrojeniowych na intratne kontrakty.

Trzeba się rozglądać w nowej rzeczywistości. Ameryka Trumpa, silna na tyle, by wysadzić z siodła prezydenta Maduro i twardo wskazująca, że słabiutka Dania nie jest w stanie obronić Grenlandii przed ambicjami militarnymi Chin i Rosji, to dla nas lepsza sytuacja. I wzdychanie iluś sierot z obozu Platformy do powrotu demokratów w stylu Joe Bidena to oszukiwanie samego siebie. Jeśli ktoś w ogóle może zatrzymać Rosję albo ją sparaliżować, to może to zrobić tylko Ameryka Trumpa. Owszem, nie ma 100 proc. gwarancji, że kiedyś Trump nie odwróci się od Europy Środkowej. Ale na razie uważa ją za swoją strefę wpływów. Dlatego wielu Polaków nie martwi Trump pokazujący swoją siłę i zatrzymujący przy użyciu okrętów rosyjskie tankowce. Że to wszystko za mało wyrafinowane? Być może. Ale lepsze to niż wiara w solidarność europejską i niż przygotowywanie się do zginania karku przed Rosją. ©℗

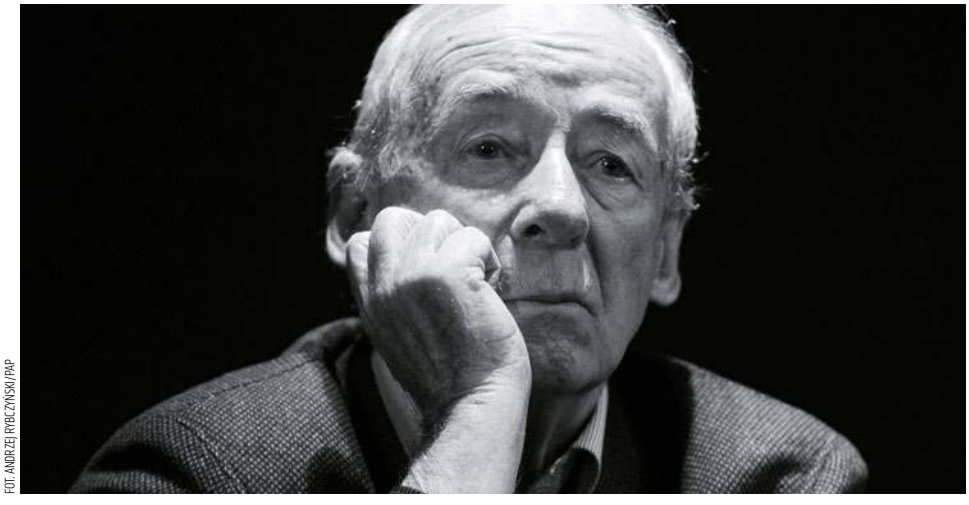

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

ZMARŁ ANDRZEJ PACZKOWSKI

W wieku 87 lat zmarł 3 stycznia 2026 r. prof. dr hab. Andrzej Paczkowski – wybitny polski historyk, wykładowca akademicki oraz taternik i alpinista. Urodził się 1 października 1938 r. w Krasnymstawie. Studia historyczne ukończył na Uniwersytecie Warszawskim. W 1980 r. został członkiem Solidarności. Po 1989 r. był m.in. członkiem Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 6f6219898c

PŁYWANIE W KISIELU

Poczciwcom już dziękujemy

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Trudno rozstrzygnąć, co wygrałoby w konkursie na najgłupsze z dokonań rządu Tuska – konkurencja jest naprawdę ostra. Ale prawo nakazujące „neutralne płciowo" formułowanie ogłoszeń o pracę pod karą 5 tys. zł grzywny jest mocnym kandydatem do takiego tytułu. Jest ono tak głupie, że nawet głośna ostatnimi czasy Państwowa Inspekcja Pracy, która z mocy ustawy ma „neutralności" pilnować i wlepiać owe grzywny, gdy dawała ostatnio ogłoszenia, pisała o chęci zatrudnienia „radców prawnych", a nie „osób radcowskich" – co jej z lubością wytknęli zawsze skłonni do zgrywy internauci. Zresztą nie tylko jej, Internet kipi od skrinów ogłoszeń instytucji państwowych i samorządowych, które poszukując pracowników, nie sięgają po nakazane przez swoją własną władzę „neutralne" wygibasy.

Ukoronowaniem absurdu były dwa wywiady. W pierwszym sztandarowa „ministra" Lewicy, pani Dziemianowicz-Bąk, spytana, czy nie widzi, jak absurdalne przepisy przeforsowała jej partia, wybąkała coś pod nosem w duchu, że ma nadzieję, iż ludzie będą do nich podchodzić „rozsądnie". W drugim były prezydent Andrzej Duda zapytany, dlaczego podpisał ustawę, którą sam w tej samej rozmowie nazwał „absurdalną", wyjaśnił: „Uważałem, że i tak dużo rzeczy blokuję i nie wszystko blokowałem". Co najgorsze, potem jeszcze dodał, że podpisania koalicji Tuska tego idiotyzmu nie żałuje.

Gdyby były prezydent ubrał swą błędną decyzję w szaty makiawelizmu – pozwoliłem im, żeby społeczeństwo zorientowało się, jakich wariatów wybrało do władzy wraz z Tuskiem, żeby założyć krowie wrotki – przyklasnąłbym. Ale argument „nie chciałem wszystkiego blokować, coś musiałem podpisać" po prostu mnie osłabił. W najbardziej życzliwy dla Andrzeja Dudy sposób można go zinterpretować jako przejaw jego wrodzonej poczciwości. I zarazem jako kolejny z niezliczonych dowodów, że ludzie poczciwi nie nadają się do polityki. Polityka jest dla tych, którzy potrafią rąbnąć pięścią w stół albo, jak trzeba, nawet i w szczękę. ©℗

#WARTO

Poświąteczne wymazywanie

JAN POSPIESZALSKI

Jeszcze w domach stoją choinki, śpiewamy kolędy, przez ulice polskich miast przechodzą liczne orszaki Trzech Króli, a tymczasem władza, jakby zawstydzona coroczną, tak powszechną eksplozją wstecznictwa, robi wszystko, by szybko zapomnieć, że Polska jest ciągle krajem chrześcijańskim. Koalicja krok po kroku, prawnie i bezprawiem, realizuje antychrześcijańską rewoltę.

Trudno nie traktować jako swoistej perwersji zapowiedzi nowelizacji Kodeksu karnego – złagodzenia art. 196, który przewiduje odpowiedzialność karną za obrazę uczuć religijnych. Zmiana polegać ma na wykreśleniu kary więzienia. Dzieje się to niedługo po szokującej profanacji krzyża w Kielnie. Przypomnę: w jednej ze szkół pani od angielskiego zdjęła ze ściany krzyż i wyrzuciła go do kosza na śmieci. Skandaliczny eksces nauczycielki wywołał oburzenie w całej Polsce, do którego w końcu dołączyła nawet minister Nowacka. Na marginesie trzeba przypomnieć, że wywodzący się jeszcze z lat komuny zapis o obrazie uczuć religijnych jest tak skonstruowany, że miażdżąca większość wszelkich aktów profanacji uchodziła sprawcom na sucho. Jeśli już dochodziło do skazania (nie znam żadnego przypadku orzeczenia kary więzienia), to podstawą był np. zapis zniszczenia dobra o szczególnym znaczeniu dla kultury albo zakłócenie miru domowego.

Innym przykładem przeprowadzania w tych dniach rewolucji jest rządowy projekt ustawy o związkach partnerskich, zakamuflowany pod nazwą ustawy o statusie osoby najbliższej. Jak wykazali prawnicy, nie istnieje żadna realna społeczna potrzeba wprowadzenia tej ustawy. W Polsce istnieją już wszystkie potrzebne narzędzia prawne dla takich relacji. Ustawa ma tylko znaczenie propagandowe i symboliczne. Chodzi o stopniowe zawłaszczenie przywilejów małżeńskich i relatywizację instytucji rodziny. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

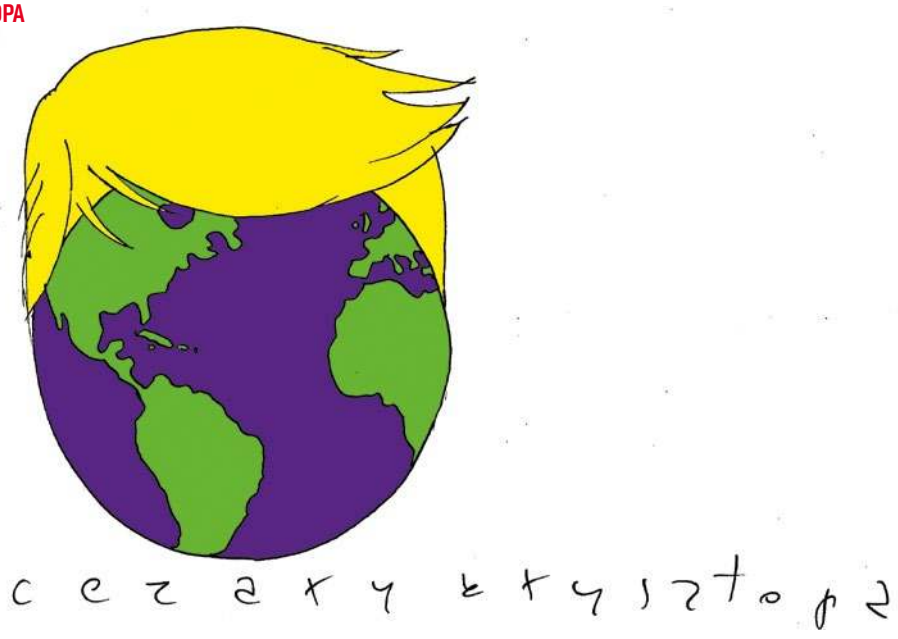

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Trzymamy kciuki

Jest sukces! Stop. I to międzynarodowy! Stop. Szef polskiego rządu Donald Tusk spotkał się, bo został zaproszony, z europejskimi przywódcami i porobił sobie zdjęcia, które rozsyłał po mediach społecznościowych chyba dla atencji. Stop. Oczywiście ktoś mógłby spytać, z kim się spotkał, gdzie, w jakim celu, jaki był wynik spotkania, ale byłyby to pytania nienawiści. Stop. Na pewno po zakładaniu marynarki pijaniutkiemu Jeanowi-Claude'owi Junckerowi czy podróży do Kijowa wagonem bez klasy mamy znaczny progres międzynarodowy. Stop. Może na następnym spotkaniu będzie mógł coś powiedzieć? Stop. Trzymajmy kciuki.

I jeszcze słówko o Donaldzie Tusku. Stop. Nie ludzie, lecz wilki próbowali premierowi naszemu przypiąć łatkę, że to leń oraz także nygus. Stop. Twarde dane temu przeczą. Stop. Premier pojawia się z Sejmie i bierze udział w głosowaniach, co zostało udowodnione i przeliczone. Stop. W roku 2025 wziął udział w aż 36 proc. głosowań, opuszczając ich zaledwie 1140, czyli jedynie 64 proc. Stop. I co hejterzy? Łyso wam?

Znakomity aktor Daniel Olbrychski ma 81 lat i redaktor Dorota Wysocka-Schnepf, która nie jest arcykapłanką rządowej propagandy, zaprosiła go na wywiad do telewizji, która nie umie się nawet zlikwidować. Stop. Słuchaliśmy pana Daniela uważnie. Stop. Nie mamy pojęcia, co powiedział. Stop.

Rząd przymierza się do eksperymentu na ciężarnych kobietach. Stop. Chce mianowicie, żeby rodziły nie na oddziałach położniczych, tylko na SOR-ach, czyli miejscach, gdzie położnych nie ma, ale za to jest sporo pijaków z porozbijanymi czaszkami, którym należy udzielić pomocy. Stop. Takie rozwiązanie jest równoznaczne z wieloma tragediami. Stop. Jak więc na tę dramatyczną dla kobiet informację zareagowały wydrzytwarze spod znaku piorunów i innych wulgarnych Lempartów? Stop. Jak feministki zamierzają bronić praw kobiet? Stop. Nijak, dla tych osoboosób ważne jest, aby nienarodzone dziecko można było zabić, a nie urodzić. Stop. Tak bronią praw kobiet.

Mer Lwowa, Andrij Sadowy, uczcił z rozmachem 117. rocznicę urodzin nazistowskiego zbrodniarza Stepana Bandery. Stop. Powiewały czerwono-czarne flagi, a grupy rekonstrukcyjne maszerowały w mundurach z okresu współpracy Ukraińców z Hitlerem. Stop. Pan Sadowy jest przyjacielem wielu polskich polityków. Stop. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

NIE WYPADA?

Maryla odmrożona, powtarzam, Maryla odmrożona. Na sylwestra, rzecz jasna. Gwiazda wystąpiła podczas imprezy TVP w Katowicach, za co miała zgarnąć 100 tys. zł. Kwota zasłużona? Widowisko, trzeba przyznać, było niezłe. „Wokalistka zaskoczyła też swoimi kreacjami – od krótkiego kowbojskiego stroju podczas wspólnego występu z Kayah po elegancką suknię ze złotym gorsetem i zwiewnym czerwonym tiulem. Na scenie bujała się na huśtawce udekorowanej kwiatami, a dodatkowego efektu dodało dwóch

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

postawnych mężczyzn bez koszulek, którzy wprawiali ją w ruch" – opisuje Pudelek. Rodowicz, jak to Rodowicz, wywołała mieszane reakcje. Część internautów była zachwycona formą wokalistki, inni byli nieco zażenowani negliżem i wyzywającymi pozami. Co na to sama zainteresowana? W rozmowie z „Faktem" przyznała, że sylwestrowy występ miał wywołać emocje, stąd świadomie postawiła na odważne kreacje i choreografię. „Tak, spodziewałam się kontrowersji. W końcu nie każda gwiazda wychodzi na scenę w białych majtkach. No, ale tego wymagał kostium kowbojski. A to, że bujali mnie rozebrani, pięknie zbudowani młodzieńcy, to konieczność. W końcu lepiej się ogląda rozebranych chłopców niż zakutanych w szaliki i zimowe kurtki. To jest sylwester, czas zabawy" – stwierdziła Maryla. Jak to się mówi – niech się wstydzi ten, kto patrzy.

STOP „SOBOWTÓRKOM"

Portale plotkarskie rozgrzewa nowy konflikt celebrytów, który wybuchł za sprawą wypowiedzi Dody-Elektrody. Rabczewska wystąpiła w sylwestra na tej samej imprezie co Maryla, nie spodobało się, że w konkurencyjnym Polsacie raper Smolasty wykonał utwór, który oryginalnie wykonują wspólnie. Pod nieobecność Dody raper zaprosił do wspólnego wykonania piosenki „Nim zajdzie słońce" swoją byłą dziewczynę. To rozwścieczyło Rabczewską. Ostro skrytykowała występ Smolastego i oskarżyła go o zatrudnienie „jakiejś sobowtórki". – Ja bym umarła ze wstydu, gdybym wzięła na sylwestra kogoś, kto miałby odśpiewać tekst, który napisał Smoła. Nie ma takich pieniędzy, które by mnie do tego namówiły. Nie wszystko jest na sprzedaż, naprawdę. Może on jest jeszcze młody, może on jeszcze nie wie, ale nie wszystko można kupić – grzmiała piosenkarka na TikToku. W kolejnym nagraniu, podczas spaceru z psem, Doda opowiedziała, że jej management skontaktował się przed imprezą sylwestrową ze Smolastym i próbował zablokować jego występ „z sobowtórką". – Nie do wiary, co się dowiedziałam przed chwilą. Mój management zadzwonił do managementu Smoły przed sylwestrem. Nie wiem dokładnie ile przed, oni nie mówili mi tego, może nie chcieli mnie denerwować przed wykonami – relacjonowała. Współpracownicy Dody przekazali raperowi, że nie ma zgody na wykorzystanie utworu w takiej formie i zaśpiewanie go przez inną wokalistkę. Oskarżyli też muzyka o promowanie się „na plecach Dody". – Powiedzieli jasno, że nie zgadzają się na taki obrót sprawy, że to nie jest fair, że to nie jest w porządku, że tak się nie robi, że my tak nigdy byśmy nie zrobili i nie będziemy robić. Że dla dobra naszej współpracy ku przyszłości, żeby się dziesięć razy zastanowił, ponieważ to jest totalna amatorka i cyrk, i żeby przestał promować to na moich plecach, używać mojego pseudonimu i ciężkiej wspólnej pracy nad tym utworem. Także teraz już wiem, że nie dość, że Smoła był świadomy tego, że robi nie fair, to i tak tak postąpił – zdradziła na TikToku. Na koniec Rabczewska skierowała kamerę telefonu na oddającego kał psa i oceniła, że będzie to „najlepszy komentarzyk" do całej sytuacji. Hepi nju jir.

AUTOSTRADA (NIE) DO NIEBA

U Goni za to refleksyjnie i, niemałe zaskoczenie, mocno rozsądnie. W czerwcu 2023 r. ogłoszono, że Małgorzata Rozenek-Majdan jest w gronie osób, które tracą posadę prowadzących poranny program „Dzień dobry TVN". Celebrytka nie ukrywała, że to spory cios, ponieważ praca ta była jednym z jej zawodowych marzeń. Do tematu wróciła w podcaście „Matcha Talks". – Jedziesz autostradą w superfurze, cieszysz się, bo wreszcie jesteś na tej autostradzie, na której chcesz być całe życie, dobijasz gaz i nagle wpadasz w poślizg. I wszystko się dzieje wokół ciebie nie tak, jak powinno – wizualizowałaś ten moment, marzyłaś o tym momencie, każdą decyzję, którą podejmowałaś na przestrzeni lat, podejmowałaś z myślą o tym. I mierzysz się z takim poczuciem: „I to tyle? To jest to, o czym marzyłam?". Nagle wpadasz w ten poślizg... i tu się zaczyna – wskazała. Przyznała, że miała świadomość tego, jak słabo wypada na szklanym ekranie. – Ja siebie potwornie rozczarowałam. Nie mogłam złapać rytmu, nie mogłam wejść, ja bardzo dobrze czytam media i wiedziałam, że jak nie uda się zatrzymać tego hejtu po pewnym etapie, to my już go nie zatrzymamy, ja to wiedziałam. Czujesz, że jedziesz na ścianę, zbliża się coraz szybciej i tak naprawdę niewiele możesz z tym zrobić. Nie podobało mi się nic, co tam robiłam. Ludzie jeszcze często próbują mnie pocieszać na zasadzie: „Boże, nie wiem, dlaczego to się tak skończyło. Przecież tak sobie dobrze radziłaś". Ja sobie wtedy myślę, nie, najgorzej jest próbować mnie pocieszyć kłamstwem. Nic mi się w sobie tam nie podobało – wyznała celebrytka. – Nie miałam tej naturalnej swobody, nie miałam tej iskry – podsumowała. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, obserwujemy wiele wydarzeń geopolitycznych, iżby wyciągać z nich daleko idące wnioski i snuć przewidywania, które raczej się nie sprawdzą, co oznacza, iż znacząco nie odbiegamy od środowiska ekspertów geopolitycznych w tym kraju. Staramy się być na bieżąco również po to, iżby wam wyjaśnić, co należy myśleć, i teraz chcielibyśmy się podzielić z wami kilkoma refleksjami na temat Grenlandii.

Otósh Grenlandia to taka duża wyspa, która leży gdzieś między Europą i Ameryką i z powodu jakichś bliżej nieokreślonych zaszłości historycznych należy do Danii czy tam jest przez nią administrowana, a zakusy na Grenlandię ostatnio ma też Donald Trump.

Można by nawet zażartować, iż „Grenlandia prawem, nie towarem", ale w tematach geopolitycznych nie ma miejsca na żarty, więc potraktujmy przez chwilę to zdanie całkowicie poważnie.

Okazuje się zatem, iż ochotę na Grenlandię mają wszyscy, iż słyszeliśmy także analizy, iż mogą jej chcieć także Rosjanie albo Chińczycy. Wygląda więc na to, iż mamy do czynienia z klasycznym przerostem popytu nad podażą, a zatem wolny rynek po raz kolejny nie przynosi odpowiedzi i się nie sprawdza. Dlatego uważamy, iż na forum narodów zjednoczonych powinniśmy ustalić jakieś zasady dotyczące posiadania Grenlandii. Oczywiście nie uwzględniamy w tych równaniach Rosji, nie uwzględniamy też Chin, a zatem zostaje nam kwestia rozstrzygnięcia popytu ze strony Danii, USA oraz rdzennych mieszkańców wyspy.

Patrząc na temat przez pryzmat ekonomii – ekonomiści podobnie jak geopolitycy snują swoje refleksje niepodlegające weryfikacjom i krytyce – należałoby dodatkowo zauważyć, iż Grenlandia jest dobrem rzadkim. Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której popyt, wyraźnie przewyższając podaż, w normalnych warunkach rynkowych prowadziłby do wzrostu ceny.

Problem polega jednak na tym, iż nie bardzo wiadomo, kto miałby tę cenę ustalać i kto komu ją zapłacić. Niewidzialna ręka rynku, zamiast regulować sytuację, zaczyna nerwowo drżeć. Niektórzy mogliby argumentować, iż w takim przypadku należy zwiększyć podaż, jednak produkcja nowych Grenlandii wydaje się w krótkim i średnim okresie nierealna, nawet przy sprzyjających warunkach klimatycznych. W tych realiach pozostawałoby zatem tylko zarządzanie popytem, a więc ograniczanie ambicji poszczególnych zainteresowanych poprzez apele o rozsądek, odpowiedzialność, może jakieś wspólne rezolucje społeczności międzynarodowej albo – jako broń ostateczna – wyrażenia ostrego stanowiska bądź głębokiego zaniepokojenia.

A jaka jest nasza prognoza? – zapytacie. Otósh, kochani, nie jest sztuką mieć prognozę, prognozy to teraz wygłaszają wszyscy wszędzie, sztuką jest tak naopowiadać, iżby nikt nie zrozumiał, o co chodzi, ale wszyscy potakująco kiwali głowami xD.

No ale zostawmy na chwilę jakąś wyspę leżącą tak naprawdę chooy wie gdzie, bo w atlasie Europy jej nie widzieliśmy, w Ameryki też nie (może istnienie Grenlandii to teoria spiskowa???), a zajmijmy się tym, co naprawdę ważne, a więc neutralnymi płciowo ogłoszeniami o pracę, które wywalczyła dla nas wszystkich lewica.

Jesteśmy lewicy głęboko wdzięczni i doceniamy to epickie zwycięstwo nad patriarchatem, iż teraz nie będziecie już widzieć ogłoszeń, iż ktoś chce zatrudnić „hydraulika", a osobę hydrauliczną, nie „pielęgniarkę", a osobę pielęgniarską, nie „ochroniarza mienia", a osobę do wykonywania czynności ochroniarskich (mile widziane orzeczenie o niepełnosprawności).

Czy czujecie, jak od tego nazewnictwa patriarchat sam się obala, zasypuje się gender gap, waginoosoby masowo podejmują pracę w kopalniach azbestu, a fallusoosoby w placówkach wychowania przedszkolnego i wczesnoszkolnego? Fantastyczna sprawa, prawda? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Nie mogą nas razem widzieć

Szczęść Boże, panie prezesie.

Nie mam czasu, nie mam czasu, panie Grzegorzu, mam zaraz zebranie na Nowogrodzkiej.

Ależ czemu pan tak chyżo umyka? Niechże pan nie umyka!
Ja nie będę z panem rozmawiał!

Czyżby się pan czegoś obawiał?
Nie mogą nas razem widzieć!

Ja wcale nie chcę się koniecznie z panem pokazywać. Chciałem tylko...
Zarobiony jestem, proszę mnie zostawić!

... chciałem tylko, szanowny panie prezesie, powiedzieć, że się panu but rozwiązał. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] w parach jednopłciowych też rodzą się dzieci".

MONIKA SIKORA, *polityk Nowej Lewicy, wiceminister funduszy i polityki regionalnej, w Polsat News*

eprasa.pl 6f6219898c

dwaj panowie g

Święta, święta i po świętach. Dzwonią do nas ludzie i pytają z wypiekami, czy po konkurencyjnych nieoficjalnych wigiliach w PiS podobne sceny odbywały się w sylwestra. Otóż nie, otóż nie było oficjalnych ani nieoficjalnych partyjnych sylwestrów. Zdecydowana większość działaczy i posłów wybrała świętowanie na domówkach. Powody były dwa. Pierwszy to fakt, że Naczelnik niechętnie patrzy na zdjęcia świętujących posłów na różnych publicznych imprezach trafiające potem do tabloidów. Drugi właściwie jest ten sam.

Natomiast à propos konkurencji w partii: w dniu, kiedy szeregowy poseł znany też jako Naczelnik ogłaszał jedność partii, która zmierza do zwycięstwa, na portalu X (dawniej Twitter) Mariusz Błaszczak i Michał Dworczyk uprawiali wzajemną orkę. Wyjaśniamy, że brak chemii między panami spowodowany jest nie tylko tym, że są z różnych frakcji, lecz także z ambicji. Dawno, dawno temu, kiedy Michał był w kancelarii premiera MM, a Mariusz szefem MON, ten pierwszy nie ukrywał, że byłby lepszym ministrem obrony – gdyby oczywiście była taka potrzeba. Potrzeba może i była, ale zmiany – nigdy. Które to zdanie uważamy za doskonale podsumowujące ogólną sytuację w PiS.

Schodząc na szczebel konkretów: swego czasu Mariusz Błaszczak jako szef MON lobbował za otwarciem nowego szpitala wojskowego w Legionowie, czyli w swoim okręgu wyborczym. No i wylobbował. Coś chyba z miliard. Michałowi i Ojcu Mateuszowi bardzo się to wtedy nie podobało, bo uważali, że mogą wydać te pieniądze gdzie indziej.

À propos służb mundurowych. Wiecie, dlaczego Marcin Kierwiński dostał takiego antypisowskiego szału po sprawie gwałtu na policjantce? Otóż możemy chyba ujawnić, że jako żywo przypomina to początek afery #MeToo w USA, która za kraty zaprowadziła wiele wpływowych osób. Miasto huczy bowiem o kolejnych dziewczynach w mundurach, które padły ofiarami tego, co nazywa się kulturą gwałtu. Nie chodzi nawet o sam akt fizycznej przemocy seksualnej. Otóż do mediów zaczynają się zgłaszać dziewczyny, które zrezygnowały ze służby, nie chcąc podzielić losu innych stażystek. Zapewniamy, tym razem tych spraw pod dywan się już nie da zamieść.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem wielkie zamieszanie wywołały podane przez nas przed tygodniem wieści o plotkach na temat haków, które jakoby Zły Donald z Sopotu ma na Władka Kosiniaka-Kamasza. I w związku z tym postanowiliśmy się oficjalnie odciąć. Nie od naszych wieści o samych hakach, ale od innych ośrodków plotkarskich, które na mieście rozpowszechniają dzikie domysły na temat obyczajowego charakteru haków. Otóż my z tymi ośrodkami nie mamy nic wspólnego. Serio.

eprasa.pl 6f6219898c

Od razu wyjaśniamy – potrafimy zepsute mięso wyczuć na 100 km i nawet po 10 latach. A akurat zapaszek, który się nad tym unosi, przypomina nam stęchliznę z czasów kadencji PO w latach 2007–2011, kiedy to złe języki rozpowszechniały wieści o rzekomych hakach Tuska na Waldemara Pawlaka. W plotkach tych pojawiały się mieszkania na schadzki oraz taśmy wideo. Ciężko się wtedy naganialiśmy za faktami, które ostatecznie okazały się konfabulacją wypuszczoną w pewnym celu przez zawodowców z jednego z resortów. Zatem tym razem, czując podobny zapach, mówimy „pas", szkoda czasu.

Tymczasem w Pałacu. Zapewne słyszeliście, że partia kasty sędziowskiej, czyli Iustitia, zwróciła się z prośbą do prezydenta Karola Tadeusza o audiencję pod hasłem: „Porozmawiamy o praworządności". Sruty-pierduty, jak mawiano u nas w podstawówce. Chodziło w gruncie rzeczy o stołki. Biorąc pod uwagę ostatnio usunięty z Pałacu Prezydenckiego mebel, moglibyśmy nawet zażartować: o okrągłe stołki.

Już wyjaśniamy. Los przyszłych stołków dla rozmaitych iustytutek leży w rękach prezydenta Karola Tadeusza. Nawet jeśli jakimś cudem zostanie powołana nowa KRS, to i tak nadal na samym końcu łańcucha decyzyjnego będzie prezydent RP. Bo tak stanowi konstytucja. Zaś jeśli chodzi o Iustitię, to większość jej członków stanowią sędziowie z rejonów czy okręgów, którym marzy się praca wyżej: roboty mniej, a pieniądze większe. Nie bez znaczenia jest też fakt, że wiele iustytutek ma progeniturę, która też marzy o karierze sędziowskiej. Nie trzeba być w tej sytuacji prorokiem, że podczas tej audiencji to iustytutki będą miały wygląd lichy i durnowaty (jak głosił kiedyś ukaz carski).

Podobnie sytuacja wygląda z planowanym w Pałacu spotkaniem z szefami służb specjalnych. Również tu silne więzi klanowe, sięgające niekiedy czasów nieboszczki SB, mają znaczenie. Esbeki co prawda na emeryturze lub pomarli, ale ich dzieci powoli zbliżają się do wieku emerytalnego i chciałyby swoje potomstwo w życiu ustawić. Problem polega na tym, że żeby wrzucić kogoś na drabinę awansową, musi on uzyskać pierwszy stopień oficerski. A w tym przypadku nie ma mowy, by sobie minister zrobił kogoś „pełniącym obowiązki oficerem". Gwiazdki na pagonach są bowiem warunkiem sine qua non awansów. A tu decyduje prezydent Karol Tadeusz. Jaki wygląd będą mieli zatem szefowie służb przed obliczem najjaśniejszego Pana, możecie sobie dośpiewać.

Do końca stycznia niby daleko, ale już chcielibyśmy przestrzec: czas na akcję „Zabierz babci smartfona"

W ubiegłym tygodniu „GazWyb" po raz kolejny rozdarł szaty, że wciąż nie ma profesur belwederskich dla niejakiego Bilewicza i Żelaznego. Nie ma i nie będzie, również dla innych. Prezydent Karol Tadeusz ma tutaj bowiem długie zaleganie afektu. Chodzi o czasy, kiedy był jeszcze prezesem IPN. Otóż tajemnicą poliszynela jest fakt, że Rada Doskonałości Naukowej wysyłająca wnioski do prezydenta o nominacje profesorskie (i mająca wiele do powiedzenia w sprawie habilitacji) często blokowała pod byle pretekstami karierę naukowców podejrzewanych o sympatyzowanie z prawicą.

Żeby sprawę naświetlić do końca: zapewniamy jednak, że cała masa habilitacji i wniosków profesorskich jest rozpatrywana pozytywnie. Gros w tym gronie stanowią młodzi doktorzy z IPN, a także z Akademii Sztuki Wojennej z czasów, kiedy z uczelnią tą związany był obecny szef BBN, czyli Sławek Cenckiewicz. Swoją drogą ciągle, mimo olbrzymiego dorobku naukowego, bez belwederskiej profesury. Uważamy, że skoro on może bez tego żyć, to Bilewicze i Żelazne tym bardziej.

W rozmaitych gronach na zabawach sylwestrowych życzono sobie, żeby w nowym roku zła władza odeszła, a nowa dobra władza – przyszła. Niektórzy wprost życzyli sobie nawzajem przyśpieszonych wyborów. I wskazywali, że mogłoby się tak stać, gdyby prezydent Karol Tadeusz zawetował budżet. Z tego, co słyszeliśmy, to Naczelnik uważa jednak taką możliwość za niemożliwą. A nawet więcej – nieopłacalną.

Już wyjaśniamy – zdaniem Naczelnika teraz trzeba przeczekać. Im bliżej wyborów w 2027 r., tym bardziej będą bowiem spadać notowania obu konkurencyjnych Konfederacji. Tym od Mentzena i Bosaka już trochę spadło, trwa więc przeczekiwanie Brauna. Z ugrupowaniami radykalnymi jest bowiem tak, że w sondażach mają dużo, gdy do wyborów jest daleko. A im bliżej wyborów, tym bardziej słabną. Nie wiemy, co o tym myśleć. Z jakiegoś powodu przypomniało nam się zdanie z drugiej notki dzisiejszego wydania rubryki: „Potrzeba może i była, ale zmiany – nigdy".

Do końca stycznia niby daleko, ale już chcielibyśmy przestrzec: czas na akcję „Zabierz babci smartfona". Wszystko przez zaplanowany na 25 stycznia finał Wielkiej Orkiestry Złotego Melona. Nie, nie chodzi nam o to, żeby zapobiec wysłaniu przez babcię emerytury blikiem do osoby Owsiaczej. Tylko o to, że jak rozeźlona babcia coś na osobę Owsiaczą chlapnie w Internecie, to o świcie przyjdzie policja od Tuska i załomoce do drzwi tak jak do pani Zofii w zeszłym roku. Prosimy zatem o szczególną troskę, zwłaszcza że WOZM gra w tym roku blisko Dnia Babci i Dnia Dziadka.

Najbardziej sensacyjną wiadomość zostawiliśmy na koniec. Skąd? To akurat proste. Posłuchaliśmy uważnie Donalda Tuska. A on wyraźnie powiedział, komentując zamiary USA wobec Grenlandii, że żaden kraj NATO nie może grozić innemu krajowi NATO. No i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że Węgry nie są krajem NATO! Przynajmniej biorąc pod uwagę to, jak zachowują się w ich kwestii Tusk i jego ministrowie. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

Co nam mówi Grzegorz Braun?

Mikołaj Drozdowicz

Grzegorz Braun nie opowiada, że da ludziom dopłaty do mieszkań czy że podwyższy im emerytury, nie obiecuje gruszek na wierzbie, dlatego trudno go przelicytować. Nie jest też rozwiązaniem jakiegokolwiek ważnego problemu czy gwarantem podjęcia wyzwań stojących przed Polską. Stanowi jedynie odbicie establishmentu III RP ukazane w krzywym zwierciadle, wyrzut sumienia systemu, który przestał dowozić, krytyczny błąd w Matrixie

Rok 2025 z całą pewnością należał do Grzegorza Brauna. Polityk uważany przez mainstream za króla szurów, foliarzy i zwolenników teorii spiskowych nie tylko odniósł spektakularny sukces w wyborach prezydenckich, lecz także stał się trwałym elementem polskiej sceny politycznej, którego nie da się już lekceważyć. Wyjaśniam, że za sukces w wyborach prezydenckich nie uważam bynajmniej zdobycia przez Brauna 6,34 proc. głosów, co przekłada się na ponad 1,2 mln wyborców. Rzecz w tym, że to dzięki Grzegorzowi Braunowi wybory wygrał Karol Nawrocki, co nie byłoby możliwe, gdyby lider Konfederacji Korony Polskiej w zdecydowany sposób nie poparł obecnego prezydenta przed II turą wyborów.

Braun, jako czystej wody antysystemowiec, miał pole manewru. Nie musiał wskazywać na Karola Nawrockiego. Mentzen, którego Konfederacja stała się w tym czasie częścią systemu politycznego III RP, wybrał formułę dopasowania, ostatecznie zawarł z Nawrockim porozumienie programowe w postaci deklaracji toruńskiej, dzięki czemu większość jego wyborców zagłosowała przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu. Ale Braun częścią systemu się nie stał. Z punktu widzenia wyborców prawicy zachował się odpowiedzialnie,

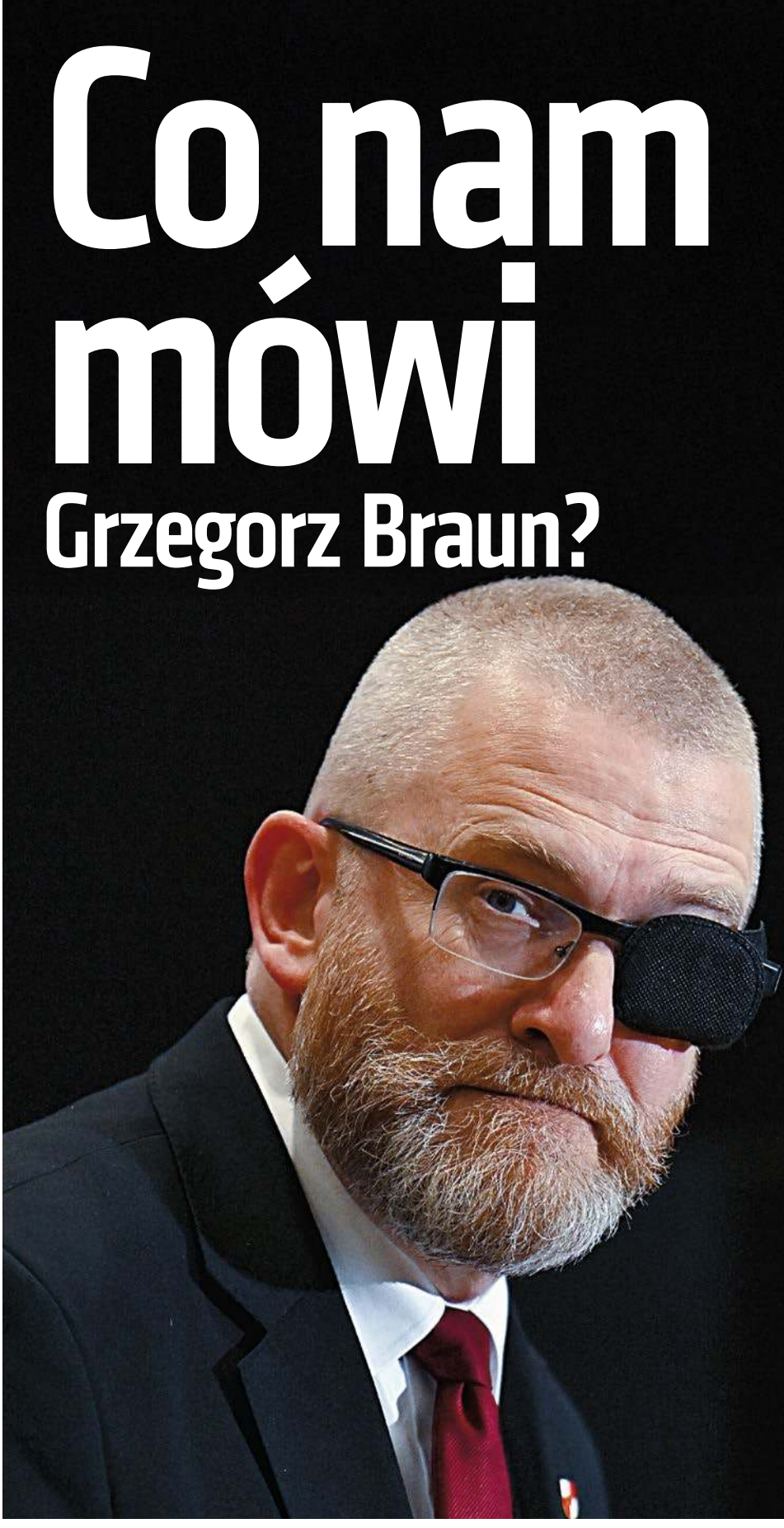

FOT. PIOTR POLAK/PAP

eprasa.pl 6f6219898c

budując jednocześnie autonomię i sprawdzając własną siłę polityczną. Przy różnicy nieco ponad 350 tys. głosów w II turze wyborów okazało się, że to Braun stał się kingmakerem.

Ale jest jeszcze coś. Grzegorz Braun w sposób skuteczny wyłączył z kampanii prezydenckiej temat aborcji. Od czasu wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. aborcja w Polsce jest rozgrywana wyłącznie na korzyść lewicy. Rafał Trzaskowski miał tutaj ogromne pole do popisu, mogąc odwołać się do wciąż świeżych emocji związanych z protestami przeciwko zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego. I wygrałby na tym. Jednak za sprawą Grzegorza Brauna w tegorocznej kampanii prezydenckiej o aborcji było cicho po tym, jak wyszła na jaw szokująca historia ze szpitala w Oleśnicy. Historia zamordowania dziecka w dziewiątym miesiącu ciąży za pomocą zastrzyków z chlorku potasu w serce. Aborcja, która do tej pory kojarzyła się z jakąś bliżej niesprecyzowaną procedurą medyczną, nagle ujawniła się w pełnej krasie swojego okrucieństwa, przypominającego eksperymenty doktora Mengele. Braun, który w skandaliczny sposób nagłośnił całą sprawę, został przez lewicowe środowiska odsądzony od czci i wiary. Prokurator postawił mu zarzuty. Ale tego, co się działo w szpitalu w Oleśnicy, odzobaczyć się już nie da. Szpital rozstał się z aborterką rzekomo z powodów finansowych, czemu – zdaje się – towarzyszyła ulga pozostałego personelu. Atmosfera szoku pozostała. Dla ochrony życia dzieci nienarodzonych Braun być może uczynił więcej niż Kościół przez 30 lat nauczania w tej kwestii.

SPRAWCZOŚĆ MIMO WSZYSTKO

W ten sposób dowiadujemy się kolejnej zaskakującej dla wielu, a już na pewno dla establishmentu III RP rzeczy. Grzegorz Braun jest politykiem skutecznym. Posiadając skromną, trzyosobową reprezentację w Sejmie, nie mając państwowych dotacji ani dostępu do głównych mediów, dowozi tematy, o których mówi, i – co więcej – po pewnym czasie okazuje się, że trafia w środek politycznej tarczy. W zasadzie bystry obserwator dostrzeże, że to nie tyle skuteczność, ile raczej niezwykła zdolność do politycznej antycypacji zjawisk nieuchronnych czy umiejętność – jak to się teraz mówi – łączenia kropek. Ale przeciętny wyborca ma prawo poczytywać to za sprawczość.

Tak było z protestami antyukraińskimi. W 2022 r. partia Grzegorza Brauna była jedyną, która ostrzegała przed niekontrolowanym napływem ludności ukraińskiej do Polski. Brauna oskarżano o znieczulicę, ksenofobię czy burzenie marzeń o powrocie do jagiellońskich koncepcji politycznych. Dzisiaj, po blisko czterech latach od rozpoczęcia pełnoskalowej wojny, większość polskiego społeczeństwa ma serdecznie dosyć systemowego pomagania przybyszom ze Wschodu. Państwo wycofuje się z polityki wsparcia. Prezydent Nawrocki zapowiedział, że nie podpisze więcej jakichkolwiek ustaw uprzywilejowujących Ukraińców w stosunku do innych cudzoziemców. Z różnych stron sceny politycznej dochodzą głosy oburzenia w sprawie nierozliczenia przez władze Ukrainy zbrodni wołyńskiej, i to pomimo tak licznych, pozytywnych odruchów polskich serc oraz potężnego zaangażowania państwa polskiego w wysiłek obronny wschodniego sąsiada. Do tego dochodzą korupcja wśród ukraińskich polityków oraz coraz mniejszy sentyment do Ukrainy na arenie międzynarodowej.

Podobnie jest z Unią Europejską, przeciwko której Konfederacja Korony Polskiej występuje w sposób bezkompromisowy, jako jedyna siła na polskiej scenie politycznej. Tyle że gwałtowny wzrost zwolenników polexitu nie jest przecież osobistym sukcesem Brauna. To wszystkie struktury Unii mocno pracują, aby doprowadzić do swojego kolapsu, co Braun dostrzega i przekuwa we własny, polityczny spin.

A sprawa polityki pandemicznej prowadzonej przez rząd Mateusza Morawieckiego? Grzegorz Braun jako jedyny sprzeciwiał się radykalnym metodom stosowanym przez rząd PiS – jak się wydaje – pod dyktando Unii Europejskiej oraz koncernów farmaceutycznych. Tymczasem, kiedy zaczęła się wojna na Ukrainie, COVID-19 nagle zniknął, jakby uciekł przestraszony hukiem wystrzałów w Donbasie. Suflująca rządowi obostrzenia rada medyczna przy premierze rozpłynęła się w powietrzu. Okazało się, że jej posiedzenia nie były nawet

eprasa.pl 6f6219898c

protokołowane, co wzmacnia podejrzenia, że uprawiano tam bezczelny lobbing.

O szczepionkach na COVID-19 słyszymy dziś przy okazji ujawniania skandalu korupcyjnego w Komisji Europejskiej, a także śledztw prowadzonych w USA w związku z możliwością ich szkodliwego wpływu na zdrowie obywateli. Mateusz Morawiecki, szukający swojego miejsca w PiS, a być może już poza tą partią, najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że choćby ta jedna kwestia, polityka pandemiczna, sprawia, że nigdy już nie będzie premierem. Braun mu to załatwił. A przy okazji zakończył kariery polityczne ministrów zdrowia w rządzie PiS, Szumowskiego i Niedzielskiego, bezpośrednio kojarzonych z covidową opresją.

POLITYCZNY SPEKTAKL

Co jakiś czas Grzegorz Braun jest bohaterem wywoływanych przez siebie skandali w postaci osobliwych wystąpień, ekscesów czy spektakli, w których obsadza siebie w roli głównej. Bo Braun jest też zawodowym reżyserem, dokumentalistą i z doświadczeń zdobytych w poprzednim, filmowym życiu korzysta w polityce z rozmachem. Tak było choćby podczas najsłynniejszego happeningu, kiedy to w widowiskowy, epicki wręcz sposób zgasił chanukowe świece w budynku Sejmu. Zdobył wówczas międzynarodową rozpoznawalność oraz łatkę dyżurnego polskiego antysemity, którym „Gazeta Wyborcza" straszy odtąd dzieci. Tyle że sprawa nie jest taka oczywista. Braun dopuścił się chuligańskiego wybryku, który został zgodnie potępiony przez mainstream III RP. Jednak zderzenie widoku Grzegorza Brauna, szarżującego z gaśnicą w ręku, w oparach białego proszku, przy dźwiękach klezmerskiej muzyki, na płonącą chanukiję, ze świętym oburzeniem środowisk liberalnych, ma w sobie coś tak groteskowego, że spora część społeczeństwa, przynajmniej in pectore, święty oburz sobie odpuściła. Akcja Brauna wyreżyserowana w stylu skeczów Monty Pythona była skandaliczna, lecz absurdalna zarazem. Poza tym publiczność zapewne pamiętała, że kiedy aborcjoniści przerywali Mszę Świętą w poznańskiej katedrze, aby głosić w obecności wystraszonych staruszek i bezradnego księdza aborcyjne hasła, „Gazeta Wyborcza" pisała o usprawiedliwionym proteście, a następnie wychwalała sędzię z poznańskiego sądu rejonowego, która wszystkich oskarżonych o zakłócanie katolickich obrzędów religijnych uniewinniła „w największym procesie politycznym za czasów PiS". Zamieszanie posłużyło Braunowi do nagłośnienia kontrowersji wokół organizatora chanukowej imprezy w Sejmie oraz całkiem zgrabnie wpisało się w moralny protest przeciwko zbrodniom dokonywanym na Palestyńczykach w Strefie Gazy, o których polityczny mainstream w Polsce woli milczeć. Nie mówiąc o napiętnowaniu hipokryzji lewicy, głoszącej postulaty świeckiego państwa. W każdym razie w 2025 r. palenia świec chanukowych przynajmniej w Pałacu Prezydenckim nie było.

Podobnie jest z innymi ekscesami Brauna, w tym z przerwaniem antypolskiego wykładu w siedzibie Niemieckiego Instytutu Historycznego czy z wyniesieniem choinki z siedziby sądu w Krakowie, ozdobionej – nie wiedzieć czemu – m.in. symbolami LGBT. Każdy z tych happeningów ma w sobie coś oburzającego, a także pouczającego jednocześnie. Nie chodzi przy tym o zarzut, że rząd Mateusza Morawieckiego nie interweniował akurat w sprawie skandalicznego wykładu Jana Grabowskiego. Rzecz w tym, że polityka historyczna uprawiana przez PiS była nieudolna do tego stopnia, że można było odnieść wrażenie, iż patriotyzm historyczny w ustach polityków tej partii to jedynie frazes, zbiór haseł na użytek propagandy wewnętrznej czy zestaw postulatów wyinterpretowanych z badań socjologicznych, a nie realna duchowa potrzeba wynikająca z wyznawanej aksjologii.

Polacy przez lata nie widzieli skutecznych akcji wymierzonych we wrogą Polsce niemiecką czy żydowską politykę historyczną. Słyszeli natomiast okazjonalne pustosłowie Jarosława Kaczyńskiego na temat tego, jakim to strasznym wrogiem są Niemcy. Jednocześnie pamiętają Andrzeja Dudę obchodzącego święto Chanuki, a także organizację przez rząd PiS konferencji bliskowschodniej pod dyktando USA i Izraela, podczas której z Polski na cały świat poszedł przekaz potępiający Iran. Irańczycy nie tylko nic nam nigdy nie zrobili, lecz także wręcz przeciwnie – w czasie drugiej wojny światowej okazali polskim uciekinierom uchodzącym ze Związku Sowieckiego gościnność i empatię. W zamian rozmaite kręgi żydowskie, ostatnio Instytut Yad Vashem, co rusz oskarżają Polskę o współsprawstwo Holokaustu. A Jarosław Kaczyński milczy.

DEGRADACJA SALONU

Powoli dochodzimy do wyjaśnienia, czym na scenie politycznej jest fenomen Grzegorza Brauna. Słychać czasem opinie, że to kolejna odsłona buntu społecznego, niegdyś zagospodarowanego przez Andrzeja Leppera. Salon III RP, ostatnio głosem Dominiki Wielowieyskiej, wyraża nadzieję, że sądy skażą Brauna i problem sam się rozwiąże. Że to zjawisko sezonowe, takie jak Palikot, Kukiz czy Petru. Tego rodzaju próby wyjaśnienia fenomenu Brauna świadczą o tym, że establishment III RP kompletnie nie rozumie istoty problemu, który tkwi… w nim samym.

Oszołomiony establishment III RP nawet przez chwilę nie pomyślał, że Braun opowiada właśnie o nim

Grzegorz Braun nie jest współczesnym Andrzejem Lepperem. Lepper był trybunem ludowym ludzi wykluczonych. To był jedynie protest ekonomiczny, socjalny, mający na celu dopuszczenie sierot po PRL do partycypacji w zadeklarowanym przez elity sukcesie gospodarczym III RP. Dziś miejsca na podobny ruch społeczny nie ma, gdyż na razie w Polsce nie występuje masowo skrajna bieda, przynajmniej w porównaniu z połową lat 90. XX w. Porównania Brauna do Palikota, Kukiza czy Petru w ogóle nie mają sensu. Ci politycy zawsze byli częścią systemu. W tamtych czasach dla zagospodarowania ekscentrycznego czy antysystemowego elektoratu udawało się tworzyć polityczne atrapy, które odgrywały rolę wentyli bezpieczeństwa. Ostatnim był Szymon Hołownia, którego misja politycznego fantomu właśnie dobiega końca. To zawsze było jakieś oszustwo wymyślone po to, aby system pozostał szczelny i nietknięty.

eprasa.pl 6f6219898c

Tymczasem snując rozmaite opowieści na temat Grzegorza Brauna, odsądzając go od czci i wiary, oszołomiony establishment III RP nawet przez chwilę nie pomyślał, że Braun opowiada właśnie o nim. Fenomen Brauna polega na tym, że samą swoją obecnością na scenie politycznej wygłasza on wykład o systemie powstałym przy Okrągłym Stole, który przez lata coraz bardziej przestawał obsługiwać interes Polaków. Realna troska o polską rację stanu została zastąpiona fasadowymi sporami do perfekcji rozwiniętymi w postaci rywalizacji PiS z PO. Polityka w wydaniu elit postokrągłostołowych jawi się jako coś wybitnie obrzydliwego. Merytoryczny spór zastąpiła polaryzacja. Polityka stała się wulgarna w dosłownym znaczeniu. Liderzy partyjni od lat tkwią na swoich pozycjach, okopani głęboko w otoczeniu lizusów, z których żaden nie ma zdolności rzucić im rękawicy w walce o partyjne przywództwo.

Nade wszystko zaś w polskiej polityce króluje niewyobrażalna wręcz głupota. Dawniej, w latach 90. XX w., spór polityczny też był ostry, ale jednocześnie nie budził odrazy. Polityka może nie urzekała elegancją, ale przynajmniej była uprawiana przez ludzi inteligentnych. Postaci takie jak Mazowiecki, Kuroń, Geremek, Oleksy, Miller czy Szmajdziński nigdy nie należały do moich faworytów. Jednak patrząc na to, co przez ostatnie 35 lat stało się z establishmentem III RP, jak dramatycznie się wynaturzył, jak skarlał, coraz bardziej nabieram szacunku do tego wymarłego już gatunku polityków, ludzi, z którymi fundamentalnie się nie zgadzałem, ale jednocześnie nie uważałem ich za skończonych idiotów.

System partyjny III RP doprowadził do kompletnej degradacji klasy politycznej, a w ślad za nią przedstawicieli salonów, celebrytów czy wreszcie tzw. autorytetów. Słuchając bredni wygłaszanych przez niegdyś szanowanych profesorów prawa, wypowiadanych przez nich bez cienia żenady, przeczących podstawowym regułom nauki, pozbawionych odpowiedzialności i pełnych zapalczywości, zaczynam rozumieć zjawisko, którym jest Braun. Kiedy widzę, jak inteligencka niegdyś „Gazeta Wyborcza" promuje osobników typu babcia Kasia czy Marta Lempart, z kobiecych protestów czyni festiwal wulgarności i knajactwa, operuje prymitywnymi hasłami sprowadzającymi całe gazetowe uniwersum do poziomu skrajnych ideologicznych emocji, dostrzegam cień Grzegorza Brauna. Kiedy widzę antyintelektualny rys obecnego Sejmu, okupowanego przez posłów niemających zielonego pojęcia o sprawach, w których przychodzi im się wypowiadać, słyszę chichot Grzegorza Brauna. Bo winny popularności Brauna jest cały establishment III RP. Od lat te same twarze zawodowych klakierów sypiących kwiatki pochlebstw przed ospale stąpającymi stetryczałymi liderami. Monotonne przekazy dnia, permanentna nawalanka, brak jakiejkolwiek autorefleksji. Ci sami dziennikarze w redakcjach zazdrośnie strzegący swoich pozycji, upasieni na schematach powtarzających się od lat na scenie politycznej. Wszędzie układy, żadnej merytokracji. Żadnej wymiany elit. Zaprzeczenie teorii Pareto. Promowani są wyłącznie ludzie mający czyjeś poparcie. Nieważne, czy chodzi o resort nauki czy o IPN. Możesz być najlepszy i nic to nie pomoże. Bo musisz być od nich, podpisać cyrograf, zdobyć zaufanie starców.

WYRZUT SUMIENIA SYSTEMU

I o tym mówi nam Grzegorz Braun. Być może nieświadomie, może jedynie intuicyjnie, a może skrajnie cynicznie korzystając z tego, że jest najbardziej inteligentny z nich wszystkich. Jarosław Kaczyński opowiadający o zdezorientowanych wyborcach Brauna zdaje się sam być najbardziej zdezorientowanym przedstawicielem systemu III RP. Systemu, który Brauna stworzył. Braun może robić rzeczy szalone, nieprzyzwoite, a nawet z punktu widzenia starego żoliborskiego inteligenta obrzydliwe. To nic nie zmienia. Bo jednocześnie przesuwa okno Overtona, demaskuje obłudę, hipokryzję, miernotę intelektualną, zaprzaństwo, fałsz i całą tę maskaradę, którą stał się system postokrągłostołowy. Braun wciąż eksperymentuje. Wciąż posuwa się dalej. Bada grunt. Prowokuje. Opowiada straszne rzeczy, negując istnienie komór gazowych w Auschwitz. Ale czyni to zręcznie i trudno będzie mu udowodnić karane w Polsce „kłamstwo oświęcimskie". Spotyka się z Januszem Walusiem skazanym za morderstwo komunisty w RPA. Czy coś to zmienia? Zapewne nic. Ludzie, którzy miotają pod adresem Brauna gromy świętego oburzenia, w oczach wielu Polaków reprezentują ten sam poziom moralny. Dla wyborcy PO Kaczyński jest jak Waluś. Dla wyborcy PiS – Tusk jest niczym „kłamstwo oświęcimskie". Obrzucali się błotem przez lata, tak bardzo się nawzajem redukowali, że nie spostrzegli swojego odbicia w lustrze, które im Braun postawił przed nosem.

Braun nie opowiada, że da ludziom dopłaty do mieszkań czy że podwyższy im emerytury, nie obiecuje gruszek na wierzbie, dlatego trudno go przelicytować. Nie jest też rozwiązaniem jakiegokolwiek ważnego problemu czy gwarantem podjęcia wyzwań stojących przed Polską. Stanowi jedynie odbicie establishmentu III RP ukazane w krzywym zwierciadle, wyrzut sumienia systemu, który przestał dowozić, krytyczny błąd w Matrixie.

OSTATNIE TABU

Do obalenia pozostała Braunowi jeszcze jedna świętość III RP. Jej antyrosyjskość. Braun od lat wyznaje poglądy prorosyjskie. W odróżnieniu od nachalnych poglądów proamerykańskich wyznawanych przez polityków PiS czy proniemieckich reprezentowanych przez PO prorosyjskość Brauna jest dosyć subtelna. Chodzi nie tyle o propozycje wchodzenia z Rosją w jakieś alianse, ile o przekonanie, że wobec przebiegu naszych granic ukształtowanych w 1945 r. Polska i Rosja niekoniecznie są na kursie kolizyjnym. Pogląd ten nie poświęca wystarczającej uwagi rosyjskiemu imperializmowi i z tego względu może być poddany krytyce. Jednak w Polsce wystarczy niezbyt głośno wykrzykiwać obelgi pod adresem Rosji, aby zostać w zgodnej opinii establishmentu uznanym za ruskiego agenta. Ta skłonność do rusofobii może stać się w przyszłości gwoździem do trumny elit rządzących Polską od 35 lat. Kiedy okaże się, że za sprawą naszych niemieckich czy amerykańskich przyjaciół, chcąc nie chcąc, będziemy znowu kupować rosyjski gaz z Unii Europejskiej. Wydobywany w Rosji przez zięcia Donalda Trumpa, przesyłany do Niemiec przez nowy Nord Stream. A Braun będzie świętował, na pohybel ogłupiałym elitom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Biały słoń

Piotr Semka

Partia Grzegorza Brauna może jawić się jako bomba zegarowa podłożona pod jakąkolwiek przyszłą większą koalicję po prawej stronie. Braun w swoich wypowiedziach nie kryje wizji przyszłości, według której rozpad PiS jest tylko kwestią czasu, a wyjście na jaw tego, że Konfederacja Mentzena to prawicowi udawacze, musi nastąpić prędzej czy później. I to ma spowodować swoistą narodową rewolucję, której jedynym beneficjentem i wyłącznym zwycięzcą ma być Konfederacja Korony Polskiej

Anglicy – naród, który wytworzył współczesne rozumienie demokracji partyjnej – mają pewne bardzo trafne powiedzonko. Określenie, że „nikt w salonie nie dostrzega ogromnego białego słonia", oznacza sytuację, w której jakieś zjawisko teoretycznie powinno rzucać się wszystkim w oczy, ale z różnych powodów nikt nie chce go zauważać. To powiedzonko można w warunkach polskich, oczywiście z pewną przesadą, odnieść do fenomenu Brauna.

Rzecz jasna, nie w sensie niezauważania lidera Konfederacji Korony Polskiej (KKP), ale pewnego problemu z podejściem do niego po prawej stronie. Jedni uważają, że Braun jako jedyny dostrzega realne problemy, mówi o nich z brutalną szczerością i z tego powodu można pominąć milczeniem pewne cechy jego retoryki oraz działania, które w normalnych warunkach mogą szokować.

Inni z kolei uważają, że skoro Koronę poparła stosunkowo duża liczba wyborców prawicy, którzy wcześniej głosowali na inne partie, to nie należy ich zrażać zbyt pryncypialną krytyką niegdysiejszego reżysera filmowego z Wrocławia. A jeszcze inni – i to dotyczy głównie polityków PiS i Konfederacji Sławomira Mentzena – są zdania, że w przyszłości KKP z racji wyborczej arytmetyki będzie potencjalnym koalicjantem i już dziś niedyplomatyczne byłoby pryncypialne krytykowanie tej partii.

Komentariat zwolenników Korony ma stosunkowo niski próg agresji i wszelka krytyka Brauna wywołuje emocjonalne ataki

Czasami pewną rolę odgrywa też niechęć do wdawania się w spory ze zwolennikami Brauna, gdyż jego publicystyczny, a także ten masowy internetowy komentariat ma stosunkowo niski próg agresji i wszelka krytyka Brauna wywołuje dolegliwe ataki.

Na to wszystko nakłada się wreszcie pewien nastrój triumfu, który zapanował w obozie Korony po sondażu OGB z 17 grudnia, w którym Konfederacja

Grzegorz Braun na konferencji prasowej Konfederacji Korony Polskiej, Warszawa, 23 lipca 2025 r.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

eprasa.pl 6f6219898c

Korony Polskiej z wynikiem 11,18 proc. zajęła trzecią pozycję po KO i PiS oraz zdystansowała o niecały 1 punkt procentowy Konfederację Sławomira Mentzena, która uzyskała jedynie 10,69 proc. Co prawda, wcześniejsze i kolejne sondaże nie potwierdziły tak długo wypatrywanej przez zwolenników Brauna „mijanki" z Konfederacją Mentzena, ale obóz KKP bardzo dobrze wykorzystał ten sukces sondażowy w swojej propagandzie.

CHULIGAN CZY PRZYSZŁY SOJUSZNIK?

Odnosząc się już do konkretnych zachowań partii, w wypadku PiS mieliśmy z jednej strony bardzo pryncypialną deklarację Jarosława Kaczyńskiego, odrzucającą myślenie o przyszłej koalicji z KKP. „Człowiek, który wszedł już na to pole negacjonizmu w stosunku do Holokaustu, to jest człowiek, który jest w ogóle poza jakąkolwiek możliwością uczestnictwa i w Polsce [...], i w cywilizowanym świecie w polityce. I my to doskonale wiemy. Natomiast z całą pewnością chcielibyśmy przejąć pewną część jego zdezorientowanych wyborców".

Jednak inni politycy, a najgłośniejsza tu była wypowiedź Jacka Sasina, nie odrzucali już tak kategorycznie wejścia partii Brauna do ewentualnej przyszłej koalicji. Podobne stanowisko zajmuje też Przemysław Czarnek. Nic dziwnego, że np. „Gazeta Warszawska" przedstawiła przyszły prawicowy „rząd marzeń", w którym premierem miałby być Krzysztof Bosak z Konfederacji Mentzena, wicepremierem Przemysław Czarnek, ministrem kultury Rafał A. Ziemkiewicz, a szefem dyplomacji – właśnie Grzegorz Braun.

Widząc zatem, że w PiS nie zapadła ostateczna decyzja, czy iść z Braunem na zderzenie i jasno wskazać na różnice w politycznym myśleniu obu partii czy też próbować unikać czołowego zderzenia. Te same dylematy jeszcze wyraźniej widać w przypadku Konfederacji Sławomira Mentzena. Braun nie zapomniał liderowi Nowej Nadziei, że ten usunął go z partii półtora roku temu za incydent gaśnicowy. A to właśnie gaszenie chanukowego świecznika w Sejmie jest dziś kamieniem węgielnym politycznej legendy lidera KKP.

Mentzen próbuje ścigać się z Braunem i stara się wchodzić w jego tematy. Próbkę tej polityki oglądaliśmy niedawno, gdy Mentzen przywitał w Warszawie Wołodymyra Zełenskiego ostrym wystąpieniem krytykującym zachowanie Ukrainy wobec Polski. Nie zmienia to faktu, że z obozu Konfederacji Mentzena dochodzą głosy, że poważny już odsetek dotychczasowych wyborców tej partii zaczyna przesuwać się ku KKP.

Bardzo charakterystyczny był też niedawny spór między Mentzenem a popularną europosłanką Ewą Zajączkowską-Hernig. Ten spór uświadomił liderowi Konfederacji, że wszyscy jego podwładni, których może chcieć zdyscyplinować, w każdej chwili mogą odejść do obozu Korony. Czy tak będzie z Zajączkowską – jeszcze nie wiadomo, ale o jej zerkaniu w kierunku Brauna słychać już od dłuższego czasu.

Grzegorz Braun i jego ruch przypominają nieco rewoltę hippisowską, tyle że skierowaną w stronę konserwatywną

Nie znaczy to, że po prawej stronie w ogóle nie ma krytyki polityki autora gaśnicowego happeningu. Bardzo pryncypialną krytykę Brauna wyrażają tacy nestorzy tradycji narodowej wywodzący się z opozycyjnego Ruchu Młodej Polski jak Marek Jurek czy Marian Piłka. Krytykę Brauna podejmuje też ten nurt z prawej strony, który utożsamia się z tradycją Lecha Kaczyńskiego. Tu wymienić można takich publicystów „Gazety Polskiej" jak Wojciech Mucha czy Jakub Maciejewski. Wreszcie niedawno dość nieoczekiwanie bardzo ostro lidera Korony spuentował słuchany po prawej stronie Wojciech Cejrowski: „Braun, no, jest świrem. To jest tak niepokojące. To jest urocze na pozycji Korwin-Mikkego [...]. Świr, ale on się nie nadaje na prezydenta. Świr się nadaje na ideologa".

RECEPTA NA SUKCES

Spróbujmy teraz krótko zastanowić się nad przyczynami popularności Brauna. Jest to temat na bardzo długą analizę, która mogłaby zająć przynajmniej kilkanaście stron. Na potrzeby tego tekstu wymieńmy zatem podstawowe atuty autora filmu „Gierzwałd 1877". Witold Gadowski, który skądinąd Braunowi raczej sprzyja, bardzo trafnie wskazał kiedyś, że Grzegorz Braun i jego ruch przypominają nieco rewoltę hippisowską, tyle że skierowaną nie w stronę progresywną, ale w stronę konserwatywną. Gadowski tłumaczy jej sukces jako efekt reakcji na wieloletnie zakłamanie i tabuizację wielu dziedzin życia politycznego i publicznego. I dobrym przykładem na potwierdzenie tej tezy jest sukces, który Braun odniósł, występując przeciwko idei obchodzenia święta Chanuki w Sejmie. Istotnie, jeśli największymi obrońcami tej uroczystości są politycy i komentatorzy, którzy w innych warunkach domagają się całkowitego rozdzielenia sfery religijnej od publicznej, to wrażenie podwójnej gry jest uderzające. Tak samo Braun trafia do wyobraźni wielu ludzi, gdy formułuje ich obawy wobec wizji pojawienia się po 80 latach ponownie w Polsce sporej, ponadpółtoramilionowej mniejszości ukraińskiej. W sytuacji, gdy wspomnienia z pierwszej koegzystencji Polaków i Ukraińców z okresu międzywojennego i wojennego wciąż są jeszcze silne i nienajlepsze.

Tylko że tak jak rewolta hippisowska czy rewolta 1968 r. przebyły drogę od wskazywania na realne zaniedbania i przemilczenia do przesady i wręcz skrajności, tak również Braun realne problemy przejaskrawia na tyle, że musi to budzić sprzeciw.

W uzyskaniu sporej popularności liderowi KKP pomaga też pewien niepowtarzalny styl, którym komunikuje się z tłumami przybywającymi na jego spotkania. To swoisty metajęzyk będący syntezą używania bardzo emocjonalnych słów, swoistej logiki, w której to dziedzinie przypomina wcześniejszy styl argumentacji Janusza Korwin-Mikkego, i wreszcie posługiwanie się swoistymi zaklęciami jak „eurokołchoz" czy „ukropolin", które łączą bardzo wyrazistą deprecjację z wygodnym unikaniem wchodzenia w szczegóły. Jeśli dodamy do tego przyjętą przez sztab Korony formułę zasypywania Internetu krótkimi, emocjonalnymi filmikami z cytatami z Brauna lub innych polityków Korony, to mamy przykład komunikowania się z elektoratem za pomocą swoistych „emocjonalnych pigułek". I w ten sposób Braun unika konieczności wyjaśniania niuansów swojej polityki gospodarczej, swoich pomysłów na rozwiązanie konkretnych dylematów

eprasa.pl 6f6219898c

dyplomatycznych czy np. pomysłów na polepszenie stanu służby zdrowia.

Dodatkowym atutem Brauna jest pojawienie się całej grupy półbasujących z jego retoryką publicystów internetowych, którzy poruszają podobne problemy, które podnosi Braun. To np. Radosław Pogoda, Bartosz Kopczyński, wiceprezes Instytutu Wiedzy Społecznej im. Krzysztofa Karonia, czy np. coraz częściej pojawiający się na imprezach firmowanych przez Brauna popularny wideobloger, felietonista „Do Rzeczy" Jan Pospieszalski.

TAKTYKA TRZCINY

Braun korzysta też z ataków, które przeprowadza przeciwko niemu obóz liberalny. Takie akcje jak zbieranie przez Akcję Demokrację podpisów o delegalizację partii Brauna bardzo ułatwia przedstawianie się Braunowi jako niewygodnemu głosicielowi prawdy, któremu chce się zamknąć usta, bo mówi o tym, o czym milczą inni. Również krucjaty organizacji mieniących się jako „antyfaszyści" spod znaku „Nigdy więcej" raczej przysparzają sympatię po prawej stronie wobec Brauna niż chęć do merytorycznej oceny jego wystąpień. Dobrym przykładem jest nastawienie polityków PiS, którzy dystansują się wobec pomysłu delegalizacji KPP, bo podejrzewają, że ten precedens może w przyszłości posłużyć do operacji delegalizacji samej partii Jarosława Kaczyńskiego.

Na to wszystko nakłada się jeszcze jeden czynnik. Rosnące podejrzenia, że rośnięcie w siłę Brauna jest na rękę Donaldowi Tuskowi. I nie jest to wyłącznie jakieś przeczulenie działaczy PiS, którzy niepokoją się odpływem pewnej części swego elektoratu pod sztandary Brauna. Mówią o tym publicyści sprzyjający raczej obecnej Koalicji 13 grudnia. Rafał Kalukin w „Polityce" pisze: „Być może o to właśnie chodzi (Koalicji), żeby Korona dalej rosła, gdyż to osłabia głównie PiS. Na co koalicja też może wpływać i być może po to właśnie liderzy KO zaczęli ostatnio mówić o konieczności zdelegalizowania partii Brauna. Czego oczywiście w krótkim czasie nie da się zrealizować, za to sama pogróżka może dodatkowo pomóc Braunowi mobilizować obrońców. Ale być może właśnie o to chodzi, żeby Korona dalej rosła, gdyż to osłabia głównie PiS. Świadoma gra na wzmacnianie ultraradykała byłaby oczywiście moralnie dwuznaczna i politycznie ryzykowna, nie mniej racjonalna, jeśli chodzi o wyborczą pragmatykę".

Braun czuje się w zamieszaniu jak ryba w wodzie. Tyle że ten stan mętnej wody prawej stronie na dłuższą metę raczej nie wyjdzie na zdrowie

To samo mówił Sławomir Sierakowski goszczący w studiu Onetu: „Braun to jest bardziej tajna broń rządu niż tajna broń prawicy. Bo z Braunem trudno będzie (Prawicy) zawrzeć koalicję. Braun w gruncie rzeczy odbiera głosy całości (Prawicy)".

OSTATNIA NADZIEJA TUSKA

Warto zastanowić się uważnie nad tymi słowami. Z tej perspektywy partia Brauna może jawić się jako bomba zegarowa podłożona pod jakąkolwiek przyszłą większą koalicję po prawej stronie. Braun w swoich wypowiedziach nie kryje wizji przyszłości, według której rozpad PiS jest tylko kwestią czasu, a wyjście na jaw tego, że Konfederacja Mentzena to prawicowi udawacze, musi nastąpić prędzej czy później. I to ma spowodować swoistą narodową rewolucję, której beneficjentem i zwycięzcą ma być Konfederacja Korony Polskiej. A w domyśle: Polacy mają w swojej większości dostrzec, że Grzegorz Braun jest jedyną szansą na odzyskanie niepodległości przez Polskę. Trudno wyobrazić sobie sprawnie działającą koalicję, w której udziałowcem przynajmniej jednej trzeciej akcji ma być partia, która uważa swoich dwóch pozostałych partnerów za politycznych przebierańców i sługi Ukrainy, zbrodniarzy z okresu pandemii, tych, którym się nie udało politycznie zamordować Grzegorza Brauna czy sługusów Zełenskiego. Bardzo charakterystyczna była polityczna oferta Grzegorza Brauna złożona 23 grudnia w Kielcach. Lider Korony, proponując PiS i Konfederacji Mentzena rozmowy o pakcie senackim, parokrotnie określał potencjalnych partnerów jako siły „przynajmniej werbalnie mieniące się siłami katolickimi i patriotycznymi". W tej samej wypowiedzi przestrzegł przed „pozostawieniem inicjatywy politycznej" monopolistom z układu PiS-PO. A jednocześnie użył swoistego moralnego szantażu, że jeżeli Konfederacja i partia Jarosława Kaczyńskiego nie przyjmą oferty KKP, to wezmą na siebie polityczną odpowiedzialność za utrwalenie się dominacji partii Koalicji 13 grudnia. Jeden z polityków PiS dość trafnie skomentował to, przypominając, jak w końcu lat 30. XX w. komuniści proponowali socjalistom wspólny sojusz antyfaszystowski, mówiąc: „Sytuacja jest tak groźna, że jesteśmy gotowi wyciągnąć rękę nawet do was, wy socjalzdrajcy".

Pod wieloma względami ugrupowanie Grzegorza Brauna przekracza wiele dotychczasowych norm w polskiej polityce. Liderowi KKP nie przeszkadza pokazywanie się z duetem „Jaszczur z Ludwiczkiem" czy z Mateuszem Piskorskim z prorosyjskiej partii Zmiana. Potrafi szokować tezami o planach stworzenia centrum dowodzenia wojsk izraelskich przy okazji budowy CPK. Wygłasza filipiki na temat zalet podległego Rosji Królestwa Kongresowego i miewa wypowiedzi, które naprawdę są antysemickie, a nie jedynie wychodzą poza poprawność polityczną. Zaczyna już powoli krytykować prezydenta Karola Nawrockiego za zbytnie otaczanie się ludźmi z PiS.

Jeszcze dalej posuwają się jego sojusznicy z frontu gaśnicowego, jak wspomniany już Bogdan Kopczyński, który twierdzi, że Unia i NATO realizują plan likwidacji Słowian rabina Mendela Schneersona. Korona jest pierwszą polską partią, która wytworzyła coś w rodzaju umundurowanej gwardii ochronnej swojego lidera.

Wszystko to tworzy przedziwny koktajl, który może okazać się niestrawny dla potencjalnych partnerów z PiS i Konfederacji Mentzena. Może jednak doprowadzić do koalicji, która buzować będzie ciągłymi konfliktami. A taki stan rzeczy może zapewnić Donaldowi Tuskowi albo wygraną wprost w najbliższych wyborach, albo powrót do władzy po skłóceniu się koalicjantów z potencjalnego sojuszu PiS-Konfederacja-KPP. Zarówno partia Jarosława Kaczyńskiego, jak i Konfederacja Sławomira Mentzena ma tego świadomość, ale jednocześnie nie ma dobrego pomysłu, jak rozstrzygnąć ten dylemat. A Brauna tego typu problemy nie obchodzą i czuje się w takim zamieszaniu jak ryba w wodzie. Tyle że ten stan mętnej wody prawej stronie jako całości w Polsce raczej nie wyjdzie na zdrowie. Za to bardzo pomoże Donaldowi Tuskowi w przedłużeniu swojej władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

CZY NAPOLEON CYNICZNIE WYKORZYSTAŁ POLAKÓW?

Polska napoleońska – Możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on – mówi w wywiadzie prof. Jarosław Czubaty

Betlejemski cud z kamienia – To, że przetrwała półtora tysiąca lat, można postrzegać w kategoriach cudu. Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem nie zniszczyły nawet zaciekłe wojny toczone w Palestynie

Jak Polska odzyskała wzrok – Pierwszy o ślepocie Mieszka I i odzyskaniu przez niego wzroku napisał Gall Anonim. Później w swoich kronikach powtórzyli to kolejni dziejopisarze, aż w końcu zajął się tym tematem zdolny polski malarz. Jak rozumieć te zastanawiające opowieści?

Fałsz pogańskiej męczennicy – Wbrew sugestiom reżysera filmu „Agora" Hypatia padła ofiarą mordu politycznego, a nie religijnego

Z Sarn na Sybir – Wiesław Adamczyk do końca życia przeżywał tragedię, która spotkała jego rodzinę w Związku Sowieckim. Swój wolny czas poświęcał jednak również na dokumentowanie dramatów innych małych zesłańców

Łotewskie „Dzikie Koty" – Pod koniec wojny Niemcy starali się wykorzystać Łotyszy do spowalniania sowieckiego uderzenia. Ci jednak widzieli, jakie są prawdziwe zamiary „partnerów" w Berlinie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 6f6219898c

Tam, gdzie zaczyna się tyrania

Z Mariuszem Ratajczakiem, adwokatem, obrońcą w procesie Grzegorza Brauna, lidera Konfederacji Korony Polskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Jakie zarzuty ma obrona wobec aktu oskarżenia przedstawionego posłowi Grzegorzowi Braunowi?

MARIUSZ RATAJCZAK: Trudno nie dostrzec, że od początku postępowanie to prowadzone było w szalonym tempie. Proszę choćby spojrzeć tylko na samą procedurę uchylania immunitetu panu posłowi Grzegorzowi Braunowi. Prokurator Okręgowy w Warszawie 9 stycznia 2024 r. skierował do prokuratora regionalnego stosowny wniosek, ten jeszcze tego samego dnia wystąpił z tym wnioskiem do Prokuratora Krajowego, a tenże Prokurator Krajowy jeszcze tego samego dnia do Prokuratora Generalnego. Z kolei Prokurator Generalny jeszcze tego samego dnia, tj. 9 stycznia, przekazał wniosek Prokuratora Okręgowego w Warszawie o wyrażenie zgody na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej do marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Cały formalny proces w jeden dzień. Po zakończeniu całej procedury prokurator mógł postawić zarzuty i formalnie od tego momentu obrońcy mogli uczestniczyć w postępowaniu przygotowawczym. Tu również spotkaliśmy się raczej z tempem sprintera w biegu na 100 m niż tempem maratońskim, choć być może nie jest to trafne porównanie, bo zawodowi maratończycy biegają w zasadzie już w sprinterskim tempie, ale pewna przywołana tu metafora oddaje właściwie „bieg" tego postępowania. Możemy z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością stwierdzić, że gdyby w postępowaniu przygotowawczym uwzględniono wnioski dowodowe obrony, to większość zarzutów, żeby nie powiedzieć, że wszystkie, upadłaby już na etapie postępowania przygotowawczego. Z ubolewaniem stwierdzam, że w zasadzie wszystkie wnioski dowodowe zostały oddalone. Wnioski te zmierzały przede wszystkim do prawidłowego ustalenia stanu faktycznego i mogły wykazać brak znamion przestępstwa, a przede wszystkim miały znaczenie dla rozstrzygnięcia sprawy. Decyzje takie podjął prokurator, bo to on jest gospodarzem postępowania, a obrońcy mogli jedynie oferować wnioski dowodowe, aby de facto pomóc prokuratorowi w podjęciu, na zakończenie postępowania, prawidłowo merytorycznej decyzji procesowej. Według obrony niestety nie udało się tego zrobić i akt oskarżenia trafił do sądu w takiej formie i treści, bez w zasadzie żadnej zmiany co do zarzutów pierwotnie postawionych panu posłowi.

Czy kwalifikacja prawna czynów, o które oskarżony jest pana klient, jest w pana ocenie właściwa?

Kilka słów wyjaśnienia. Jeżeli chcemy oceniać, czy kwalifikacja prawna czynów jest właściwa, to najpierw musimy prawidłowo ustalić stan faktyczny sprawy. Bez tych ustaleń, prawidłowych ustaleń, trudno odnosić się do kwalifikacji. Mówiąc ogólnie, kwestionujemy – my, obrońcy – ustalenia faktyczne, a tym samym można w dużym uproszczeniu powiedzieć, że również prawne, w tym przyjętą kwalifikację.

Jaką sankcją obciążone są zarzuty postawione posłowi Braunowi?

Na podstawie ponad 20-letniego doświadczenia obrońcy w sprawach karnych mogę stwierdzić, że postawione zarzuty panu posłowi są traktowane przez prawo karne jako drobne występki

eprasa.pl 6f6219898c

o niskim lub bardzo niskim zagrożeniu prawnokarnym, a nawet warto w tym miejscu wspomnieć, że niektóre ścigane są jedynie z oskarżenia prywatnego (chodzi m.in. o art. 212 § 1 i 2 k.k., 157 § 2 k.k.). Nie jest normą w praktyce, że prokuratura obejmuje ściganiem występki prywatnoskargowe, czyli de facto działa zamiast oskarżyciela prywatnego. Aby tak się stało, najpierw musiała podjąć decyzję, że chce to zrobić, czyli objąć ściganiem, aby formalnie możliwe było skierowanie przez nią aktu oskarżenia, w tym zakresie, do sądu. Już po moich odpowiedziach na wcześniejsze pytania możemy wysunąć chyba wniosek, że państwo polskie wyprowadziło ogromne działa procesowe przeciwko posłowi Braunowi, nieadekwatne i nieproporcjonalne do wagi postawionych zarzutów. Prawnicy karniści na pewno zgodzą się ze mną, że nawet przy przyjęciu sprawstwa i winy przy tej „drobnicy zarzutów" możliwe byłoby z powodzeniem zastosowanie instytucji warunkowego umorzenia postępowania i zakończenia postępowania nawet na etapie postępowania przygotowawczego takim właśnie wnioskiem do sądu.

W odbiorze wielu Polaków proces Grzegorza Brauna ma charakter polityczny, bo realizowany jest na polityczne zlecenie. Czy w takich okolicznościach prawo do obrony może być realizowane bez przeszkód?

Na polityce się nie znam. Ocenę zostawiam Polakom. Natomiast wydaje mi się, że trochę znam się na prawie karnym, występowałem w wielu trudnych, skomplikowanych procesach i mam nadzieję, że prawo do obrony w tym konkretnym procesie zostanie uszanowane przez państwo polskie. Na pewno o to zadbam, choć nie ukrywam, że napotykamy jako obrońcy przeszkody. Oprócz wspomnianych już uchybień w postępowaniu przygotowawczym wystarczy jedynie wspomnieć, że terminy rozpraw kolidują z terminami pracy posła Brauna w europarlamencie. Obrońcy w stosownym czasie na posiedzeniu przygotowawczym przedstawili harmonogram prac europarlamentu z uprzejmym wnioskiem o uwzględnienie tych terminów i niewyznaczanie w tych datach rozpraw sądowych. Niestety, nie zostało to uwzględnione. Oczywiste jest, że proces karny rządzi się specyficznym reżimem formalnym i to nie oskarżony wyznacza terminy rozpraw, ale oczywiste również jest to, że przy formalnie i merytorycznie uzasadnionym wniosku o niewyznaczanie terminów rozpraw w konkretnych dniach, odpowiednim i obiektywnym usprawiedliwieniu, wniosek taki powinno się uwzględnić, tym bardziej że poseł oświadczył, iż chce brać osobisty udział w każdej rozprawie i aktywnie wykonywać swoje prawo do obrony, i w żadnym zakresie nie ucierpiałoby prowadzone postępowanie karne przed sądem.

Proces posła Brauna ma doprowadzić do wyeliminowania lidera Konfederacji Korony Polskiej z życia politycznego?

Jak już wskazałem powyżej, na polityce się nie znam i nie mam żadnych politycznych ambicji, a nawet powiem więcej – muszę jako obrońca zupełnie inaczej patrzeć na ten proces, choć oczywiście perspektywa emocji politycznych, prezentowana zwłaszcza przez polityków, powinna być brana pod uwagę. Z wielkim ubolewaniem, a nawet rozczarowaniem traktuję wypowiedzi najważniejszych polityków w naszej ojczyźnie, którzy bezpośrednio odnoszą się do tego procesu, przewidując, jakie i kiedy powinno zapaść rozstrzygnięcie w tej sprawie. Presja wywierana na sąd prezentowana przez niektórych, ale liczących się polityków jest druzgocąca i bezpośrednio uderza w podstawy państwa prawa, a nawet można powiedzieć, że rujnuje dotychczasowy dorobek kultury prawnej, który ciężko wypracowaliśmy po 1989 r.

> **Presja wywierana na sąd prezentowana przez niektórych, ale liczących się polityków rujnuje dotychczasowy dorobek kultury prawnej, który ciężko wypracowaliśmy po 1989 r.**

Pana klient od miesięcy jest celem nagonki politycznej i medialnej. Sytuacja, w której znajduje się obecnie poseł Braun, może skutkować zagrożeniem jego bezpieczeństwa osobistego?

Postawił pan redaktor w zasadzie tezę, która broni się, już jak tylko włączymy telewizję i posłuchamy tego, co mają nam do przekazania główne media. Nakręcanie spirali jakiejś wysublimowanej nienawiści i niechęci jest bardzo niebezpieczne. Mieliśmy już w ostatnich latach przypadki eksplozji nienawiści przybierającej formę nieakceptowalnej przemocy. Nie możemy na to pozwolić. Szacunek do drugiego człowieka, bez wyjątku, powinien przysługiwać każdemu – czy to w debacie politycznej, czy w prywatnym życiu każdego z nas.

Czy po podjęciu się obrony Grzegorza Brauna spotkał się pan z jakąś formą szykanowania czy nacisków? Czy kierowano wobec pana groźby?

Panie redaktorze, ja boję się tylko Boga. Staram się wykonywać zawód adwokata najlepiej, jak potrafię. Ze smutkiem jednak stwierdzam, że w społeczeństwie świadomość prawna nadal nie jest wystarczająca i wielu jeszcze nie rozumie, że to, co odróżnia nas, jako praworządne społeczeństwo, od barbarzyństwa, to właśnie instytucja adwokata/obrońcy, która jest jednym z największych osiągnięć cywilizacji. Adwokat w procesie karnym to gwarancja, że nawet najsłabszy i najbardziej znienawidzony oskarżony ma głos, że prawda jest szukana w sporze argumentów, a nie w przemocy. Doskonale wiemy, że tam, gdzie nie ma niezależnej obrony, tam zaczyna się tyrania, bo bez adwokata każdy może stać się ofiarą arbitralnej władzy. Po ujawnieniu przez media danych personalnych obrońców pana posła Brauna spotkałem się z różną formą, mówiąc delikatnie, pewnej niechęci czy wręcz ataków słownych. Na różnych forach internetowych można było przeczytać mocny, a nawet bardzo obraźliwy hejt, ale warto odnotować, że na tych samych forach inni internauci wyrażali wielkie wsparcie. Zaskoczę może pana redaktora, ale otrzymałem prywatnie wiele pozytywnych wiadomości wyrażających pełny szacunek do mojej pracy, i to od ludzi z różnych środowisk. W każdym razie najważniejszy jest interes klienta, a adwokat, który się boi czegoś lub kogoś, powinien czym prędzej zawiesić togę na wieszak i poszukać zajęcia gdzie indziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Co po Żurku?

FOT. FILIP NAUMENKO/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Waldemar Żurek usiłuje przykryć swoje niepowodzenia jeszcze intensywniejszym srożeniem się, zapewnianiem, że „nie stchórzy, będzie walczyć", ogłasza kolejne polityczne akty oskarżenia, zapowiada, że niebawem ogłosi ich jeszcze więcej. Ale na jak długo może to wystarczyć? W gruncie rzeczy zależy to od przypadku i politycznych kalkulacji Tuska. Tylko że jeśli przyjdzie kryzys, to Tusk nie ma kim Żurka zastąpić

Waldemar Żurek zdołał dokonać niemożliwego: nastawić środowiska sędziowskie i prawniczy establishment przeciwko rządom Tuska. Ostatnie tygodnie ubiegłego roku to dla najbardziej epatującego wojowniczością z ministrów tej ekipy wiele upokarzających przegranych. Jeden sąd odmówił ustanowienia „hipoteki przymusowej" na nieruchomości Zbigniewa Ziobry, drugi odesłał do uzupełnienia wniosek o jego aresztowanie – w obu wypadkach występujący z wnioskami doborowi prokuratorzy ze „specjalnego zespołu" zostali jak niedouczeni studenci

eprasa.pl 6f6219898c

publicznie pouczeni o rażących błędach, których się w złożonych do sądu papierach dopuścili. Inny sąd uchylił Europejski Nakaz Aresztowania wobec Marcina Romanowskiego, kolejny odrzucił wniosek miejscowego prokuratora, uznając, że nie jest on uprawnioną stroną w sprawie, ponieważ został mianowany przez Dariusza Korneluka, ten zaś, jako powołany z naruszeniem prawa, nie jest legalnym prokuratorem krajowym. A już w ostatnich dniach, na początku nowego roku, Naczelny Sąd Administracyjny prawomocnie podtrzymał decyzję sądu wojewódzkiego, który wcześniej ukarał ministra grzywną za złamanie prawa do informacji publicznej poprzez nieudzielenie odpowiedzi na pytanie obywatela związane z decyzjami reprywatyzacyjnymi, a Sąd Apelacyjny w Warszawie orzekł, że wstrzymywanie przez rząd publikowania wyroków Trybunału Konstytucyjnego nie wpływa na fakt, iż wyroki te, wbrew całej wieloletniej propagandzie Tuska i jego ministrów, obowiązują.

Do tego dodać trzeba kompromitację „rozliczeń" w Funduszu Sprawiedliwości, gdzie, na razie, żadnych otrąbionych przez propagandę „PiS-owskich" nadużyć udowodnić ani nawet ukonkretnić się ministerstwu nie udało. Przeciwnie, wyszło na jaw, że część z rzekomo „aferalnych" decyzji z czasów PiS wykonywali także ministrowie Bodnar i Żurek. Intensywne polowania na obiecane żelaznemu elektoratowi afery, w ramach których przypadkowe osoby wtrącano do „aresztów wydobywczych", aby wymusić na nich zeznania mające dać „wyjście" na ich byłych szefów, sparaliżowały natomiast urzędników (zresztą skądinąd wiadomo, że stało się tak nie tylko w resorcie sprawiedliwości). Otwarcie przyznał to publicznie nie kto inny, jak zastępca Żurka, wiceminister Sławomir Pałka, tłumacząc, dlaczego nie rozpisano na czas konkursów i nie przyznano grantów dla organizacji zajmujących się od lat pomocą ofiarom przestępstw: urzędnicy boją się teraz cokolwiek podpisywać i na wszelki wypadek trzymają się przepisów i procedur z tak obsesyjną starannością, że w efekcie praca ministerstwa została sparaliżowana. W świetle tej wypowiedzi w tłumaczenia ministra, że „przedłużyło się", ponieważ wprowadzono „nowe, wyższe standardy niezbędne, by oczyścić system z PiS-owskich nadużyć", mogli uwierzyć już chyba tylko najbardziej zakuci wyznawcy.

Gdy już stawało się jasne, że schroniska dla ofiar przemocy domowej, pomoc psychologiczna dla ofiar przestępstw brutalnych i gwałtów, telefony zaufania oraz wszystkie inne formy realizacji statutowych celów Funduszu od 1 stycznia zostają zawieszone na nie wiadomo jak długo, a pieniądze dla ofiar przestępstw będą leżeć bezużytecznie na koncie ministerstwa, i że fakt ten prędzej czy później przedostanie się do opinii publicznej, Żurek rozpaczliwie zlecił pracę należącą do ministerstwa firmie zewnętrznej, za dodatkowy milion złotych. Firma jednak okazała się tylko sprytnym pośrednikiem, bo do wykonania ryzykownej pracy próbowała zatrudnić tych samych, byłych już, urzędników, którzy zarządzali Funduszem za czasów Ziobry i Romanowskiego – w tym m.in. poddaną niedawno przez Bodnara i Korneluka „wydobywczej" procedurze Karolinę Kucharską (która notabene w areszcie złamać się nie dała i w końcu musiano ją wypuścić). Ostatnim, na razie, akordem w tej kompromitującej ministra sprawie jest jego publiczny apel do zajmujących się od lat pomocą ofiarom instytucji, aby „działały nadal ze środków własnych", a on już niebawem, jak tylko wprowadzi obiecane „wyższe standardy", wszystko im odda. Nie spotkał się on ze strony zainteresowanych z oczekiwanym entuzjazmem, a niektórzy podali w ogóle w wątpliwość legalność tej obietnicy.

BODNAR 2.0

W tym kontekście trudno uznać za dobrze przemyślane słowa poprzednika Żurka w resorcie, Adama Bodnara, że następca „idzie jego tropem i zmianie uległ tylko sposób komunikowania się". Bodnar do swej wypowiedzi w ostatnich dniach ubiegłego roku wywołany został przez Donalda Tuska, który zasugerował, że zmiana w ministerstwie była konieczna, bo minister nie radził sobie z rozliczeniami i „próbował się dogadywać z prezydentem Dudą". Bodnar twierdzi tymczasem, że o jego dymisji zadecydowały „wyłącznie kwestie wizerunkowe". Mocnym argumentem na rzecz tej tezy jest fakt, że – pominąwszy dziesiątki buńczucznych, bojowych poryków obecnego ministra w wywiadach, mediach społecznościowych i na konferencjach prasowych tudzież pogróżek rzucanych pod adresem politycznych przeciwników, dziennikarzy i, od niedawna, sędziów orzekających „stronniczo" (czyli nie po myśli ministra) – żadnych konkretów zmiana ta nie przyniosła. Mimo powołania suto uposażonych „zespołów legislacyjnych", w których „monetyzują" swe ośmioletnie walki z PiS liderzy sędziowskiego rokoszu Iustitii, Themis i Polsko-Niemieckiego Stowarzyszenia Sędziów, jedynym konkretnym projektem ustawy, który od tego czasu przedstawiło ministerstwo, jest zmieniony tylko kosmetycznie stary projekt Bodnara, dzielący sędziów na „zielonych", „żółtych" i „czerwonych" i na tej podstawie strącający hurtem część z nich na dół hierarchii służbowej, a część usuwający z zawodu.

Projekt ten już za czasów Bodnara „zjechany" został przez Komisję Wenecką – dlatego właśnie Bodnar, wciąż liczący na międzynarodową karierę, wycofał go. Po ponownym ogłoszeniu przez Żurka zmiażdżyli pomysł „odpowiedzialności zbiorowej" według przyznanego koloru praktycznie wszyscy, także fundacje bardzo swego czasu wojujące z reformami PiS – jak Court Watch czy Fundacja Helsińska, a także opiniująca go Prokuratoria Generalna. Mimo to Tusk wykazał twarde wsparcie dla swego faworyta i projekt stał się oficjalnym przedłożeniem rządowym. Łatwo domyślić się, co będzie dalej: na polecenie Tuska zostanie oczywiście przegłosowany przez Sejm i Senat, prezydent go zawetuje i być może przygotuje własny, sensowny, którego Włodzimierz Czarzasty, w ramach zapowiedzianego „weta marszałkowskiego", nie dopuści do rozpatrzenia, a Tusk, jak zrobił już kilkakrotnie, demonstracyjnie każe zawetowany projekt raz jeszcze przegłosować i wysłać prezydentowi.

Tymczasem „zdrada" (bo tak to w sferach rządowych odebrano) wspomnianych fundacji sygnalizuje, że w środowisku sędziowskim i w prawniczym establishmencie kończy się dotychczasowa gotowość do trwania w strusiej polityce udawania, że nic się nie dzieje. Od dwóch lat środowiska te, które kiedyś tak demonstracyjnie i zajadle protestowały przeciwko każdemu drobnemu czy nawet zupełnie zmyślonemu uchybieniu polityków PiS, wobec oczywistego gangsterstwa w imię „prawa jak my je rozumiemy", zachowywały głuche milczenie i patrzyły w inną stronę. Większość zamierzała przeczekać czas „rozliczeń" w roli, by

eprasa.pl 6f6219898c

użyć frazy z Norwida, „milczących faryzeuszy", a potem mówić: och, to nie było zgodne ze standardami, ja osobiście byłem krytyczny, no, ale z drugiej strony, trzeba było, i już nie ma co do tego wracać. Ale wobec zablokowania „rozliczeń" i „przywracania praworządności", które wciąż nie wydają się, mimo wszystkich żurkowych okrzyków, ani odrobinę bliższe finału niż dwa lata temu, trwanie w tej postawie staje się zbyt trudne. Tym bardziej że Rafał Trzaskowski przegrał wybory i w Pałacu zasiadł prezydent, który otwarcie zapowiedział, że dopóty, dopóki tam pozostaje – czyli przez co najmniej pięć lat, a jeśli wszystko pójdzie jak dotąd, to dziesięć – nie podpisze awansu żadnemu sędziemu, który kwestionował status i wyroki innych sędziów bądź w inny sposób przyczyniał się do „rozliczeniowej" destrukcji wymiaru sprawiedliwości. Prezydent nie musiał dodawać, bo sędziowie są w większości na tyle inteligentni, by domyślić się sami, że w takim razie drogą do awansu będzie otwarte przeciwstawianie się zapędom Żurka i jego protektora. Reszta jest kwestią kalkulacji ryzyk.

WYSTRASZENI SĘDZIOWIE

Gra też inny czynnik: jeśli Ziobro swymi próbami reform zdołał swego czasu sędziów nastraszyć i obrócić ich przeciwko sobie, to Bodnar i Żurek sposobem, w jaki próbowali je odwrócić, przestraszyli ich jeszcze bardziej. Sędziowie od czasu Okrągłego Stołu żyli w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa i bezkarności – sami wybierali spomiędzy siebie swoje władze, sami przed sobą odpowiadali, jako jedyni decydowali, kogo do swego grona dopuszczą, a nad nowo dopuszczonymi posiadali władzę podobną, jak w PRL-owskim wojsku „falowcy" nad „kotami". PiS próbował część z nich przeciągnąć na swoją stronę i przejąć nad sędziowską enklawą kontrolę za ich pośrednictwem – ale Bodnar, a zwłaszcza Żurek, spróbowali czegoś więcej: objęcia sędziów bezpośrednio kontrolą polityków. Momentem krytycznym było tu wyznaczenie przez Żurka nowych prezesów sądów demonstracyjnie wbrew opiniom kolegiów tych sądów, jeszcze z bezczelnym uzasadnieniem, że „musi mieć w sądach swoich zaufanych ludzi", oraz przywrócenie mechanizmu przydzielania spraw przez prezesa zamiast ich losowania (mechanizmu stanowiącego jeszcze w PRL narzędzie trzymania sędziów w ryzach – taki, który „się stawia", jest zasypywany robotą najbardziej niewdzięczną, a posłuszny dostaje sprawy lekkie, nieskomplikowane). To obudziło świadomość, że jeśli takie „reformy" przejdą, to kolejna władza, wcześniej czy później, wykorzysta je do zemsty z kolei na tych, którzy teraz są posłuszni albo milczą.

Mało znany jest fakt, że Polska stała się liderem w liczbie „pytań prejudycjalnych", którymi dosłownie zasypujemy TSUE – w ostatnim roku polscy sędziowie wysłali ich więcej niż cała reszta UE. Czy trudno to zrozumieć? W niepewnej sytuacji, nie wiedząc, pod kogo się „podwiesić" i kto ostatecznie wygra, najlepiej wysłać takie pytanie do Luksemburga i zyskać na czasie, jak dobrze pójdzie, nawet rok.

W wymiarze sprawiedliwości powtarza się to samo, co w państwowych mediach. Chcieli przejąć – a tylko zniszczyli

W dodatku od dwóch lat nie są rozpisywane konkursy na asesorów i sędziów, pracy przybywa (paradoksalnie – „neosędziowie" tam, gdzie w ramach opanowania sądów przez rokoszan, np. w Warszawie u sędziego Gąciarka poodsuwano ich od orzekania, okazują się wygranymi – zarabiają tyle samo, a narobić się nie narobią, choćby chcieli), a fundusz płac dla pracowników sądów powszechnych został właśnie zmniejszony, z powodu wiadomych kłopotów budżetu państwa, o 95 mln zł. Co szczególnie zaboli zwykłych sędziów, kuratorów czy specjalistów w zestawieniu z eldorado, które Żurek zafundował wspomnianym już „zasłużonym" bojownikom w togach w ministerialnych „komisjach kodyfikacyjnych" (o tej sprawie pisał niedawno na naszym portalu sędzia Łukasz Zawadzki). Zmasowany atak na „neosędziów" i próba usunięcia ich z wymiaru sprawiedliwości sprawił, że ludzie wcześniej niepoczuwający się do wspólnoty – przecież bycie „neosędzią" wynikło po prostu z daty urodzenia – zrozumieli, że muszą się bronić przed wspólnym wrogiem, establishmentem ze „stowarzyszeń sędziowskich". Biologia jest po ich stronie, już zaczęły się w prorządowym Onecie lamenty, że „neosędziowie przejmują kontrolę nad Sądem Najwyższym".

W ten sposób Martyniukom, Wawrykiewiczom, Przymusińskim i podobnym udało się przenieść podział na politycznych Hutu i Tutsi do środowiska, które ma konstytucyjny zakaz zajmowania się polityką, i doprowadzić do przewlekłej wojny „nowych" sędziów ze starymi.

TUSK, CZYLI KATASTROFA

Wszystko to sprawia, że zbliża się wielka fala przedawnień – głównie w sprawach kryminalnych. Masa spraw leży, bo czeka na „test niezawisłości" sędziego, bo wyższa instancja zakwestionowała status składu orzekającego w niższej etc. Prędzej czy później jakiś „przedawniony" bandyta czy pedofil, który powinien być w więzieniu, a dzięki obłędowi „rozliczeń" nie będzie, kogoś w spektakularny sposób zamorduje, pobije czy zgwałci, co nie pozostanie bez wpływu na nastroje wyborców.

Waldemar Żurek usiłuje przykryć to wszystko jeszcze intensywniejszym srożeniem się, zapewnianiem, że „nie stchórzy, będzie walczyć", ogłasza kolejne polityczne akty oskarżenia (Jan Krzysztof Ardanowski, Robert Bąkiewicz), zapowiada, że niebawem ogłosi ich jeszcze więcej (Daniel Obajtek). Ale na jak długo może to wystarczyć? W gruncie rzeczy zależy to od przypadku i politycznych kalkulacji Tuska.

Tylko że jeśli przyjdzie kryzys, Tusk nie ma kim Żurka zastąpić. Brnąc w wojnę i „rozliczenia z PiS", uzależnił się od niego, podobnie jak od Giertycha i sekty Silnych Razem. Nie może się wycofać. Może tylko, teoretycznie, sięgnąć po kogoś jeszcze bardziej „żurkowego". Po sieci krąży mem, na którym jako ten następca prezentowany jest wymachujący pięściami „freekfighter" Jacek Murański, znany z kampanii prezydenckiej. „Koniec miękkiej gry, teraz rozliczenia wreszcie ruszą z miejsca!"

A tak poważnie – w wymiarze sprawiedliwości powtarza się to samo, co w państwowych mediach. Chcieli przejąć – a tylko zniszczyli. Trudno sobie wyobrazić jakiekolwiek inne wyjście z tego kataklizmu, którym okazują się rządy Tuska, niż poprzez głęboki reset i postawienie całego systemu od nowa na odmiennych niż dotąd zasadach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Niemieckie ziomkostwa „wypędzonych” w Polsce

Andrzej Krzystyniak

Mimo początkowych protestów wobec zapisów polsko-niemieckiego traktatu Związek Wypędzonych zrezygnował w końcu z agresywnych żądań rewizji granic względem Polski, choć formalnie nigdy nie ogłosił oficjalnego zrzeczenia się roszczeń terytorialnych względem Polski. Niemcy zaczęły skupiać się na pokojowej, pozbawionej agresji działalności mającej na celu „pielęgnowanie wspólnego dziedzictwa kulturowego” na obszarach „zamieszkiwanych niegdyś przez ludność niemiecką”

Niemiecka polityka względem ziem utraconych na rzecz Polski po zakończeniu drugiej wojny światowej przeszła od 1945 r. kilka faz – począwszy od agresywnego działania różnej maści ziomkostw zrzeszających się w organizacje, jak się okazywało – bardzo wpływowe, tzw. wypędzonych, a skończywszy na agresywnej retoryce domagającej się rewizji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Wpływy i liczebność „wypędzonych” skutecznie blokowały na długie lata uznanie przez Republikę Federalną Niemiec polskiej granicy zachodniej. Oczywiście Niemiecka Republika Demokratyczna od początku swego istnienia, będąc składową tzw. Bloku Wschodniego, czyli państw pozostających w sojuszu ze Związkiem Sowieckim, uznawała granice ustalone po drugiej wojnie światowej decyzją zwycięskich mocarstw. Z kolei w Republice Federalnej przez całe dziesięciolecia trwał różnego rodzaju festiwal żądań względem rewizji polskiej granicy, podsycany głównie przez organizacje grupujące „wypędzonych” Niemców wedle pochodzenia, np. wysiedleni z obszaru Prus Wschodnich organizowali się w Ziomkostwo Prus Wschodnich, ze Śląska – w Ziomkostwo Śląskie itp. Wszystkie stowarzyszenia łączyła postawa nieustępliwości żądań względem Polski, ponadto zjednoczenie wszystkich tego typu organizacji w jeden związek pod nazwą Związek Wypędzonych.

Po upadku bloku wschodniego i wycofaniu się Związku Sowieckiego ze swej strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej, a co za tym idzie – po zjednoczeniu Niemiec, oba kraje: Polska i Niemcy, podpisały traktat o dobrosąsiedzkich stosunkach. Przy czym kluczowe dla strony polskiej było i jest do dziś uznanie przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, wraz ze zrzeczeniem się roszczeń terytorialnych względem Polski. Mimo początkowych protestów wobec zapisów polsko-niemieckiego traktatu Związek Wypędzonych zrezygnował w końcu z agresywnych żądań rewizji granic względem Polski, choć – o czym niewiele osób zdaje sobie sprawę – formalnie nigdy nie ogłosił oficjalnego zrzeczenia się roszczeń terytorialnych względem Polski. Można zaryzykować stwierdzenie, że od tego momentu Niemcy zaczęły skupiać się na pokojowej, pozbawionej agresji działalności mającej na celu – jak możemy przeczytać powtarzającą się niczym stała preambuła w prawie każdym statucie czy w deklaracji ideowej niemieckiej organizacji działającej lub mającej swe cele w Polsce – „pielęgnowanie wspólnego dziedzictwa kulturowego” na obszarach „zamieszkiwanych niegdyś przez ludność niemiecką”.

Tak również określił cele związku na ostatnim spotkaniu z przedstawicielami organizacji 8 kwietnia 2025 r. w Berlinie przewodniczący związku Bernd Fabritius: „Dziedzictwo kulturowe obszarów wypędzonych powinno być zachowane w świadomości ludności wypędzonej, całego narodu niemieckiego oraz osób mieszkających za granicą, a działania na rzecz rozwoju dorobku kulturowego powinny być stale rozszerzane. Badania naukowe i wystawy muzealne na najwyższym poziomie są bardzo ważne, ale nie wystarczą do osiągnięcia celu, jakim jest zachowanie tego kulturowego skarbu. Niemieccy wypędzeni, przesiedleńcy repatrianci, a także rodacy, którzy pozostali w swojej ojczyźnie jako nosiciele tej wciąż żywej kultury, wykonują z radością dużą część pracy na rzecz tego dorobku”.

eprasa.pl 6f6219898c

Pytanie, które należałoby zadać w tym miejscu, to czy ludność zamieszkująca od kilku pokoleń obszary, z których przesiedlono niemieckich „wypędzonych", również tak bardzo pragnie zachowania na swoim obszarze „skarbów niemieckiej kultury", czy aby nie jest takowe działanie postrzegane jako forma ukrytego rewizjonizmu, od którego odżegnują się dziś władze organizacji. Tym bardziej że jeszcze w 2014 r., w wywiadzie udzielonym „Rzeczpospolitej", Bernd Fabritius, nowo wybrany wówczas szef Związku Wypędzonych, jasno wyraził swój pogląd, nazywając „bezprawiem fakt, że cała niemiecka społeczność etniczna została przymusowo wysiedlona z Polski i innych krajów. Jak również jego zdaniem „Niemcy mieli prawo pozostać tam, gdzie żyli od wieków". A wysiedlenia, w jego opinii wyrażonej w 2014 r., „były, są i będą bezprawne". Warto wspomnieć, że Bernd Fabritius został w 2018 r. wybrany na pełnomocnika rządu RFN do spraw mniejszości narodowych, w tym Polonii w Niemczech i niemieckiej mniejszości w Polsce.

ZIOMKOSTWO PRUS ZACHODNICH

Związek Wypędzonych jest organizacją, która zdaje się od początku swego powstania nie tracić wiele ze swych wpływów, a wręcz przeciwnie. Liczy się z nią każdy niemiecki rząd. A „każdy niemiecki rząd poczuwa się do szczególnej odpowiedzialności zarówno wobec rodaków wypędzonych z ojczyzny, jak i wobec tych, którzy pozostali w dawnej ojczyźnie i mieszkają tam jako mniejszości" – jak zauważyła w 2018 r. ówczesna niemiecka kanclerz Angela Merkel. Trudno, żeby było inaczej, biorąc pod uwagę olbrzymi potencjał wyborczy „wypędzonych", na dodatek finansowanych z budżetu federalnego. Członkowie organizacji odbywają co roku w Berlinie spotkania, na których omawiają bieżącą działalność związku i jego cele na przyszłość, a te pozostają niezmienne, cokolwiek się za nimi kryje. Związek żywo interesuje się sytuacją w Polsce, energicznie reaguje na relację, którą polski rząd utrzymuje z mniejszością niemiecką, np. w 2022 r. protestował przeciwko ograniczeniu finansowania lekcji języka niemieckiego przez polskie władze. Przewodniczący związku, Bernd Fabritius, napisał wówczas w specjalnym oświadczeniu, że jego zdaniem „polskie państwo dyskryminuje mniejszość niemiecką, utrudniając jej naukę języka ojczystego".

Mnogość powstałych w Polsce od początku lat 90. niemieckich fundacji, stowarzyszeń, ruchów itp. musi każdorazowo zadziwiać nawet przy dosyć pobieżnej analizie. O ile powstałe po 1989 r. w Polsce fundacje, stowarzyszenia czy ruchy (jak np. Ruch Autonomii Śląska), prowadzące jawnie proniemiecką politykę, na stałe już wpisały się w polski krajobraz polityczny, zwłaszcza działalność samorządową, o tyle zadziwiać musi działalność na obszarze Polski ziomkostw zrzeszonych w Związku Wypędzonych. Rzecz oczywista – dzisiaj wszystkim organizacjom oficjalnie chodzi już tylko o „pielęgnowanie dziedzictwa kulturowego", jak np. w przypadku Ziomkostwa Wschodniopruskiego czy Ziomkostwa Prus Zachodnich.

To ostatnie, niewiele znane polskiej opinii publicznej, prowadzi dosyć aktywne działania, uznając obszar dolnej Wisły, nazwany przez Niemców „Prusami Zachodnimi", za cześć niemieckiego dziedzictwa kulturowego. Przypomnijmy, że chodzi o tereny w większości odłączone od Rzeczypospolitej i zagarnięte przez Prusy w wyniku I rozbioru Polski w 1772 r. Z kolei większość tego obszaru powróciła do Polski po odzyskaniu niepodległości po 1918 r., o czym Ziomkostwo Prus Zachodnich już nie wspomina. Lakonicznie tylko podając, że „Prusami Zachodnimi określa się region rozpościerający się nad dolnym biegiem Wisły – od Torunia na południu do Gdańska nad Morzem Bałtyckim. Z kilkoma przerwami Prusy Zachodnie tworzyły od 1772 do 1920 r. prowincję pruską".

Ważną, jeśli nie kluczową rolę w funkcjonowaniu Ziomkostwa Prus Zachodnich tworzy pamięć o niemieckich wysiedleńcach po zakończeniu przegranej przez Niemcy drugiej wojny światowej. Działające od 1949 r. Ziomkostwo Prus Zachodnich nie zapomniało, co istotne, o swoich pierwotnych celach i fundamencie swej działalności, którym są „wypędzenia", jednak w tym przypadku trudno mówić o „wypędzonych z prastarej niemieckiej krainy", skoro ziemie te zostały Polsce odebrane w wyniku rozbiorów. O korzeniach organizacji przypomina apel wystosowany przez ziomkostwo do „wypędzonych": „Drodzy rodacy z Prus Zachodnich 80 lat po ucieczce i wypędzeniu z ojczyzny, zwracam się dziś do was i waszych rodzin, zachęcając do pielęgnowania ochrony i doceniania historii dziedzictwa kulturowego prowincji Prusy Zachodnie. Pokolenie, które doświadczyło tych wydarzeń osobiście, naturalnie się kurczy, jednak historia tego unikatowego europejskiego krajobrazu kulturowego wzdłuż dolnej Wisły nie może zostać zapomniana. Wciąż istnieje wiele dobrze funkcjonujących lokalnych towarzystw historycznych i muzeów, ich przyszłość w dużej mierze zależy od licznej Rzeszy sympatyków i potomków, którzy interesują się historią Prus Zachodnich oraz własnymi własnym pochodzeniem i korzeniami".

Pełnomocnik rządu Niemiec do spraw mniejszości narodowych i przesiedleń Bernd Fabritius na gali jubileuszowej z okazji 35-lecia założenia Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim

FOT. KRZYSZTOF ŚWIDERSKI/PAP

LICZNI STRONNICY

Z apelu opublikowanego przez organizację można wysnuć wniosek, że „europejski krajobraz kulturowy dolnej Wisły" może ulec, bez przypominania niemieckich osiągnięć, zapomnieniu. Przy okazji dbania o kulturowy krajobraz „niemieckiego wschodu", a z polskiej strony patrząc Ziem Odzyskanych, warto dostrzec, kim są lub też były w przeszłości osoby obdarowywanie przez Ziomkostwo Prus Zachodnich tzw. nagrodą Kultury Prus Zachodnich (Westpreußische Kulturpreis). Pierwszym nagrodzonym za zasługi na rzecz pielęgnowania kultury Prus Zachodnich był w 1959 r. niemiecki pisarz, poeta Carl Lange, urodzony

eprasa.pl 6f6219898c

w 1885 r. w Bremie, oddany w pełni ideowy zwolennik reżimu nazistowskiego, który to m.in. w wydanej w 1940 r. powieści „Die Befreiung Danzigs" („Wyzwolenie Gdańska") gloryfikował, a wręcz wychwalał pod niebiosa niemiecką agresję na Polskę, widząc w niej z perspektywy Gdańska „wyzwolenie niemieckich ziem z tymczasowego władania przez Polaków", za co też w swej książce wyrażał wielką wdzięczność Führerowi i jego „dziełu wyzwolenia Gdańska". Inny z uhonorowanych nagrodą Kultury Prus Wschodnich w roku 1982, Niels von Holst, był w czasie wojny pracownikiem Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg – organizacji odpowiedzialnej m.in. za grabież dzieł sztuki z terenów podbitych przez Niemcy, bynajmniej nie był w niej szeregowym pracownikiem.

Gwoli usprawiedliwienia można wspomnieć, że całe to nagradzanie działo się w skomplikowanej przeszłości, lecz choć wymienione postacie nie służyły bynajmniej pojednaniu, to może warto by obecnie w duchu budowania wspólnej przyszłości odciąć się od tego typu nagradzanych w przeszłości osób, wraz z przyznawanymi im nagrodami na polu kultury. Wspomnijmy jeszcze, że w 2025 r. nagrodzony przez Ziomkostwo Prus Zachodnich został Peter Oliver Loew, niemiecki historyk, biegunowo odległy od wspomnianych wcześniej nagrodzonych tą samą nagrodą postaci, na których złe towarzystwo bynajmniej nie zasłużył. Choć trzeba odnotować, że swoimi niektórymi wypowiedziami budzi w stronie polskiej skrajne emocje. Przez jednych nazywany jest „ambasadorem spraw polskich" w Niemczech, przez innych – osobą „negującą niemieckie zbrodnie", zrzucającą jednocześnie winę na Polaków.

Stronie niemieckiej trzeba oddać, że posiada zdecydowanie więcej swoich stronników w Polsce niż strona polska w Niemczech i również w… Polsce, jeśli chodzi o wzajemne relacje i spory. W Polsce, dzięki niezwykłej wręcz w porównaniu z naszym państwem aktywności strony niemieckiej, nawet niewielka liczebnie mniejszość potrafi zmusić stronę polską do realizowania swych celów. Przymnijmy, o czym już wspominałem na łamach „Do Rzeczy", że mniejszość niemiecka na Śląsku swymi protestami przy biernej postawie strony polskiej doprowadziła niedawno do usunięcia makiety stojącej na terenie filii dawnego niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz w dzielnicy Zgoda w Świętochłowicach. Dodajmy, że po wojnie komuniści urządzili tam obóz pracy dla osób, które uznali za niepewne politycznie. Powodem protestów miał być, zdaniem przedstawicieli mniejszości niemieckiej, rzekomo niezgodny z prawdą historyczną napis na makiecie mówiący o „niemieckim obozie koncentracyjnym" do 1945 r., po wojnie zaś „komunistyczny obóz pracy". Żądano „korekty napisu" albo na „niemiecki" do 1945 r. i później – co ważniejsze – „polski", albo ostatecznie „nazistowski" i „komunistyczny". „Korekta" napisu okazała się jednak wątpliwa pod względem prawnym, w związku z tym makieta po prostu została usunięta z placu przed obozową bramą.

Stronie niemieckiej trzeba oddać, że posiada zdecydowanie więcej swoich stronników w Polsce niż strona polska w Niemczech i również w… Polsce

UKRYTY CEL

Zadziwiają jak zawsze bierność i milczenie strony polskiej. Na polskich Ziemiach Odzyskanych prowadzą swą działalność organizacje będące składową Związku Wypędzonych. Co prawda, nie domagają się już rewizji polskiej granicy zachodniej, lecz nigdy nie odcięły się oficjalnie od swej rewizjonistycznej przeszłości. Obecnie pragną jedynie wspólnego „pielęgnowania dziedzictwa kulturowego". Ziomkostwo Prus Wschodnich z główną siedzibą w Hamburgu od 2011 r. posiada oficjalnie swoje biuro w Olsztynie. Co ciekawe, ta sama organizacja w 2004 r. również w Olsztynie zorganizowała trwający kilka dni Kongres Ziomkostwa Prus Wschodnich, na który przybyli m.in. przedstawiciele organizacji z Niemiec. Kongres wzbudził wówczas protesty niektórych lokalnych środowisk, m.in. Prawa i Sprawiedliwości. Udziału w kongresie odmówił ówczesny prezydent Olsztyna Czesław Małkowski.

Stosunek do ziomkostwa uległ jednak w tamtym regionie na przestrzeni lat radykalnej zmianie, bo oto od prawie dwóch dekad Ziomkostwo Prus Wschodnich organizuje w Olsztynie Kongresy Polityki Komunalnej, w których ochoczo uczestniczą przedstawiciele polskich władz, głównie samorządów. Można rzec, że Ziomkostwo Prus Wschodnich stało się stałym elementem politycznego krajobrazu Warmii i Mazur. Przy bezrefleksyjnej postawie polskich władz. Strona polska wydaje się być zachwycona tego rodzaju współpracą, szczególnie zaś przyznawanymi i fundowanymi przez państwo niemieckie nagrodami za różnoraką działalność kulturalną. Jak np. Nagroda Kulturalna Śląska Kraju Związkowego Dolnej Saksonii przyznawana od 1977 r., która powstała jako wyraz solidarności kraju związkowego Dolna Saksonia z Niemcami wysiedlonymi ze Śląska po 1945 r. Przyjęta z zachwytem i bezrefleksyjnie w Polsce po 1989 r. sprawia wrażenie, jakby Niemcy stanowiły jedyny element kulturotwórczy na Śląsku, bez którego uznania nie powstało i już nie powstanie nic wartościowego. Czyżby taki był cel „wspólnego pielęgnowania przeszłości" na Ziemiach Odzyskanych?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

FOT. ADOBE STOCK

Szeryfowie światłowodu

Radosław Wojtas

Certyfikowani „zaufani sygnaliści" mają pilnować bezpieczeństwa w Internecie na terenie Unii Europejskiej. Platformy takie jak Facebook, X czy YouTube muszą traktować ich zgłoszenia priorytetowo i reagować „bez zbędnej zwłoki". Krajowi Koordynatorzy ds. Usług Cyfrowych nadali już certyfikaty pierwszym organizacjom, a w tle starań o słuszne przecież zwiększanie bezpieczeństwa w sieci stawiane są pytania o cenzurowanie Internetu

Jeśli w rodzinie Nawrockich rozmawia się przy stole o pracy, to jednym z tematów wigilijnej kolacji mogła być ustawa wdrażająca w Polsce Akt o usługach cyfrowych (DSA), która trafiła do podpisu na biurko prezydenta tuż przed świętami. Kiedy piszę te słowa, nie wiemy jeszcze, czy prezydent ją zawetował czy odesłał do Trybunału Konstytucyjnego. Trzecia opcja – czyli złożenie na niej podpisu – jest raczej mało prawdopodobna. Zapewne nie pomoże apel zainicjowany przez Fundację Panoptykon, w którym „132 ekspertów i ekspertek zaapelowało do pierwszej damy" o poparcie ustawy, „która da polskim rodzicom skuteczne narzędzia do walki o bezpieczeństwo dzieci w Internecie".

Karol Nawrocki podziela bowiem obawy tej części społeczeństwa, klasy politycznej i komentariatu, która niepokoi się, że ochrona dzieci, walka z dezinformacją, propagandą i hejtem to tylko ładne opakowanie, pod którym kryje się poważne zagrożenie. „Pod pozorem walki z nielegalnymi treściami i dezinformacją rząd chce ograniczyć wolność słowa, poprzez wprowadzenie mechanizmu blokowania wypowiedzi arbitralnymi decyzjami administracyjnymi urzędników. Nie tak to powinno wyglądać. Warto zabrać głos, zanim spróbują zabrać go Tobie" – napisał na X jeszcze w październiku Nawrocki.

Niezależnie od polskich rozstrzygnięć Akt o usługach cyfrowych na terenie Unii Europejskiej obowiązuje i wszedł właśnie w nową fazę – 29 grudnia 2025 r. Komisja Europejska opublikowała listę zaufanych podmiotów sygnalizujących. Nie ma na niej jeszcze polskich sygnalistów, ale niewiele to zmienia, bo „polski Internet" będą mogli patrolować sygnaliści np. z Francji czy Niemiec.

NADZWYCZAJNA KASTA INTERNETU

Czasy, kiedy Internet przypominał Dziki Zachód, pamiętają już tylko ci, którzy potrafią przywołać dźwięk łączącego się z siecią telefoniczną modemu. Było to miejsce chaotyczne, głośne, czasem niebezpieczne, ale przede wszystkim – wolne. Szeryf zaglądał tam rzadko, a jeśli już, to ścigał bandytów z krwi i kości, a nie tych, którzy wywiesili w saloonie plakat z nieprawomyślnym hasłem. Przez lata rządy i urzędnicy podejmowali różne próby cywilizowania cyfrowego Dzikiego Zachodu, żadne nie zrobiły z Internetu miejsca wolnego od nadużyć i przestępstw, bo to niemożliwe. Niektóre z nich – jak ACTA – wywoływały głośne protesty, inne – jak pomysł „licencjonowania" blogerów – raczej pobłażliwe uśmiechy. Dziś nowe prawo wchodzi po cichu, chyba skaczący na mrozie w 2012 r. („kto nie skacze, ten za ACTA") mają już zbyt poważne PESEL-e, a młodszym nie robi różnicy, czy supermoderatorem będzie ktoś zatrudniony w korporacji Marka Zuckerberga czy wskazany przez urzędników Ursuli von der Leyen.

Zanim przyjrzymy się liście supermoderatorów, spróbujmy wyjaśnić, jaką rolę będą odgrywać. A rzecz, jak na krainę regulującą krzywiznę bananów i uznającą ślimaka za rybę przystało, nie jest wcale taka oczywista. Artykuł 22 DSA wprowadza do ekosystemu cyfrowego nową kastę podmiotów – zaufanych podmiotów sygnalizujących (Trusted Flaggers). Brzmi to niewinnie, wręcz kojąco – ot, ktoś zaufany, kto dba o to, by w sieci było bezpieczniej. Rzeczywistość może być bardziej skomplikowana. Zgodnie z nowymi przepisami giganci technolo-

eprasa.pl 6f6219898c

giczni – Meta, TikTok, X, YouTube etc. – mają obowiązek traktować zgłoszenia od tych podmiotów priorytetowo. To nie jest zwykły przycisk „zgłoś", który wciskamy, widząc spam. Zgłoszenie od „zaufanego sygnalisty" trafia na „szybką ścieżkę", omijając standardowe procedury.

W praktyce oznacza to, że wybrane organizacje pozarządowe zyskują status cyfrowych superużytkowników. I tu dochodzimy do sedna problemu – „prywatyzacji cenzury". Jeśli bowiem państwo przekazuje kompetencje do ograniczania treści podmiotom prywatnym – NGO-som, które często same są finansowane z publicznych pieniędzy (rządowych lub unijnych) – to tworzy się niezwykle wygodny dla władzy mechanizm „prania polityki". Mechanizm genialny w swojej prostocie i makiaweliczny w skutkach. Rząd nie musi już bezpośrednio cenzurować niewygodnych treści, co zawsze wywołuje opór i oskarżenia o autorytaryzm. Wystarczy, że odpowiednio dofinansuje zaufaną organizację, która w imię walki z dezinformacją czy mową nienawiści zgłosi treści do usunięcia. Właściciel platformy społecznościowej, bojąc się gigantycznych kar przewidzianych w DSA (nawet do 6 proc. globalnego obrotu), usunie je „bez zbędnej zwłoki".

Na pytanie, co oznacza termin „bez zbędnej zwłoki", jako wymagany od właścicieli portali czas reakcji na zgłoszenie sygnalisty, odpowiedzi udzielić będzie musiała praktyka, bo przepisy tego nie precyzują. Ta presja czasowa ma fundamentalne znaczenie dla jakości procesu decyzyjnego. Platformy internetowe staną przed wyborem: przeprowadzić wnikliwą analizę prawną kontekstu wypowiedzi (co zajmuje czas i kosztuje), ryzykując przekroczenie terminu, czy zdać się na „ekspertyzę" zaufanego podmiotu sygnalizującego i usunąć treść automatycznie lub półautomatycznie. Mając na uwadze koszty weryfikacji i ewentualnej kary finansowej, wybór jest tylko pozorny. Moderacja w UE zostanie częściowo wyoutsorsowana do NGO-sów, a powszechne już dziś zjawisko over-removal (nadmiernego usuwania treści, gdzie treści legalne, ale kontrowersyjne, satyryczne lub będące elementem ostrej debaty politycznej są usuwane prewencyjnie) może być coraz częstsze. Korporacjom ostatecznie chodzi o zysk, a jeśli ten zostanie zachowany lub zwiększony kosztem wolności słowa użytkowników, to trudno.

ZAUFANI BRUKSELI

Akt o usługach cyfrowych podkreśla konieczność niezależności zaufanych sygnalistów od platform internetowych, ale nie wspomina o niezależności od rządów, grantów rządowych oraz unijnych. Nic nie stoi na przeszkodzie, by jako zaufane podmioty sygnalizujące certyfikować agencje rządowe i organizacje pozarządowe, finansowane w większości lub w pełni z grantów przyznawanych przez polityków. W rezultacie można mieć uzasadnione obawy, że tworzy się właśnie mechanizm, który można nazwać cenzurą przez pośrednika. Rząd, ograniczony konstytucją w zakresie bezpośredniego cenzurowania obywateli, może finansować NGO, która – wyposażona w certyfikat ZPS i społeczny autorytet – będzie masowo zgłaszać treści krytyczne wobec władzy jako dezinformację lub mowę nienawiści. Platformy, zobligowane do priorytetowego traktowania tych zgłoszeń, będą je usuwać, realizując pośrednio wolę polityczną.

Zrozumienie mechanizmu ZPS wymaga analizy tego, kto aspiruje do tej roli i kto za to płaci. Na liście zaufanych sygnalistów znalazła się np. niemiecka organizacja HateAid, pozycjonująca się jako organizacja wspierająca ofiary przemocy w sieci, oferująca pomoc prawną i psychologiczną. Organizacja, finansowana w znacznej części z grantów federalnych, została niedawno oskarżona przez administrację Donalda Trumpa o niezgodne z prawem USA cenzurowanie amerykańskich platform internetowych, a na aktywistki tego NGO – Josephine Ballon i Annę-Lenę von Hodenberg – nałożono zakaz wjazdu na terytorium Stanów Zjednoczonych. Certyfikowana na Malcie Foundation for Social Welfare Services to instytucja rządowa. Z kolei przykład sygnalisty z Francji – stowarzyszenia Point de Contact, specjalizującego się w walce z pornografią dziecięcą i treściami terrorystycznymi – pokazuje, jak kruchy potrafi być model funkcjonowania NGO, którego istnienie może być zależne od woli politycznej. Po wycofaniu części publicznego wsparcia organizacja zaczęła borykać się z problemami finansowymi i publicznie zaapelowała o wsparcie. Sieć INACH, z siedzibą w Amsterdamie, która jest kluczowym podmiotem w europejskim krajobrazie moderacji treści, skupia dziesiątki organizacji z całego świata i odgrywa istotną rolę w konsultacjach z Komisją Europejską, jest w dużej mierze przez tę Komisję finansowana.

PASZPORT CENZORA

Nie wiemy jeszcze, które polskie organizacje będą ubiegać się o status zaufanego sygnalisty; można domniemywać, że mogą to być takie podmioty jak Demagog, Nigdy Więcej czy Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. Koordynatorem do spraw usług cyfrowych jest w Polsce prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Tymczasowo jego mandat obejmuje wyłącznie kilka określonych przepisów rozporządzenia DSA. Pełna implementacja Aktu o usługach cyfrowych wymaga podpisu prezydenta pod wspomnianą na początku ustawą. Zatem certyfikacja sygnalistów w Polsce nie jest jeszcze możliwa. „UKE nie proceduje wniosków o nadanie statusu zaufanego podmiotu sygnalizującego. Kompetencje Prezesa UKE w zakresie nadawania ww. statusu reguluje ww. ustawa i dopiero jej wejście w życie da prezesowi mandat do podejmowania działań w zakresie certyfikacji podmiotów zaufanych" – informuje biuro prasowe UKE.

Tylko że obowiązuje tu zasada transgraniczności. Przepisy mówią wprost: status przyznany przez regulatora w jednym kraju (np. w Niemczech) jest ważny w całej Unii Europejskiej wobec każdej platformy. W praktyce oznacza to, że organizacja certyfikowana przez niemiecki urząd ma prawo zgłaszać treści na platformach takich jak X, Facebook czy YouTube, a platformy te mają prawny obowiązek traktować te zgłoszenia priorytetowo i rozpatrywać je „bez zbędnej zwłoki" – niezależnie od tego, czy autorem treści jest Niemiec, Polak czy Hiszpan. Największym zagrożeniem nie jest samo zgłaszanie, ale swoisty „eksport prawa". Właśnie tracimy cyfrową suwerenność. Decyzje o tym, co jest dopuszczalne w polskiej debacie publicznej prowadzonej w Internecie, mogą zapadać w Berlinie, Paryżu czy Brukseli, a realizowane będą przez algorytmy w Dolinie Krzemowej. A my niewiele możemy z tym zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Spór Krzysztofa Stanowskiego z Dorotą Wysocką-Schnepf, jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy „odnowionej" TVP, wybuchł w trakcie kampanii prezydenckiej

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Kneblowanie Kanału

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Jedyne, co dotychczas w ramach sądowej wojny z Kanałem Zero osiągnęła Dorota Wysocka-Schnepf, to „efekt Streisand". Próby medialnej cenzury w dobie Internetu nie mogą zakończyć się sukcesem, czego dowodem jest decyzja sądu

Pod koniec listopada Sąd Okręgowy w Warszawie wydał zabezpieczenie, w którym zakazał Kanałowi Zero, jego założycielowi, Krzysztofowi Stanowskiemu, i dziennikarzowi Robertowi Mazurkowi publikowania materiałów na temat dziennikarki Telewizji Polskiej Doroty Wysockiej-Schnepf. Dodatkowo nie mogą nazywać jej „arcykapłanką propagandy". To pierwszy ruch sądu w ramach pozwu o naruszenie dóbr osobistych, który złożyła przedstawicielka TVP. – Pozew to pozew. Szczerze mówiąc, nawet go nie przeczytałem […]. Natomiast zabezpieczenie jest fantastyczne – kpił w programie „Mazurek & Stanowski" szef Kanału Zero. Wysocka-Schnepf ogłosiła zwycięstwo. „Jak to szło, panie Stanowski? »Masz jedno zadanie: zamknąć się«? Tak mnie pan zaczepiał? Karma wraca. To pan ma teraz zamilknąć. Na mój temat. I mojego dziecka też. I dodać stosowne info do swoich paszkwili. Niezwłocznie. Sąd wydał postanowienie o zabezpieczeniu. Sprawa w toku" – napisała w mediach społecznościowych.

Natychmiast jednak było widać, że efekt jest odwrotny. Zwrot „arcykapłanka propagandy" szybko zacząć trendować na portalu X, a Stanowski i Mazurek, w swoim stylu, naigrywając się z prezenterki, rozpoczęli poszukiwania zamiennika dla „zakazanego" określenia. – To ja powiem pierwsze słowo, a ty drugie – proponował Mazurek. – A widziałeś te memy z kołem fortuny? Poproszę samogłoskę „o" jak obława augustowska – dodawał Stanowski. – Było coś lepszego. Wiesz, jak się nazywa nowy kanał youtube'owy Doroty Wysockiej-Schnepf? Kanał Augustowski – nie odpuszczał Robert Mazurek. Zabezpieczenie dotyczy ponadto syna dziennikarki. Mazurek, Stanowski i Kanał Zero mają zakaz publikowania treści dotyczących wyboru imienia przez Wysocką-Schnepf dla jej syna, a także treści, w których imię to zestawiają z zarzutami dotyczącymi udziału teścia dziennikarki, Maksymiliana Schnepfa, w tzw. obławie augustowskiej.

W ŚWIĄTYNI PROPAGANDY

Beneficjenci systemu medialnego III RP nie chcą i nie potrafią pogodzić się z tym, że media się zmieniły. Może nie te tradycyjne, ale rewolucja internetowa i demokratyzacja źródeł przekazu sprawiły, że obecnie coraz częściej „rząd dusz" dzierżą internetowi trybuni. Nie zawsze mają rację, niekiedy sprowadzając clou skomplikowanych problemów do bardzo prostych rozwiązań, zawierających się pod hasłem „chłopskiego rozumu", ale znacznie lepiej niż „autorytety" rozumiejące społeczne emocje i potrzeby. O fenomenie Kanału Zero napisano już wiele. Jednym z jego fundamentów jest

eprasa.pl 6f6219898c

założyciel, Krzysztof Stanowski. Oprócz talentu do robienia biznesu i komentowania rzeczywistości ma on jedną rzecz, której koledzy z branży nie mogą mu wybaczyć – nie ma szefa (czy też wydawcy), przed którym musiałby się tłumaczyć. Jego niezależność jest ograniczona zarobkami, ale o tym decyduje on sam. Stąd jeżeli ma ochotę iść na wojnę z TVP, to idzie. A próby sądowego zamknięcia mu ust jedynie stanowią dobry powód do kręcenia kolejnych materiałów, które osiągają milionowe zasięgi.

Spór Krzysztofa Stanowskiego (którego KZ kończy rok z przychodami 40,59 mln zł; wzrost o 49 proc. w porównaniu z 2024 r.) z Dorotą Wysocką-Schnepf, jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy „odnowionej" TVP, wybuchł w trakcie kampanii prezydenckiej. Do tego czasu na Kanale Zero naigrywano się z propagandowej papki serwowanej przez tę prezenterkę, jednak od czasu, gdy kierownictwo Telewizji Polskiej nie uległo naciskom większości komitetów, aby debatę wszystkich kandydatów na prezydenta z ramienia TVP poprowadził ktoś inny niż Wysocka-Schnepf, Stanowski wyczuł „medialną krew".

W maju KZ zebrał ponad 175,1 mln odsłon, a materiały poświęcone dziennikarce z pewnością mają w tym spektakularnym wyniku swój znaczny udział. 12 maja w TVP odbyła się debata kandydatów na prezydenta. – Bardzo się cieszę, że wreszcie jestem w tej świątyni propagandy, i bardzo się cieszę, że widzę przed sobą arcykapłankę propagandy. Wprawdzie sądziłem, że się pani spali ze wstydu po tym, jak większość komitetów wyborczych tutaj zaprotestowała przeciwko pani obecności podczas debaty, ale widocznie liczyłem na zbyt wiele i niektóre osoby się ze wstydu nie palą. Nie jest to pierwszy raz w historii, gdy osoba o nazwisku „Schnepf" przepytuje Polaków, ale mam nadzieję, że wyjdziemy stąd cali i zdrowi – rozpoczął w pierwszej turze pytań Stanowski, nawiązując do obecności Doroty Wysockiej-Schnepf. – Dobrze, że pani tu jest, bo jest pani symbolem tego, co się dzieje z polskimi mediami, co się działo kiedyś i co się dzieje teraz. Że jest to taki sam ściek, który był wcześniej – wyliczał Stanowski.

Przypomniał, że mąż prowadzącej „czeka na ambasadorską nominację od nowego prezydenta". – To nie jest obiektywizm, pani nie powinno tu być – podkreślał ówczesny kandydat na prezydenta

Krzysztof Stanowski przyznawał później, że liczył na to, iż uda mu się sprowokować ripostę. – W uzupełnieniu do pana Stanowskiego zacytuję pana prof. Bartoszewskiego, który niegdyś mówił, że „kiedy pijany zwymiotuje na mnie w autobusie, to nie jest obelga, ale jest to nieprzyjemne". Nie każdy może mnie obrazić – odwinęła się Wysocka-Schnepf, co w przestrzeni internetowej zostało odebrane raczej z zażenowaniem. Na sam koniec debaty dodała: „Podobno w tym PiS-owskim ośmioleciu to pan Stanowski miał program w TVP Kurskiego i to może by wyjaśniało tę obsesję, którą realizuje".

Na początku czerwca rzecznik prasowy KRRiT przekazał, że w związku z wyborami prezydenckimi do Rady wpłynęło wiele skarg na stacje TVP1, TVP Info, TVN24, Polsat News, Polsat i TV Republika, a największa liczba dotyczyła Doroty Wysockiej-Schnepf. W skargach wskazywano m.in., że prezenterka pokazała „zaangażowanie polityczne i brak neutralności".

NOWE ODSŁONY SPORU

Kolejne tygodnie, już po wyborach, przyniosły nowe odsłony sporu. Dość niespodziewanie Kanał Zero stał się głównym propagatorem wiedzy na temat obławy augustowskiej, organizując m.in. debatę historyków na ten temat. Stanowskiemu udało się zaprosić do rozmowy osoby prezentujące różne punkty widzenia, także na postać Maksymiliana Schnepfa. KZ objął też swoim patronatem obchody 80. rocznicy tamtych wydarzeń.

Z kolei w sierpniu doszło do kolejnego starcia Krzysztofa Stanowskiego i Doroty Wysockiej-Schnepf na portalu X. Przedstawicielka TVP dołączyła do głosów krytyki, które odezwały się po tym, jak na profilu KZ opublikowano stworzoną przez AI ilustrację europejskich liderów, rzekomo czekających jak służący na audiencję w Gabinecie Owalnym u Donalda Trumpa. Odpowiedzialny za publikację pracownik Kanału Zero – Mikołaj – wystosował przeprosiny. „Mikołaj utracił nazwisko. Skutek zabawy w kanale. Przeprasza za »ryzyko szerzenia dezinformacji«. RYZYKO? Foto z AI – to wie. Dla żartu ośmiesza kotwicę bezpieczeństwa Polski. Bardzo zabawne. Prawie tak samo, jak wzniecenie przez arcykapłana mamony hejtu na Joasię Dunikowską-Paź" – napisała dziennikarka TVP Info. „Odgłosy z kanałów: gorączkowe prace nad planem ocieplenia ufajdanego wizerunku kapłana mamony. Najpewniej stanie na zrzutce. Najlepiej na dziecko. Albo całą grupę dzieci. Chorych, pokrzywdzonych. Niech choć one zyskają na tym, że kreacja fejkowego moralisty wypadła poniżej zera" – napisała Wysocka-Schnepf w kolejnym poście, nawiązując do licznych akcji charytatywnych, organizowanych przez Stanowskiego.

W związku z wyborami prezydenckimi do Rady wpłynęło wiele skarg na stacje telewizyjne, a największa liczba dotyczyła Doroty Wysockiej-Schnepf

Szef Kanału Zero szybko odpowiedział. „Słuchaj, wiedźmo, ani nie mam ufajdanego wizerunku, ani nie pomagam ludziom dla jego ratowania. Aktualnie pływam sobie, ale nie jak ty – w toksynach, tylko po jeziorze. Jak będę miał ochotę komuś pomóc, to pomogę, tobie też to polecam, nawet jeśli to nie wpisuje się w rodzinne tradycje" – napisał w swoim stylu, znowu nawiązując do teścia przedstawicielki TVP.

KANAŁ SIĘ ROZWIJA

Na razie nie wiadomo, kiedy odbędzie się pierwsza rozprawa w sprawie pozwu wystosowanego przez Wysocką-Schnepf. Jednego można być pewnym – widzowie Kanału Zero poznają wszystkie szczegóły, a Krzysztof Stanowski wykorzysta każdy wątek, aby podbić wyświetlenia i zarobki.

W 2025 r. przychody KZ z reklam na YouTube oszacowano na 11,8 mln zł (wzrost o 84 proc. rok do roku). Obecnie w Kanale Zero pracuje 110 osób, a w 2026 r. ich liczba ma wzrosnąć do 200. W lutym rusza portal Zero.pl, do którego udało się ściągnąć wielu cenionych dziennikarzy z innych mediów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Polska jest wiele piękniejsza, niż nam się zdaje. Szumi jak drzewo. Jak drzewo ma narosty, nieoczekiwane skręty, gałęzie krzywizny. Trudno. Nie jesteśmy społeczeństwem robotów, dzieje nas stworzyły, a nie pomysł ludzki, nie doktryna. Nie dążymy do doskonałej doskonałości – dążymy do rozrostu, kochamy każdy sęk, który zaistniał w drzewie narodowym, rosnącym z pomroki dziejów. Chcemy wyjść w tę Polskę – las niestrzyżonych drzew, zadrapać sobie ręce o szorstką korę, zaplamić ubranie na pleśnią pokrytych pniakach, nabrać pełną twarz pajęczyny, rozczepionej między gałęziami – chcemy wrócić do pracy odświeżeni przechadzką nie po strzyżonym parku, a po tej koślawej, po tej dziwacznej, po tej ułomnej, po tej rozrośniętej, jak Bóg dał, nade wszystko, kochanej Polsce.

Do tego wam służy pisarz – reporter.

Do tego nam służył autor tych słów – Melchior Wańkowicz, którego 50. rocznicę śmierci obchodziliśmy w zeszłym roku i z tej okazji mieliśmy nawet ustanowiony przez sejm Rok Wańkowicza. Jego pokłosie zbieramy teraz.

Na przykład w Stanach Zjednoczonych nakładem Lexington Books ukazała się amerykańska edycja „Bitwy o Monte Cassino" w przekładzie prof. Charlesa S. Kraszewskiego. Koszty tłumaczenia zasponsorowało nowojorskie Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce. Wydanie liczy 655 stron i opatrzone jest wstępem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, bez której prawdopodobnie edycja ta nigdy by się nie ukazała. Zasług dzielącej życie między Polskę a Stany Zjednoczone ostatniej sekretarki Wańkowicza, której pisarz zadedykował „Karafkę La Fontaine'a" i zapisał w testamencie swoje archiwum, nie da się przecenić. Przypomnę tu tylko, że w 2013 r. wydała w USA pracę „Melchior Wańkowicz. Poland's Master of the Written Word"; ukazała się też w Stanach anglojęzyczna wersja jej książki „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża" oraz inne tytuły odnoszące się do XX-wiecznej historii Polski i jej bohaterów. Melchior Wańkowicz w pisarstwie jej obecny jest nieustannie, nawet w wydanym ostatnio bardzo osobistym „Oceanie czułości". Całkiem niedawno, bo trzy miesiące temu, w Narodowym Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown w Pensylwanii prezydent RP Karol Nawrocki odznaczył panią Olę Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za „upamiętnianie najnowszej historii Polski".

eprasa.pl 6f6219898c

Nasze dobro narodowe

Krzysztof Masłoń

Melchior Wańkowicz jak mógł, unikał przedstawiania okropieństw, które sam widział lub o których słyszał od wiarygodnych świadków opisywanych wydarzeń. Często jednak nie mógł ani ich przemilczeć, ani ubrać w słowa nieporażające czytelnika, mające na uwadze jego wrażliwość

Melchior Wańkowicz jako korespondent wojenny 2. Korpusu Polskiego ogląda niemiecki pocisk moździerzowy wystrzelony w trakcie bitwy o Monte Cassino, 1944 r. FOT. NAC

Ma Melchior Wańkowicz swoich ambasadorów, ma też tak znakomitych miłośników swego pisarstwa jak Grzegorz Nowak (z zawodu lekarz weterynarii!), który przed rokiem niezwykle pieczołowicie, we wspaniałej szacie graficznej nawiązującej do oryginału wydał (w oficynie Księży Młyn) „Na tropach Smętka", by następnie doprowadzić do wydania, w podobnie świetnym kształcie, „Znowu siejemy w Polsce B", książki, która nigdy wcześniej się nie ukazała. Przed wojną jej publikację opóźnił sam autor, nie chcąc, by jego tytuły rywalizowały ze sobą (a był to czas „Na tropach Smętka" i „Sztafety"); w czasie wojny ten zbiór reportaży kresowych uległ zniszczeniu, Wańkowicz ponownie więc go zredagował, wykorzystując materiały źródłowe, czyli felietony drukowane w „Kurierze Polskim" w latach 1937–1938.

W PRL o wydaniu „Znowu siejemy…" mowy być nie mogło. Ale fragmenty nieistniejącej pracy Wańkowicz wciskał do swoich książek, z tym że najwięcej ich znalazło się dopiero w opublikowanej po śmierci pisarza „Anodzie i katodzie", ale można natrafić na nie i w „Tędy i owędy", i w zbiorach „Od Stołpców po Kair" oraz „Przez cztery klimaty". Cenzura mocno je zniekształciła, z tekstów usuwano wszak – jak pisze Grzegorz Nowak – „wszystko, co miało choćby pośrednio znamiona antyrosyjskości, antysowieckości lub mogło negatywnie wpływać na ocenę ideologicznego fundamentu PRL". I np. z cytowanych niżej dwóch zdań zostawało jedno, i to okaleczone: „Widzimy, jak w ziemi tej rytmem jest splot niszczeń i stawań się, i jak na twórczych wychyleniach się amplitudy jesteśmy my, Polacy, i jak fazy zniszczenia powoduje Wschód. Temu Wschodowi słabe w ostatnich wiekach stawialiśmy czoło i same ponosiliśmy klęski".

Te kresowe reportaże, będące efektem przejechanych 16 tys. km – tylko we wschodnich województwach (wileńskim, nowogrodzkim i okazjonalnie wołyńskim i białostockim) Wańkowicz odwiedził 17 powiatów – w zamierzeniu miały być trzecią częścią, domknięciem wielkiego przedwojennego tryptyku, tworzonego wraz ze „Smętkiem" i „Sztafetą". Dziś jest dla nas Melchior Wańkowicz przede wszystkim autorem „Bitwy o Monte Cassino" i „Ziela na kraterze", ale dzieła te należą do epoki późniejszej. Tamte

eprasa.pl 6f6219898c

pochodzą jeszcze z innego świata, którego koniec nastąpił 1 września 1939 r.

„Ostatni tom przedwojennej triady dokumentalistycznej Wańkowicz napisał w pełni sił twórczych i witalności reporterskiej – czytamy we wstępie prof. Urszuli Glensk do »Znowu siejemy w Polsce B«. – Z planem, że książka ukaże się natychmiast, że będzie wschodnią epopeją, że uruchomi ducha przemian, rozwoju, rozkwitu, że będzie impulsem do zmiany Polski B w Polskę A. Wszystko potoczyło się inaczej, ale słowa zostały".

I oto mamy przed sobą edytorski majstersztyk, co dotyczy w tej książce absolutnie wszystkiego, na czele ze świetnym opracowaniem Urszuli Glensk i Grzegorza Nowaka, z cudem odzyskanymi oryginalnymi fotografiami Wańkowicza, ale i ze świetną okładką wzorowaną na przedwojennych wydaniach „Smętka" i „Sztafety", o symbolicznej wymowie, gdyż widzimy na niej – tak jak pisał sam autor – „skopiowany z mapy kręty bieg polsko-sowieckiej granicy. Jej czarna śruba, wkręcona w zielony rozłóg, kończy się słupami granicznymi: sowieckim i polskim".

„Trzymając w ręku ten okazały tom, trudno nie przywołać słów Wańkowicza ze »Sztafety«: »Jest, cholera, jest!«" – dała upust radości dr hab. Beata Nowacka z Uniwersytetu Śląskiego. W pełni podzielam tę radość.

ZADANIE: NIE CHLASTAĆ

„Znowu siejemy w Polsce B" bezwzględnie powinni przeczytać ci wszyscy, którzy tak ochoczo zarzucali (i zarzucają nadal) Wańkowiczowi państwowotwórczość, nadmuchiwanie patriotycznego (czytaj: nacjonalistycznego) balonika, bezkrytyczne wspieranie sanacji. Niczego podobnego tu nie znajdziemy. Sam autor tak ją zapowiadał: „Książka moja, której projektowany tytuł »Znowu siejemy« ma za zadanie nie chlastać, a podnosić każdy wysiłek ludzki w kraju, którego ludzie w wielu miejscach po trzykroć siali, ale nie zebrali ani razu – poszukuję tematów bohaterskich o ludziach, którzy trwali i przetrwali". Na swój sposób można ją odczytywać – jak pisze Urszula Glensk – jak „historię ucieczek, powrotów i osiedleń, przechodzących i ustępujących, wpisaną [...] w opowieść o Kresach Wschodnich".

Jak to tam wyglądało za II Rzeczypospolitej? „Spostrzeżenia pisarza – czytamy we wstępie – nie są wolne od pobłażliwego tonu w odniesieniu do tubylców: »dobry, lud ciemny, dla którego wyrocznią jest kramarz wędrowny, duchowny, babka-akuszerka, wróżka, znachor« [...]. Równocześnie »sobiepańskie« obyczaje polskiego ziemiaństwa i szlachty dla Wańkowicza nie są niczym nadzwyczajnym, pozostają kolorytem i tożsamością Kresów. Jeśli reporter jest skłonny nad czymś ubolewać, to raczej nad pauperyzacją polskiej szlachty, która nie czerpie już zysków ze »spławiania drewna«. Aktywność gospodarcza zmalała, a szlachta bieduje: »schłopieli do cna – stwierdza – przemieszani z «chłopinami», zatarci przez rosyjskie rządy w sposób tak dokładny, że nawet klejnotów nie pamiętają...«".

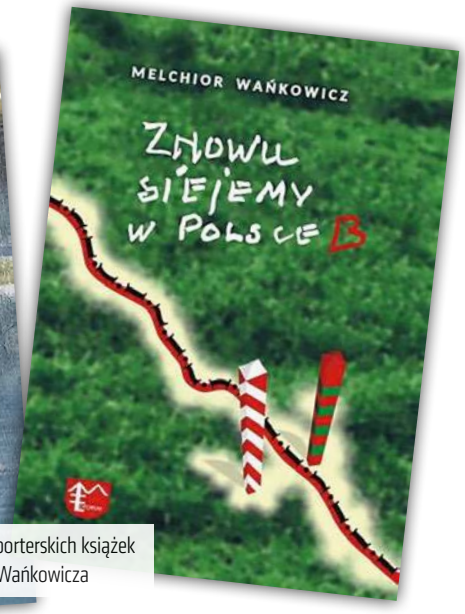

Okładki reporterskich książek Melchiora Wańkowicza

„Znowu siejemy w Polsce B" bezwzględnie powinni przeczytać ci wszyscy, którzy tak ochoczo zarzucali (i zarzucają nadal) Wańkowiczowi państwowotwórczość, nadmuchiwanie patriotycznego (czytaj: nacjonalistycznego) balonika, bezkrytyczne wspieranie sanacji. Niczego podobnego tu nie znajdziemy

A co z przybyszami szukającymi na Kresach swojego miejsca na ziemi? Oto „nauczycielka z reportażu Wańkowicza, przyjeżdżająca uczyć dzieci. Jedna z takich siłaczek jak Stasia Bzowska z prozy Żeromskiego. Kobieta trafia do domu »czterowłókowego gospodarza« i dostaje »wyrko w komórce z kartoflami«. W dodatku barłóg roi się od insektów. Bieda jest wszechobecna, dotyczy wszystkich bez wyjątku".

Światełka w tunelu? Nieoczekiwane raczej: „Niech żyje KOP" [Korpus Ochrony Pogranicza] – tak zatytułował pisarz jeden z rozdziałów i wyłuszczał, co następuje: „Wszędzie, gdzie jest KOP, tam dzieci szkolne nie głodują, tam głodni bezrobotni dostają łyżkę strawy, chorzy znajdują pomoc i opiekę, pogorzelcy pierwsze oparcie, a inicjatywa społeczna najżywszy, najistotniejszy oddźwięk".

Nie zapominajmy, dokąd pojechał reporter. Dziś pewnie to, co przez tamte lata działo się na polsko-sowieckiej granicy, nazwalibyśmy wojną hybrydową. A stosowano w niej działania przeróżne, bo wcale nie tylko strzelano do siebie:

Wańkowicz pisał:

Gdy mogą wejść w kontakt z naszą ludnością, wyzyskują bolszewicy każdy moment. W pewnym majątku nad Dźwiną wydano ordynarię stęchłą. Dowiedzieli się o tym bolszewicy i przysłali dla fornali sowiecką pszenicę. W innym miejscu, w którym jeziorko stanowi granicę, fornale nieopłaceni od dawna zbuntowali się i łodziami uciekli zbiorowo do Sowietów. Interpelowane władze sowieckie odpowiedziały: „Łodzie i ludzie wrócą, gdy ordynaria zostanie wypłacona".

W okolicach Głębokiego w 1930 roku około dwóch tysięcy ludzi przeszło do Sowietów; był to rok bardzo dotkliwy dla gospodarstwa kresowego. Bolszewicy ich

eprasa.pl 6f6219898c

wszystkich skoszarowali, przez cztery miesiące utrzymywali i wygłaszali odczyty, wreszcie dali po dwie pary koszul i mąkę, odstawili do granicy i kazali zameldować się do starostwa. Rzecz prosta, starostwo nie mogło odmówić przyjęcia swoich obywateli, którzy jednak zostali ukarani za przekroczenie granicy. Właśnie o tę karę bolszewikom chodziło, aby pogłębić kontrast.

Jakiś czas bolszewicy rozpuszczali po naszym terenie wieść, że zezwalają na wysyłanie z ZSRR gotówki dla ubogich krewnych w Polsce, o ile ich ubóstwo zostanie zaświadczone przez polskie władze. Burmistrz Głębokiego poczciwie wystawiał zaświadczenia i drobne sumki pieniężne istotnie przychodziły od rzekomo pracujących i doskonale zarabiających w Sowietach krewnych, ale te pieniądze wysyłało GPU.

No i 17 września 1939 r. ktoś wzniósł dla wkraczającej na te tereny Armii Czerwonej bramy triumfalne. A że potem niemałą część tych „budowniczych" zapędzono do bydlęcych wagonów i wywieziono na Wschód, to już dalsza kolej rzeczy.

A tak przy okazji: Czy rzeczywiście w innych swoich książkach tak mocno dął Wańkowicz w surmy mocarstwowe? Toż przecież i odsądzana od czci i wiary „Fanfara zaolziańska" także została ocenzurowana. To dlatego w „Sztafecie" – jak pisze Nowak – „zabrakło między innymi kluczowej sceny z Cieszyna – spotkania z grupą rozjemczą czeskich wojskowych, którzy z niewiadomych powodów znaleźli się w polskiej części miasta. W kawiarni rozgorzała dyskusja, pełna wzajemnych pretensji i zarzutów. Wańkowicz zrelacjonował w »Kurierze« całą rozmowę z Czechami, zakończoną złowieszczą »przepowiednią« jednego z oficerów:

Sztabni kapitan już zapłacił. Staje w drzwiach kawiarni i odwraca się ku nam, naśladując gest subiekta w sklepie:

– Madiarsko? Weźmie sobie wszystko, co zechce. Proszę (twarz wykrzywia mu się grymasem, który ma być uśmiechem) – ogłaszamy wielką wyprzedaż. Ale za rok my będziemy się śmiali. Ma ucta!

Po raz kolejny – tym razem z ust czeskiego kapitana – pada ostrzeżenie (zobacz: „Na tropach Smętka") o katastrofie dziejowej, zbliżającej się wielkimi krokami. Nie bez kozery przypomniał Grzegorz Nowak całą tę sytuację.

TRAFIANIE W DZIESIĄTKĘ

Po śmierci pisarza „Kultura" paryska wydrukowała artykuł Tadeusza Katelbacha, który o Wańkowiczu tak pisał: „Kwitnął w Polsce niepodległej, niezgorzej powodziło mu się na emigracji i dobrze w PRL. W każdej bowiem sytuacji, w jakiej się znalazł, swej życiowej regule pozostał wierny – można powiedzieć cynicznie wierny". W tekście tym znalazł się także powtarzany później wielokrotnie zarzut, jakoby Wańkowicz w skróconej wersji „Monte Cassino" zgodził się na wykreślenie nazwiska gen. Władysława Andersa. W istocie nazwisko generała wymienione jest w krajowej edycji tej wojennej epopei 30 razy.

Szymon Kobyliński pół wieku temu pisał: „Rzadko który zapewne pisarz odgrywał tak ważną i tak wyraźną rolę w kulturze swego kresu dwoma (co najmniej) wektorami, jak Melchior Wańkowicz. Niby szyny kolejowe, jedna nie do pomyślenia bez drugiej – szły linie jego istnienia w życiu odbiorców: jako liberała i jako osobowości. Rojowy wydawca, autor krzepiącego sloganu cukrowego, Kassandra smętkowa w niewinnym kajaczku, biznesmen z Mazowieckiej, odkrywca Pegaza nie na parnasie, ale w kazamatach więziennych, słowem smakowita postać, fascynujący człowiek, ocierający się o skandal i uwielbienie powszechne, lawirujący wśród zawiłości, karier, epatujący, drażniący; zbiera – jak sam z czasem weredycznie opisał – pokaźny zasób kredytu moralnego, by go następnym ruchem (jako p. W. lub jako prześwietne pióro) wykorzystać niemal do bankructwa i natychmiast, tam »Rodziną Korzeniowskich«, tu »Hubalem« wywindować się na powrót w oczach opinii na szczyt popularności… »Ten, to potrafi«, mawiano stale z podziwem, zazdrością, zniecierpliwieniem i służalczością. Jeśli znalazł się w Rumunii, uchwycił akurat Becka na ostatni z nim wywiad prasowy – samo sedno problemu klęski; Italia – notuje pod Monte Cassino tak, jakby za Bonapartego wypadła mu akurat droga w dniu i godzinie Somosierry, by opisać szarżę, gdy jeszcze konie dymiły; kiedy powiada sobie »no, to dziś jadę do kraju oglądać wreszcie tę żabę w trawie«, zjawia się punktualnie w dniach Października i nim rozpoczął konferencję z żabą, machnął reportaże o przełomowych chwilach… To nonszalanckie, zdawałoby się z pozoru, trafianie w dziesiątkę doprowadziło do pasji i do uwielbienia konkurentów, czytelników, obserwatorów, wszystkich".

Na wydanie czeka legendarna książka Wańkowicza o prezydencie Kennedym

Na szczęście, zdecydowana większość czytelników po prostu go kochała. I to miłością bezwarunkową. Skądś się brały tłumy przychodzące na spotkania z nim, niekończące się kolejki po autograf na kiermaszach książki, opustoszałe ulice podczas jego nielicznych wystąpień telewizyjnych, w istocie niezrównanych gawęd, których nie zapomniał żaden z widzów.

Odbiorcy melchiorowego słowa zwykli przyjmować je za wiarę. Zapominając, że np. arcydzielne „Ziele na kraterze" jest jednak powieścią i nie każde zdanie należy odczytywać jako bezapelacyjną prawdę. Do tego wielu czytelników dopowiadało sobie i to, czego w książkach autora „Królika i oceanów" nie było. Już wiele lat temu Aleksandra Ziółkowska-Boehm, edytorka jego korespondencji z żoną, zwracała uwagę na te i podobne im nadinterpretacje, tak mówiąc o pisarzu:

„Przylgnęła do niego opinia człowieka zamożnego, bogatego, tymczasem z listów widać, jak często klepał biedę, nie tylko wtedy, gdy żonie przebywającej z córkami w majątku koło Kościana brakowało na węgiel, a on kończył w Warszawie studia prawnicze. Także i później. Dom, ten słynny warszawski »Domeczek« na Dziennikarskiej, zbudowali na kredyt i potem wyprowadzili się na Mianowskiego, żeby dom wynająć i mieć na zapłacenie rat. A pobyt w Ameryce?... 60-letnia pani Zofia sprzątała po domach, a on jeździł z walizą książek, by sprzedać parę egzemplarzy swoich utworów. Przecież do Polski z emigracji wygoniła ich tęsknota, ale i niedostatek".

Nie znaczy to, że Łukasz Garbal w swojej wydanej właśnie biografii pisarza „Wańkowicz. Życie na kraterze" wyważa wcześniej otwarte drzwi. Jednak przyjąwszy zasadę posługiwania się wyłącznie archiwami, by maksymalnie zbliżyć się do prawdy o autorze i jego dziele, sam skazał siebie na pewne ograniczenia. Zresztą założenie to tak w stu procentach było niewykonalne. Ale najciekawsze jest to, że życie Melchiora Wańkowicza wciąż fascynuje coraz to młodszych badaczy,

eprasa.pl 6f6219898c

a książki jego wciąż są czytane. Wańkowicz zaś, jak się okazuje, pisze dalej…, ponieważ po „Znowu siejemy w Polsce B" na wydanie czeka legendarna książka tego autora o prezydencie Johnie Fitzgeraldzie Kennedym. Nie wątpię również, że doczekamy się – tu ukłon w stronę Grzegorza Nowaka – podobnie monumentalnej edycji, którą byłaby „Bitwa o Monte Cassino" równa sławnemu trzytomowemu wydaniu z pierwszych lat powojennych z szatą graficzną Stanisława Gliwy i rysunkami Mariana Szyszko-Bohusza (1968 ilustracji, 957 fotografii, 580 portretów uczestników bitwy, 327 rysunków, 87 map).

ZDOLNOŚĆ ŁĄCZENIA SPRZECZNOŚCI

A wracając do biografii Łukasza Garbala, to z pewnością oddał nią sprawiedliwość żonie pisarza, Zofii Wańkowiczowej, której zasługi w walce o odzyskanie przez Polskę niepodległości w roku 1918 nie są powszechnie znane, podobnie jak jej pisarskie i redaktorskie dokonania. Z pewnością nie była – jak pisze autor „Życia na kraterze" – żadnym dziewczątkiem, jak też po latach nie ograniczała się nigdy do roli kury domowej, no niech będzie, że Królika. Co nie zmienia faktu, że to Melchior Wańkowicz, nikt inny, zapisał złote zgłoski w literaturze polskiej, stając się naszym – nie waham się użyć tego określenia – dobrem narodowym.

Łukasz Garbal w niektórych miejscach swej książki przykłada może nazbyt współczesną miarę do zachowań pisarza. Wylicza np., że ten „Nasz »Litwin« lubił sobie zatem ponarzekać na »koroniarzy«, używał klisz w mówieniu o Żydach, nie cierpiał Niemców – a jednocześnie nie wyobrażał sobie siebie bez Polski z centrum nad Wisłą i jego wieloletni wspólnik będzie Żydem spod Sanoka, Melchior zaś w PRL będzie jeździł zachodnioniemieckim mercedesem. Słowa i deklaracje – będące psychologicznym buforem obronnym – trzeba zawsze zestawiać z działaniem". Zapewne. Ale czy gdyby pisarz jeździł wschodnioniemieckim Wartburgiem, ocenialibyśmy go inaczej? Nie wspominając o tym, że w styczniu 1965 r., gdy Melchiora Wańkowicza, skazanego właśnie na trzy lata więzienia, zaprosił na rozmowę Władysław Gomułka, po której to pogawędce już o żadnej egzekucji wyroku nie mogło być mowy, pod kamienicę przy Rakowieckiej przyjechał po autora „Bitwy o Monte Cassino" także Mercedes, choć ówczesny I sekretarz KC PZPR „odwetowców z Bonn" również nie trawił. A już całkiem serio, to antyniemiecki rys, na który wskazuje w biografii pisarza Łukasz Garbal, był u niego rzeczywiście stale obecny. Powodów do tego miał aż nadto, że przypomnę w tym miejscu postawę Wańkowicza podczas kryzysu, do którego doszło w Korpusie gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Kiedy dowództwo Korpusu zawarło porozumienie z Niemcami, wraz z innymi młodszymi oficerami zbuntował się przeciw temu i został postawiony przed sądem polowym, za co mógł zapłacić życiem. Ciekawe, że w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie znajdują się akta tamtej sprawy, do których dotarł Garbal; wiemy zatem, że proces, w wyniku którego, po płomiennej mowie oskarżonego, sąd orzekł, że nie jest władny orzec wyrok, trwał 11 godzin, a wezwano nań 40 świadków.

W książce Łukasza Garbala czytamy o stosunku Wańkowicza do Żydów. Byli oni dla niego naturalnym elementem świata, a zarazem okazywał im „pańskie" poczucie wyższości „jak do karczmarza, któremu daje się w arendę jakąś przestrzeń"

W innym miejscu biografii jej autor powiada: „Charakterystyczna dla Wańkowicza zdolność łączenia sprzeczności uwidaczniała się także w jego stosunku do szowinizmu narodowego. Gdy bronił Kistera przed antysemitami, wskazywał na jego patriotyczne zasługi, podkreślając, że w randze oficera walczył przeciw bolszewikom. Do Żydów ogólnie miał jednak stosunek »pański«, jak do karczmarza, któremu daje się w arendę jakąś przestrzeń. Żeby zarobił, a panu zapłacił prowizję. Nie było w nim niechęci, ale nie było także pełnego uznania równości. »Żydki«, jak o nich wówczas mówił (i jak pisały też jego córki), były jednak dla niego naturalnym elementem świata i mimo wyższościowego stosunku do nich Wańkowicz protestował przeciw nacjonalistycznej ksenofobii".

Oddajmy jednak tu sprawiedliwość biografowi; rozprawia się z całą serią wyssanych z palca zarzutów i pretensji pod adresem swojego bohatera. Pisarza sprawy polskiej, co nie znaczy jednak, by jego miłowanie polskości było ślepe. Istotę konfliktu polsko-ukraińskiego potrafił np. ująć w kilku zdaniach i przypomnieć, że rok 1943 wziął się z tego, „czego bratobójcza walka w 1919 roku nie osiągnęła. Wyskakiwały ognie, coraz to tłumione przez ekspedycje karne, padali od kul skrytobójczych Pieraccy, Hołówkowie, Twerdochliby, jęczeli po badaniach katowani mołojcy, szlifował butelką lśniącą podłogę Bandera na korytarzu więziennym u Świętego Krzyża, gnili u św. Jura we Lwowie krnąbrni, ukraińscy studenci, w obszernych celach Lubartowiczów w Łucku uwięzieni Ukraińcy obmacywali się nieufnym spojrzeniem, nie wiedząc, kto tu jest swój".

No cóż, o bratobójstwie wiemy od zawsze – z Biblii. Kain zabił Abla, ale szczegółów męki ofiary nie znamy. Nic nie wiemy o tym, by Kain rżnął Abla piłą czy przywiązywał jego kiszki do drzewa. Wańkowicz, jak mógł, unikał przedstawiania okropieństw, które sam widział lub o których słyszał od wiarygodnych świadków opisywanych wydarzeń. Często jednak nie mógł ani ich przemilczeć, ani ubrać w słowa nieporażające czytelnika, mające na uwadze jego wrażliwość. Przyszło mu spisywać np. „Dzieje rodziny Korzeniewskich", opowiadać o Westerplatte, o obrońcach Poczty Gdańskiej, o hubalczykach, o Monte Cassino. Mówił nam o polskim losie wpisanym w czas nam dany. Czas niełatwy, całymi latami zły.

Miał świadomość, z jakiej ziemi się wziął i na jakiej ziemi żyje. Polska była mu drogą w każdych granicach, choć swoją małą ojczyznę utracił już w młodości. Pisał: „Ziemia polska jest nasiąknięta zapachami, dźwiękami, błyskami splecionymi przez dzieje, których nikt nie wypleni…".

Aleksandra Ziółkowska-Boehm napisała kiedyś: „Nie ma piękniejszej książki o Kresach jak »Szczenięce lata«. Bohaterstwa żołnierza polskiego nic nie pokazuje lepiej od »Hubalczyków« i »Bitwy o Monte Cassino«. I nie ma bardziej wzruszającej książki o domu, o rodzinie – niż »Ziele na kraterze«". Tak właśnie jest, a nie inaczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Trzej Królowie i Dama Dworu

Krzysztof Masłoń

Trzeba korzystać z dobrych wzorów. W tych dniach wszystkim nam dostarczono „Poradniki bezpieczeństwa" wraz z listem przewodnim podpisanym przez trzech, no nie królów wprawdzie, ale mężów stanu całą gębą, bo przez Władysława Kosiniaka-Kamysza, Marcina Kierwińskiego i Zbigniewa Muszyńskiego. Zapewniają oni, że wspólna lektura poradnika z rodziną, przyjaciółmi i sąsiadami wzmocni nasze bezpieczeństwo i poczujemy się pewniej. Tak też uczyniłem, po tym jednak, gdy odczytałem stosowny fragment broszury informujący o tym, że w sytuacji kryzysowej, kiedy może zabraknąć wody, zaleca się „nadal" (?) oddawanie moczu do toalety, okrzyknięto mnie idiotą i kategorycznie zakazano dalszego przekazywania tych i podobnych, jak powiedziano, banialuków. A przecież to ważne, byśmy wiedzieli, że np. w wypadku zagrożenia terrorystycznego, jeśli nie ma możliwości ucieczki – walczyli, używając wszystkiego, co mamy pod ręką, a więc – tu następuje wyliczenie: „torebki, plecaka, krzesła". Ponieważ torebki ani plecaka nie noszę, postanowiłem od tej pory, wychodząc z domu, zabierać ze sobą krzesło. Trochę to kłopotliwe brzemię, ale przede wszystkim liczy się skuteczność, nieprawdaż?

Jeżeli ktoś z państwa się nie doczytał, to wyjaśniam, że nieoceniony wręcz „Przewodnik bezpieczeństwa" opracował – cytuję – „Rząd Rzeczypospolitej Polskiej". Ze względu na głęboki szacunek, którym rząd ten darzę, przenigdy nie dam wiary „w doniesienia o upadku państwa", a wszystkie wiadomości sprawdzać będę odtąd w tak wiarygodnych źródłach informacji jak „Polskie Radio, Telewizja Polska, rządowe strony internetowe i służby państwowe".

Rozpisuję się o rządowym poradniku nie bez powodu. Otóż wyznacza on kierunek, w którym powinna zmierzać nasza reformowana przez minister Barbarę Nowacką szkoła. Broszura, którą firmują Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwo Obrony Narodowej, liczy zaledwie 40 stron, wraz z miejscem na notatki. A jest w niej to, co najważniejsze.

Skoro na 40 stroniczkach zawarto wszystko, co dotyczy bezpieczeństwa, to doprawdy nie ma powodu, by uczniów przeciążać, także dosłownie, tonami całkowicie zbędnej makulatury podręcznikowo-lekturowej. Nie powiem, doceniam wysiłki Barbary Nowackiej, dążącej do unowocześnienia naszej szkoły tkwiącej jeszcze korzeniami w XIX stuleciu. No bo komu potrzebne są prace domowe z języka polskiego, jakieś wypracowania, rzekomo kształcące umiejętność wypowiadania się na piśmie? Jak długo jeszcze będziemy wbijać dziatwie do głów przekonanie o wielkości takiego dajmy na to Adama Mickiewicza, którego imię naród pamięta rzekomo dlatego, bo ten nakazał dziatwie: „Ucz się i pracuj", a nie był przecież z niego ani wojak, ani nawet królewicz. Przez lata wykuwali

FOT. URZĄD MIASTA TYCHY

uczniowie na pamięć fragmenty „Pana Tadeusza", a to o Wojskim grającym na rogu, a to o Jankielu cymbaliście, to znów wyliczali gatunki grzybów zbieranych w Soplicowie czy opisywali wschody i zachody słońca na Litwie, świętej Żmudzi i Bóg wie gdzie jeszcze. A gdy ktoś odważył się zapytać, po co to robią, słyszał, że mickiewiczowska epopeja jest wzorem języka, najważniejszym kamieniem w fundamencie polskiej kultury.

Całą tę szkolną polonistykę wyszydził już prawie 90 lat temu Witold Gombrowicz, ale wciąż nie potrafimy się z nią pożegnać na dobre. Dość przypomnieć, że Roman Giertych (ten sam, ten sam) jako minister edukacji obśmiewał się z nadętej wielkości autora „Ferdydurke", do lektur szkolnych wprowadzał Jana Dobraczyńskiego, a młodzież szkolną odziewał w mundurki. Nic dziwnego, że jego dzisiejsi sojusznicy polityczni skandowali wtedy pod gmachem Ministerstwa Edukacji Narodowej: „Giertych do wora, a wór do jeziora!". Nawiasem mówiąc, patron ulicy, przy której mieści się to ministerstwo, niejaki Jan Szuch, na drugie imię miał Chrystian, co w dobie walki o świecką szkołę jakby zgrzyta, niezależnie od faktu, że ów Szuch był pochodzenia niemieckiego, a wyznania ewangelickiego. Na domiar złego gmach ministerstwa ma złą sławę, bo w latach, gdy nasi zachodni sąsiedzi okupowali Warszawę, była tam katownia gestapowska.

Człowiekowi zwanemu Koniem uniemożliwiono wprawdzie indoktrynowanie dzieci i młodzieży w duchu rzekomo chrześcijańskim, a już na pewno sienkiewiczowskim, ale zamiast przekazać ministerstwo w ręce kogoś takiego, jak wymarzona w tym miejscu Klementyna Suchanow, aktywistka i miłośniczka Gombrowicza, wpadł on w ręce Przemysława Czarnka. Ten to już dał uczniom i nauczycielom do wiwatu! Niech sobie państwo wyobrażą, że zamierzał przywrócić szkole misję wychowawczą. No coś podobnego! A wdrożyć chciał do szkolnej edukacji straszliwy podręcznik Wojciecha Roszkowskiego do nowego przedmiotu nazwanego historia i teraźniejszość. Na szczęście PiS-owcy wraz z Czarnkiem odeszli do dziejowego lamusa i dziś szkoła zajmuje się tym, co powinna robić już dawno: edukacją zdrowotną, cyfrowymi uzależnieniami, zwalczaniem dezinformacji. A historię Polski, tak jak naukę literatury polskiej, da się przecież pomieścić na kilkudziesięciu stroniczkach ozdobionych gustownymi rysuneczkami. I to jest pierwszorzędne zadanie dla obecnej gospodyni ponurego gmaszyska przy alei Szucha, za komuny I Armii WP.

Aha, bo przeoczyłbym: Nowacka, gdyby coś poszło nie tak, to pakuj się. I nie zapomnij „Poradnika bezpieczeństwa". ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

Amerykańska utopia

Piotr Gociek

Co pozostaje po zakończeniu „Stranger Things"? Trochę niedosytu, odrobina niesmaku oraz wielkie przekonanie, że kiedyś było lepiej

FOT. COURTESY OF NETFLIX

Eksplozje. Pościgi. Zderzenie światów (prawie). Zbiorowy umysł z innej planety. Manipulacje czasem i przestrzenią. Telekineza. Akty poświęcenia. Akty głupoty. Akty okrucieństwa. Akty przyjaźni. Dwugodzinny finał serialu „Stranger Things" przyniósł wszystko to, czego można było się spodziewać.

Cała historia rozpoczęła się latem 2016 r., kiedy na Netflixie zadebiutowała produkcja, która stała się wkrótce znakiem rozpoznawczym serwisu, tak jak wcześniej był nim serial „House of Cards". „Stranger Things" szybko stał się fenomenem na skalę „Gry o tron". Bracia Duffer nakręcili łącznie pięć sezonów serialu, powstał cały przemysł „strangerthingsowy" – komiksy, gadżety, książki, zabawki, gry, nawet klocki LEGO.

EMOCJONALNA KOTWICA

Sukces był zasłużony. W recenzji zatytułowanej „Najdziwniejsze rzeczy" („Do Rzeczy" nr 30/2019) przy okazji premiery trzeciego sezonu pisałem wtedy: „W rzeczy niesamowite i fantastyczne wierzymy wtedy, gdy przydarzają się ludziom, w których istnienie jesteśmy w stanie uwierzyć. Tak właśnie jest w serialu »Stranger Things«". I dalej odnotowywałem: „Kiedy zaczynają się dziać rzeczy niezwykłe, nikt nie okazuje się od razu superbohaterem w kolorowym trykocie. Tym, co wprawia zwykłych ludzi w ruch, są zwykłe ludzkie odruchy: troska o dziecko, miłosne zauroczenie, przyjaźń, poczucie obowiązku".

Choć z każdym kolejnym sezonem działy się w serialu rzeczy coraz bardziej fantastyczne, a skala zagrożenia dla mieszkańców miasteczka Hawkins (i całej Ziemi) wzrosła niepomiernie, to ten fundament sukcesu pozostał niezmienny. Widzowie kibicowali sympatycznym, zazwyczaj niedoskonałym bohaterom, przeżywali ich kłopoty, patrzyli, jak dojrzewają. Beztroskie dzieciaki zamieniały się w chmurnych nastolatków, leczący rany po osobistych traumach dorośli uczyli się powoli wychodzić ze swoich skorup i zaczynać życie od nowa. Nie zmieniało się jedynie zagrażające im zło – i słusznie, bo zło zawsze pozostaje równie niebezpieczne (no i – jak wiadomo – nigdy nie śpi).

„Stranger Things" posiadał więc coś, czego zdecydowana większość współczesnych produkcji telewizyjnych i streamingowych jest pozbawiona – emocjonalną kotwicę. Zadawaliśmy sobie pytanie „co dalej" nie dlatego, że wątek fantastyczny był szczególnie zaskakujący lub wyjątkowo oryginalny, ale dlatego, że troszczyliśmy się o mieszkańców Hawkins – małych i dużych.

Jednocześnie z tego samego powodu wielu widzów poczuło się lekko rozczarowanych wielkim finałem, w którym bracia Duffer nazbyt zaufali ekipie od komputerowych efektów specjalnych, a zbyt mało miejsca poświęcili zmieniającym się relacjom między bohaterami. Być może po prostu chcieli zagrać bezpiecznie, by zapewnić fanom… cóż, no odpowiedni fan service. Stąd pewnie u niektórych poczucie, że dostaliśmy na koniec porcję pustych kalorii. Cała opowieść wydaje się też przeciągnięta – gdyby wielki finał nastąpił tuż po sezonie czwartym, pewnie nawet byśmy nie zauważyli braku reszty sezonu piątego. Bez trudu można to było w ten sposób napisać.

Pozostaje pytanie: Co jeszcze sprawiło, że tak wiele milionów widzów tak bardzo zwariowało na punkcie „Stranger Things"? Nie będę oryginalny, gdy do emocjonalnego autentyzmu dodam perfekcyjny kanibalizm popkulturowy. Bracia Duffer nigdy nie ukrywali, że inspirują się popkulturą lat 80., ale skala zapożyczeń jest oszałamiająca. Nie bez powodu nawet tytuł serialu wypisano na ekranie krojem liter wyjętym z okładek dawnych powieści Stephena Kinga. Książki, filmy, komiksy, gry – wszystkożerni Dufferowie brali garściami, skąd chcieli, nieważne, czy to filmy Stevena

eprasa.pl 6f6219898c

FOT. COURTESY OF NETFLIX

Spielberga i Roberta Zemeckisa czy Johna Carpentera i Sama Raimiego.

Będą powstawały na ten temat sążniste opracowania (o ile już nie powstały), prawda jednak jest taka, że nikt się na tę praktykę nie oburzał. Nie tylko dlatego, że świat żyje modą na lata 80. (i 90.) XX w. Także dlatego, że była to złota era Kina Nowej Przygody oraz wielkiego rozkwitu wszelkich form fantastyki i wiele dzieł z owych czasów do dziś bije na głowę późniejsze dokonania. Dufferowie kradli zatem dobry towar w dobrym sklepie. I mieli na tyle przytomności umysłu, by go nie dekonstruować. Możemy więc traktować „Stranger Things" i jako hołd, i jako pastisz, i oczywiście jako triumf nostalgii.

Oznacza to, że serial o dzieciakach z Hawkins był dla obecnego etapu rozwoju Internetu i mediów społecznościowych produktem doskonałym. Spójrzmy na podstawowe dziś narzędzie obcowania z rozrywką: YouTube. Portal ten istnieje przede wszystkim dzięki nostalgii. Żadne nowości, żadne ekskluzywne treści premium nie mogą się z nim równać popularnością z nieustannym tarzaniem się w przeszłości. Żaden filmik o nowym projekcie Ridleya Scotta nie zbierze tylu wyświetleń i polubień, co filmik o „kultowych filmach Scotta", czyli „Obcym" i „Blade Runnerze". Stare teledyski królują wieczorami na ekranach telewizorów, komputerów i smartfonów, a pod każdym kontentem retro pojawia się natychmiast mnóstwo komentarzy, których autorzy tęsknią za „starymi dobrymi czasami".

Prowadzi nas to do jeszcze jednego kontekstu, bardzo moim zdaniem ważnego. Warto spojrzeć na miasteczko Hawkins i zamieszkujących je bohaterów jak na jedną z ostatnich – być może ostatnią – amerykańskich utopii. Era Reagana była czasem ekonomicznej prosperity, siły Ameryki, która złamała potęgę sowieckiego Imperium Zła; była czasem stabilizacji i bezpieczeństwa. Dość to paradoksalne, bo przecież trwała zimna wojna. Ale spójrzmy – kolejne dekady to już czas chaosu, dwóch wojen w Zatoce, zamachu na World Trade Center, krachu finansowego, z którego świat nie podniósł się do dziś, pandemii, nowej zimnej wojny (tym razem z Rosją i z Chinami) itd. W porównaniu z tym wszystkim sielskie Hawkins z połowy lat 80. wydaje się rajem, nawet jeśli grasuje tam jakiś potwór.

„STRANGER THINGS"
NETFLIX, USA

W wydanej u nas w roku 2019 książce „Biały" Bret Easton Ellis tęsknił za podobną utopią. Wcale nie znajdowała się na odległej, fikcyjnej wyspie, lecz w nieodległej amerykańskiej przeszłości. Autor „American Psycho" wspominał czasy, gdy wychowywał się, podobnie jak miliony podobnych mu dzieciaków, w krainie wolnej i bezpiecznej: na amerykańskich przedmieściach. Tam, gdzie nikt nie zamykał domów na klucz, a jeśli nawet, to klucz ukryty był pod doniczką z kwiatami na ganku. Dzieciaki godzinami wędrowały bez opieki, ucząc się samodzielności i pielęgnując przyjaźnie. Dziś wszystkim rządzi psychoza strachu: latorośle odstawiane są samochodami pod drzwi szkoły i w podobny sposób odbierane, bo wokół – tak słyszymy – sami pedofile, handlarze narkotyków i w ogóle wszyscy możliwi źli ludzie. Płoty pod napięciem rosną wokół enklaw mieszkalnych, najwyższą cnotą obywatelską jest separowanie się od innych. Media społecznościowe nakręcają wszelkie możliwe histerie i teorie spiskowe.

A w Hawkins… Cóż, tam popołudniami i wieczorami dzieci wciąż jeżdżą na rowerach po lesie, same wychodzą z domu i do niego wracają, bo dorośli mają swoje sprawy. Rodzina nie jest źródłem patologii, lecz wsparcia, bo przecież w walce ze złem dorośli staną ramię w ramię ze swymi dziećmi. Telewizja, kino i salony gier arkadowych oferują kolorową, bezpieczną rozrywkę, nikt nie mebluje nikomu na siłę głowy ideologicznymi nowinkami. Utopia, prawdziwa utopia. Która będzie trwała dopóty, dopóki oglądany będzie serial „Stranger Things".

NIESPODZIEWANY COMING OUT

Niestety, pod koniec piątego sezonu bracia Duffer ową utopię zrujnowali, bo postanowili oddać cześć bezlitosnemu bożkowi rządzącemu programowaniem Netflixa. Uczynili to niespodziewanym coming outem jednego z bohaterów, nijak nieuzasadnionym rozwojem fabuły czy postaci. Po prostu wiemy, że tak jak w socrealistycznych powieściach prędzej czy później musiał pojawić się pean ku czci kierowniczej roli partii i Komsomołu, tak dziś w serialach prędzej czy później musi się pojawić postać z tej części klawiatury, która została zagarnięta przez ludzi opętanych nieskończenie wielką pasją ideologiczną (nieskończoność w tym przypadku oznaczona została znakiem „+" na końcu zestawu zagarniętych liter LGBT).

Niepotrzebny nikomu fikołek: młody Will wyznający, że „nie lubi dziewcząt". I uzasadnienie: musiał dokonać coming outu, bo dopóty, dopóki nie stanął w prawdzie, potwór miałby go w garści. Cóż, widzieliśmy podobne głupoty – parę lat temu efektowny chaos fabuły filmu „Wszystko wszędzie teraz" ukrywał komunikat, że koniec świata wywołany został przez matkę, która nie akceptowała faktu, że jej córka… cóż, nie lubi chłopców. Na szczęście numer z Willem niknie gdzieś na trzecim planie, choć uzasadnione internetowe wzmożenie rozwścieczonych fanów słusznie wyciągnęło go chwilowo na plan pierwszy. Dla braci Duffer powinno być to ostrzeżenie: jeśli jesteś tym, co pożyczasz, to musisz bardzo uważać co i od kogo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

SkyShowtime

Klątwa Salieriego

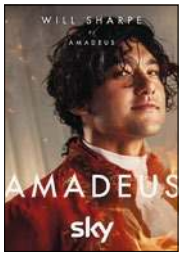

★★☆☆☆☆

MINISERIAL „AMADEUSZ" WIELKA BRYTANIA 2025

wyst. Will Sharpe, Paul Bettany, Gabrielle Creevy, dystr. SkyShowtime

Zaczyna się jak parodia filmu Miloša Formana, a potem jest jeszcze gorzej. Oto Salieri (tym razem Paul Bettany, a nie F. Murray Abraham) chce wyznać swe winy: „Zabiłem Mozarta!". Ale najpierw jako adresata spowiedzi wybiera wdowę po Amadeuszu. Ciężki make-up sprawia, że Bettany wygląda jak przedstawiciel rasy Ferengich z serialu „Star Trek: Deep Space Nine". Kto nie będzie się śmiał, może po prostu załamać ręce.

Pomysł nie był głupi – słynny i obsypany Oscarami film „Amadeusz" (1984) powstał co prawda na podstawie sztuki Petera Shaffera, ale oryginał literacki był dużo bardziej skomplikowany, o wiele bogatszy. Zatem przyklasnąć wypadałoby koncepcji zrobienia adaptacji po bożemu, z szacunkiem dla autora. Niestety, to nie ta koncepcja. Scenarzysta Joe Barton, specjalista od rutynowej telewizyjnej fantastyki i kryminału, nie zamierzał być wierny Shafferowi. Pożyczył sobie trochę scen ze sztuki, coś tam podpatrzył w filmie Formana i zabrał się do dopisywania. Wyszło mniej więcej tak, jak w obu serialach o wiedźminie Geralcie. Tam, gdzie postacie mówią dialogami z Sapkowskiego, jest dobrze. Tam, gdzie dopisano nowe dialogi i wymyślono nowych bohaterów, wszystko się sypie.

Dzieła zniszczenia dopełniają fatalne decyzje obsadowe. W miarę broni się Bettany jako Salieri, choć bywa zanadto jednowymiarowy. Może podobać się Konstancja Mozart, czyli Gabrielle Creeve. Ale serial o Mozarcie nie może być udany bez dobrego Mozarta, a Will Sharpe jest Mozartem fatalnym. Do tego stopnia, że nawet przyjazny rozmaitym transgresjom dziennik „The Guardian" zamieścił recenzję, w której tę kreację porównano do roli Mossa granej przez Richarda Ayoade'a w sitcomie „The IT Crowd" (polski tytuł „Technicy magicy"). Równie słaby jest Rory Kinnear jako cesarz Józef.

W pięcioodcinkowej opowieści wyreżyserowanej przez Juliana Farina i Alice Seabright nie ma więc niczego, za co kochano i sztukę Shaffera, i film Formana: inteligencji, dowcipu, uroku, tempa oraz charyzmatycznych aktorów. Zostaliście ostrzeżeni i możecie wykorzystać pięć godzin swego życia na ciekawsze zajęcia. A wszyscy chętni do kręcenia podobnie słabych kopii arcydzieł niech pomną: klątwa Salieriego działa. Nie dość, że nikogo nie prześcigniecie, to jeszcze będziecie szybko zapomniani. ©℗

GRA TYGODNIA: „METROID PRIME 4: BEYOND" ★★★★★☆

Próg wejścia jest dość wysoki, trzeba przyswoić pewną porcję wiedzy i przyzwyczaić się do mechanik gry, ale warto przejechać te wertepy, bo dalsza droga jest tego warta. Fani serii długo musieli czekać na nową odsłonę przygód łowczyni nagród Samus Aran, ale nie powinni być rozczarowani. Prosta opowieść jest pretekstem do satysfakcjonujących starć z bossami, rozwoju postaci i pokonywania dobrze zaprojektowanych poziomów. Gra na Nintendo Switch 2 wygląda i brzmi bardzo dobrze, a przy tym działa płynnie. Może nie najbardziej dochodowa, ale ważna marka w portfolio Nintendo. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcji, FPP*
- ***Platforma:*** *NS, NS 2*
- ***Producent, dystrybutor PL:*** *Nintendo, ConQuest*

eprasa.pl 6f6219898c

Taniec pod wulkanem

KINO

Amor vincit omnia – stwierdził Wergiliusz, a za nim powtarzały to kłamstwo legiony pięknoduchów. Poeci notorycznie odrywają się od ziemi, taka ich natura, jednak ludzie dorośli – tacy jak Jennifer i Fernando – nie są już nastolatkami. Powinni zatem zdawać sobie sprawę z konsekwencji ulegania iluzjom. Ich związek to mezalians, i to do kwadratu. Ona mieszka w Stanach Zjednoczonych. Zarządza fundacją założoną przez ojca milionera. On jest utalentowanym tancerzem, ale miał pecha urodzić się w Meksyku. W sytuacji, gdy protagonistów dzieli kulturowa i majątkowa przepaść, lepiej się opamiętać, kończąc romans (zanim przerodzi się on w obsesję) wymianą czułych SMS-ów, wspartą wystawieniem czeku imiennego.

Imigranci są teraz na cenzurowanym. Postrzega się ich jako zagrożenie dla bezpieczeństwa i ładu społecznego. Fernando, jak mniemam nieprzypadkowo, jest postacią z całkiem innej bajki. Ma plan. To nie desperat, który troskę o to, gdzie ostatecznie trafi i z czego będzie się utrzymywał, pozostawia przeznaczeniu. Musi jednak uważać, ponieważ również nad nim wisi miecz Damoklesa, czyli ryzyko przymusowej deportacji. Typowy gringo lubi Latynosów dopóty, dopóki ci zarabiają na chleb, czyszcząc baseny i wychodki. Rzuci dolara ulicznej orkiestrze mariachi, powiesi w kuchni reprodukcję obrazu Fridy Kahlo. Gdy przybysze próbują konkurować na rynku pracy, sentymenty idą precz. Jennifer jest inna, ma serce na dłoni. Słowa „chcę się tobą zaopiekować" są w jej ustach deklaracją miłości, która nie dba o pieniądze (bo je ma). Niestety, burza hormonów, tak jak każda burza, przemija. Męska duma tancerza zaczyna cierpieć katusze. Na dłuższą metę trudno mu się pogodzić się ze statusem erotycznej zabawki. Postanawia zostać kowalem swego losu.

★★★☆☆☆

REŻ. MICHEL FRANCO
„DREAMS"
MEKSYK/USA 2025

wyst. Jessica Chastain, Isaac Hernández, Rupert Friend

Michel Franco to reżyser sadysta. Nie ma krzty litości dla stworzonych przez siebie postaci. „Marzenia" traktują o emocjach, tymczasem z ekranu wieje chłodem. Mieszkanie Jennifer jest mniej przytulne niż jej biuro. Brak hektolitrów wylanych łez i rzewnych piosenek zakrawa na sabotaż. Ascetyczna konwencja odstrasza widzów, tak samo jak pesymizm w ocenie ludzkiej natury. Chociaż niektórzy powiedzą, że to realizm. ©℗

Wiesław Chełminiak

DRON PRZEZNACZENIA

Za 20 lat opozycja zostanie zepchnięta do podziemia. Rząd, w imię bezpieczeństwa, podzieli stolicę na strefy. W pierwszej zamieszka elita, w drugiej klasa średnia, a w trzeciej pospólstwo. Szeryfem będzie sztuczna inteligencja, wspomagana przez uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy tudzież wszędobylskie drony. Gdzie? Na szczęście nie w Warszawie, tylko w Paryżu. Mniemam, że ekranizacja dystopijnej powieści Laurenta Gaudé grzeszy naiwnością. Po pierwsze: tyrania w stylu high-tech stoi już za progiem. Po drugie: system totalnej inwigilacji rozmontowuje para policjantów po przejściach. „Pies 51" bezwstydnie żywi się fabularnymi kalkami wyprodukowanymi w USA, lecz francuskie zarozumialstwo również tej opresji wyjdzie cało. Przyszłość naszej cywilizacji rozstrzygnie się nad Sekwaną. Po prostu nie ma innego wyjścia. ©℗

KINO

★★★☆☆☆

REŻ. CÉDRIC JIMENEZ
„PIES 51"
(„CHIEN 51")
FRANCJA 2025
wyst. Gilles Lellouche, Adèle Exarchopoulos, Louis Garrell

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Warszawskie srebra

W świecie zalanym przez bylejakość z sieciówek warto czasem przypomnieć sobie, czym jest prawdziwy kunszt. Na nowej wystawie stałej Muzeum Mazowieckiego w Płocku – „Srebra firm warszawskich" – zgromadzono eksponaty, które są dowodami na to, że kiedyś codzienność miała swoją wagę – dosłownie i w przenośni. Kolekcja, budowana konsekwentnie od 1966 r., rozrosła się z garstki obiektów do imponującego zbioru ponad 900 zabytków. Mamy tu do czynienia z ligą mistrzów dawnego rzemiosła: Fabryka Józefa Frageta, Norblin, Bracia Buch czy T. Werner. Nazwiska, które w XIX w. znaczyły tyle, ile dziś znaczą największe globalne brandy, których produkty przetrwały próbę czasu.

Na ekspozycji zobaczyć można nie tylko klasyczne platery, lecz także prawdziwe perełki stylu art déco, w tym projekty Julii Keilowej – rzeźbiarki, której metaloplastyka (jak choćby kultowa cukiernica „Jabłko królewskie") jest dziś na rynku kolekcjonerskim towarem deficytowym. Są tu rzeczy wielkie i małe – od misternych pojemników na sardynki, które wyglądają jak królewskie klejnoty, po solniczki pamiętające rok 1833. ©℗

FOT. DARIUSZ OSSOWSKI

GDZIE? ***Muzeum Mazowieckie w Płocku***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

eprasa.pl 6f6219898c

MOJA PÓŁKA

Poezja Pawła Kuszczyńskiego

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Tom „Wierszy zebranych" Pawła Kuszczyńskiego podsumowuje dorobek tego wielkopolskiego twórcy, autora kilkunastu tomów poetyckich, laureata wielu nagród literackich, nie tylko zresztą za osiągnięcia w dziedzinie liryki, bo przypomnę, że wyróżniony też został Nagrodą im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za „Wartości zauważone", zbiór recenzji krytycznoliterackich.

W 2007 r. wydał on „Niedosyt istnienia", obejmujący wiersze pisane i publikowane od roku 1962. Teraz ta poetycka rekapitulacja poszerzona została o nowe utwory, utrzymujące się w tej samej, charakterystycznej dla autora poetyce, a przecież wzbogacające tę twórczość o nowe tony. I stawiająca pytania najważniejsze z ważnych, jak to rozpoczynające wiersz „Gubione życie":

Nieustająco pytam siebie,
co ja tutaj robię
w tym świecie zatracenia,
wypełnionego po brzegi cieniami
z ledwie przebijającym się światłem.

Poeta nie popada jednak w desperację, choć gnębi go „skopiowany świat", w którym „zagubiły się postawy", i w dedykowanym Waldemarowi Smaszczowi wierszu „Tu zostań" powiada:

Nie próbuj nazwać wszystkiego –
zostaw tajemnicę.
Niech zakróluje umiar.
Brudne szyby nie przysłonią
gwiaździstego nieba.
Nie znikną pocałunki
zbratane z cnotą.
Wszechogarniająca ciemność
ustąpi światłu.

Oby – chciałoby się rzec. Z tej książki wychyla się ku nam – jak pisze w posłowiu Maria Magdalena Pocga – „wizerunek człowieka dojrzałego, skupionego, ściszonego, o bogatym życiowym doświadczeniu, który zachwyca się tym, co ulotne, dla innych może nieistotne, nieważne. Mimo że »za szybko z dzieciństwa wygnany«, nie zatracił swej pierwotnej czystości w oglądaniu świata i jego przeżywaniu. Przez ciągle otwartą drogę do źródeł, powraca do swoich najdawniejszych wspomnień, do obrazów, malowanych akwarelą (bo jakże inaczej?), spowitych lekką mgłą, różowym światłem z nieba, zapachem antonówek, brzmieniem owadziej muzyki z łąki. Sam w jednym z wierszy zwierza się: »Coraz częściej chcę mieć twarz chłopca powracającego z majowego nabożeństwa, być w śpiewie czasu…«. I dzisiaj, będącemu już w sile wieku, towarzyszy znamienna deklaracja, przebijająca się przez strukturę mądrości, rozsądku, stateczności, wiedzy: »Dzieciństwo do ostatniej godziny nie przestanie kołysać mej duszy«".

FOT. ARCHIWUM ZLP POZNAŃ

Poezję autora „Mądrości dobra" przepełnia tęsknota za ładem, za porządkiem świata ustanowionym przez Boga. Człowiekowi pozostaje wierzyć i nie tyle może robić swoje, ile czynić dobro. A poeta musi „pamiętać, że prawda umacnia / i nieraz zabija, / liczba mnoga nie zawsze rozgrzesza. // Napisać wersy tak, jak się chciało. / Nie kalać świętości języka".

Wiele utworów poświęca poeta ważnym, choć niekiedy zapomnianym postaciom naszej historii. I tak przywołuje tragiczne strony polskich dziejów w „Tryptyku katyńskim" czy „Córkach generała", poświęconych pamięci dwóch córek gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego: Janinie, lotniczce, wziętej do niewoli przez Sowietów i zamordowanej właśnie w Lesie Katyńskim oraz młodszej od niej Agnieszce, rozstrzelanej przez Niemców w Palmirach. Sławi w swych wierszach Paweł Kuszczyński tak ważnych dla Wielkopolski Ignacego Jana Paderewskiego i Hipolita Cegielskiego. A przed ośmiu laty napisał wiersz „Powstańcy wielkopolscy", który w kontekście niedawnych grubiaństw Tuska i jego prymitywnych, niedouczonych akolitów usiłujących rocznicę tego zwycięskiego (!) powstania rozegrać politycznie, brzmi szczególnie mocno:

… walczyli, by nie ginąć,
a jedynie zwyciężyć
niemieckich zaborców.
Cenili dar jeden: Życie.
Dowiedli, że nie tylko poeci
chcą być Ikarami
i niebo polskie wzięli w posiadanie.
Synowie Krainy Polan,
Jak niegdyś chrzest narodu,
Niepodległość Ojczyzny pomnożyli.
Pozostaną źródłem wartości
potrzebnych każdemu
Płomień kocha pamięć.

„Wiersze zebrane" Pawła Kuszczyńskiego to znaczący tytuł dla Poznania i dla Wielkopolski. „Dwie rzeki są mi najbliższe – pisał w jednym ze swoich utworów: Wisła, którą coraz rzadziej spotykam / i Warta, z którą żyję". Ale to książka ważna dla literatury polskiej jako takiej. Dla poezji ojczystej. ©℗

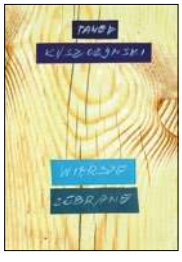

★★★★★☆

PAWEŁ KUSZCZYŃSKI „WIERSZE ZEBRANE" BIBLIOTEKA REWIRÓW, POZNAŃ 2025

eprasa.pl 6f6219898c

PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Norman Podhoretz

W przedświątecznym zamieszaniu początkowo umknęła mi ta informacja – 16 grudnia zmarł Norman Podhoretz, jeden z najbardziej wpływowych neokonserwatystów amerykańskich. Zapisuję te kilka zdań, bo zdumiony jestem faktem, jak niewielu w Polsce odnotowało jego odejście – dosłownie pojedyncze osoby w mediach społecznościowych, jak choćby Sławomir Cenckiewicz czy prof. Wojciech Polak.

Domagam się zatem pamięci o Podhoretzu. Dlaczego czynię to w rubryce o książkach? Bo były naczelny „Commentary" nigdy nie był dla mnie wybitnym myślicielem politycznym. Był natomiast świetnym krytykiem literackim i jednym z pierwszych bojowników wojny o kulturę, którą amerykańska prawica zmuszona była wypowiedzieć, gdy coraz bardziej fatalne skutki przynosić zaczęła kontrkultura.

Mam więc we wdzięcznej pamięci esej polityczny „Dlaczego byliśmy w Wietnamie" (jedną z dwóch zaledwie pozycji Podhoretza wydanych po polsku) i nie żałuję czasu spędzonego kiedyś na lekturze książki „World War IV: The Long Struggle Against Islamofascism", w której z brutalną szczerością Podhoretz pokazywał, dlaczego bój z islamem to dla Zachodu walka na śmierć i życie. Ale najbardziej cenię broszurę wydaną jeszcze w podziemiu (choć w 1989 r.) przez NOW-ą, czyli „Krwawe skrzyżowanie".

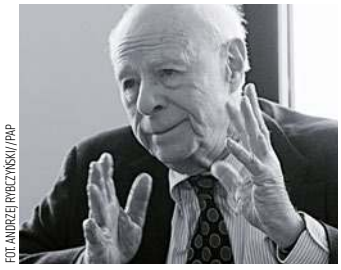

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Była to skrócona wersja książki z roku 1986, w polskiej edycji znalazło się zaledwie pięć z dziewięciu esejów. Ale chyba z naszego punktu widzenia najważniejsze, m.in. „List otwarty do Milana Kundery" czy „Gdyby Orwell żył dzisiaj". Tytułowe „krwawe skrzyżowanie" to miejsce, gdzie stykają się literatura i polityka. Ślepotę na zbrodnie komunizmu oraz na zgubne skutki walki z tradycją wytykał pisarzom i krytykom Podhoretz. Nie miał litości dla tych, którzy szerzą liberalne złudzenia, dostrzegał nadchodzącą nową ponurą przyszłość Rosji („Straszne pytanie Aleksandra Sołżenicyna").

Była ta książka dla mnie jednym z objawień czasów młodości. I tak jak „Myśli staroświeckiego Polaka" Piotra Wierzbickiego zaszczepiła mnie skutecznie przeciw relatywizmom, które przeżarły III RP u jej zarania. Jak oceniał Andrzej Bryk (profesor prawa z UJ), Podhoretz pisał „zawsze ze zrozumieniem moralnej funkcji literatury i opierając się na głębokich przemyśleniach kulturowych". Rozumiał doskonale politykę, bo kochał poezję, literaturę i sztukę. Czego i państwu życzę. ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Podczas gdy wszyscy rozprawiają, jak chińskie wynalazki zmieniły świat, znakomity brytyjski eseista wskazuje na inne, zapomniane źródło wiedzy: to Indie, których wpływ przez półtora tysiąca lat promieniował na Eurazję.

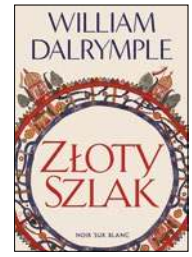

WILLIAM DALRYMPLE „ZŁOTY SZLAK" NOIR SUR BLANC

Znaleźć można w tej biografii wiele odpowiedzi na rozmaite pytania związane z życiem i dziełem znakomitego fizyka. Nieoczywista jest sprawa polityki: zrozumiała niechęć do Niemiec, ale nazbyt wyważone podejście do Sowietów.

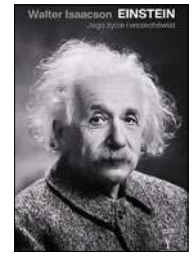

WALTER ISAACSON „EINSTEIN" INSIGNIS

Klasyka niemieckiej literatury grozy XIX w.: zbiór opowiadań bardzo popularny swego czasu na Zachodzie, po raz pierwszy w takim układzie w Polsce. Gotycyzm, preromantyzm: duchy, nawiedzenia i groźby zza grobu.

AUTORZY RÓŻNI „FANTASMAGORIE. OPOWIEŚCI O UMARŁYCH" ZYSK I S-KA

Kolejny tom serii dla dzieci i młodzieży, która wykiełkowała z cyklu filmów nagrodzonych Emmy. Dobrze jest mieć niezwykłe moce, by walczyć ze złem. Ale co, gdy utkniemy w roli, którą powinniśmy grać tylko od czasu do czasu? ©℗

recenzuje Piotr Gociek

ANDRZEJ MALESZKA „MAGICZNE DRZEWO. OBROŃCA" ZNAK EMOTIKON

KOMIKS TYGODNIA:
BARTLEBY, CZYLI TAJEMNICA

Najbardziej wieloznaczny i kafkowski z utworów Hermana Melville'a, tym razem jako powieść graficzna. „Wyobraźmy sobie człowieka z natury i wskutek przeciwności losu skłonnego do oddawania się uczuciom ponurej beznadziejności" – opisywał swego bohatera Melville, szukając nadziei, „dla ludzi, którzy pomarli bez nadziei". ©℗

Piotr Gociek

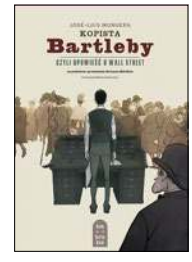

JOSE-LUIS MUNUERA, SERGIO S. ROMÁN „KOPISTA BARTLEBY, CZYLI OPOWIEŚĆ O WALL STREET" STOW. PISARZY POLSKICH 2025

eprasa.pl 6f6219898c

Spotkanie na szczycie w Waszyngtonie, 18 sierpnia 2025 r. FOT. AA/ABACA / ABACA PRESS / FORUM

Polska na bocznym torze

Jan Fiedorczuk

Brak Polski w negocjacjach dotyczących pokoju na Ukrainie to cenna lekcja dla polskiego społeczeństwa. Zrzucanie całej winy za tę sytuację na polski rząd jest jednak niesprawiedliwe

W połowie sierpnia 2025 r. w Waszyngtonie doszło do spotkania, w którym oprócz samego Donalda Trumpa uczestniczyli przewodnicząca Komisji Europejskiej, przywódcy Francji, Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii oraz Finlandii – dla Polski jednak zabrakło zaproszenia. Szczególnie obecność prezydenta Alexandra Stubba była nad Wisłą źle odebrana, gdyż dowodziła, że nawet malutkie Helsinki mają dla zachodnich mocarstw większe znaczenie niż Warszawa.

Polska nie była również obecna na szczycie w Genewie, który odbył się w listopadzie ubiegłego roku. Już po zakończeniu wydarzenia Donald Tusk domagał się, by dopisać jego nazwisko do sygnatariuszy spotkania, co wbrew jego intencjom jedynie pogłębiło obraz frustracji i bezsilności polskiej strony. „Warszawa, niegdyś jeden z najsilniejszych głosów Zachodu w sprawie Ukrainy, obecnie walczy o to, by w ogóle znaleźć się przy stole negocjacyjnym" – komentowało całą sytuację Politico. Również w grudniu 2025 r., gdy odbył się szczyt w Londynie, kolejny raz zabrakło miejsca dla przedstawiciela polskich władz. Politycy opozycji z lubością maglują ten temat, wskazując, że ponawiające się absencje są dowodem słabości polskiej dyplomacji pod kierunkiem ministra Radosława Sikorskiego. Trudno jednak im przyznać rację. Problem wydaje się znacznie szerszy i nie ogranicza się do rządzącej obecnie ekipy.

KTO SIADA DO STOŁU?

Podstawowe pytanie, które należy sobie zadać, brzmi: W jakim celu zachodnie mocarstwa miałyby zapraszać Warszawę do stołu negocjacyjnego? Skład takich obrad ustala się, biorąc pod uwagę jedno fundamentalne pytanie: Co dane państwo może wnieść do rozwiązania problemu? I mówię nie o oficjalnych spotkaniach, z których niewiele wynika, tylko o tym, kto faktycznie podejmuje decyzje. Bo już też dajmy spokój z fetyszem uczestnictwa w tych kolejnych szczytach – Donald Tusk np. brał udział w grudniowych rozmowach w Brukseli, co w żaden sposób nie przełożyło się na naszą sprawczość. Postulat polskiego rządu dotyczący wykorzystania zamrożonych rosyjskich aktywów przepadł, a premier musiał udawać, że kolejna pożyczka dla Ukrainy, którą będą spłacać obywatele państw Unii Europejskiej, w tym Polski (tym razem 90 mld euro), to wielki sukces.

Co oczywiste, Polska nie ma już realnych zasobów, które mogłaby zaoferować, ale co bardziej dojmujące, nasza dyplomacja nie posiada nawet pomysłu, w którym kierunku ten konflikt powinien zmierzać ani jaki scenariusz byłby dla Polski optymalny (poza śmiercią Władimira Putina i rozpadem Rosji). Czy np. przeciąganie wojny jest korzystne dla nas? Polskie władze a priori uznają, że tak, ale w żaden sposób nie próbują tego uargumentować. Jak chcą zatem przekonać do tego zachodnich partnerów, którzy co miesiąc ślą na Ukrainę niebotyczne sumy? Poza górnolotnymi, ze wszech miar słusznymi, ale intelektualnie pustymi frazesami o pomocy Ukrainie Polska nie oferuje żadnej strategicznej myśli. O „sprawiedliwym pokoju" nie marzą już bowiem nawet na Ukrainie, gdzie dominuje chęć zakończenia tej niezwykle brutalnej wojny.

eprasa.pl 6f6219898c

Emmanuel Macron tymczasem wprost mówi o spotkaniu z Władimirem Putinem, kanclerz Niemiec również prowadzi negocjacje z Moskwą, Viktor Orbán czy Recep Tayyip Erdoğan od początku konfliktu kierują się swoją racją stanu. Polska natomiast – pomijając pierwsze tygodnie po inwazji – nie prowadzi żadnej polityki, cedując wszelkie decyzje bądź to na USA, bądź też na UE i zadawalając się antyputinowską retoryką. Szczególnie widać to po politykach PiS ślepo wierzących Donaldowi Trumpowi, mimo że tenże Trump prowadzi politykę o 180 stopni odwrotną od tego, co proponował rząd Mateusza Morawieckiego. I nagle cały PiS podążył za Białym Domem, udając, że nie widzi, iż cała ich antyrosyjska doktryna runęła w posadach.

MOCARSTWOWE MRZONKI

Gdy w 2022 r. Rosja najechała Ukrainę, to ze środowisk tzw. geopolityków i wszelkiej maści ekspertów co chwilę można było usłyszeć twierdzenia, że wojna jest tak naprawdę wielką szansą dla Polski. Szansą na pokonanie Putina, na rozbicie Rosji, na stworzenie trwałego sojuszu z Ukrainą. Być może pamiętają państwo, jak zaledwie kilka miesięcy po rozpoczęciu inwazji nadwiślańscy marzyciele snuli dalekosiężne plany federacji polsko-ukraińskiej. To był tylko wierzchołek góry lodowej. Wszak nie tak dawno czołowi politycy i eksperci domagali się „Norymbergi dla Putina", chcieli „wgniatać w ziemię" prezydenta Rosji oraz rozprawiali o możliwości odbicia Kaliningradu, a także reparacjach, które Kreml będzie wypłacał Kijowowi.

Przypominam te wszystkie głosy, by uzmysłowić, jak wojna za naszą granicą, która jest śmiertelnym zagrożeniem dla naszego wciąż młodego, niestabilnego państwa, została potraktowana jak zabawa, dziejowa szansa, los na loterii. Jak dziś pamiętam ekspertów od polityki międzynarodowej perorujących, że nie wolno nam przespać tej „okazji", że nasze państwo ma stać się dzięki wojnie jakimś wielkim rozgrywającym. Najwyraźniej znaczna część społeczeństwa uwierzyła w te miraże i dlatego teraz przeżywa tak bolesne zderzenie z ziemią, gdy nasze plany o regionalnym mocarstwie są brutalnie weryfikowane, a nam – którzy mieliśmy rozgrywać – wskazuje się miejsce w szeregu albo mówi, w którym wagonie ma jechać nasz premier.

Nawet cytowane na początku tekstu Politico zwraca uwagę, że naszego państwa nie sposób było ignorować właśnie na początku konfliktu, gdy udzielona pomoc miała kluczowe znaczenie dla losów Ukrainy. Wielu potraktowało ten czas jako moment, w którym narodzi się nowa pozycja państwa polskiego. Z perspektywy kilku lat widzimy, że było to jedynie krótkotrwałe odstępstwo w międzynarodowym układzie sił, a nie nowy porządek. Z biegiem miesięcy Polska straciła swoje atuty, podczas gdy Francja, Niemcy i Wielka Brytania nie tylko nadal przekazują sprzęt wojskowy, lecz także dywagują – przynajmniej Paryż i Londyn – nad możliwością wysłania swoich żołnierzy na teren Ukrainy, co polskie władze jednoznacznie wykluczyły.

Innymi słowy, Polska nie dysponuje żadnym atutem, który mogłaby wnieść na stół negocjacyjny. Pozostają oczywiście dwie kwestie, czyli terytorium, które ma kluczowe znaczenie dla dostaw sprzętu, oraz pomoc uchodźcom. Żadna z tych spraw nie może być jednak uznana za rzecz działającą na korzyść polskiej sprawczości. Trudno sobie bowiem wyobrazić, aby rząd miał na tyle determinacji, żeby zacząć traktować dostęp do lotniska pod Rzeszowem jako kartę przetargową, z kolei pomoc uchodźcom jest niewątpliwie bardzo szlachetnym działaniem, ale nie ma ona żadnego wymiernego znaczenia dla losów wojny. Dla Macrona, Friedricha Merza czy zwłaszcza Wołodymyra Zełenskiego większe znaczenie ma dostawa rakiet niż kolejny pakiet socjalny dla Ukraińców na obczyźnie. Pamiętajmy, że Francja czy Niemcy, nie mówiąc o Stanach Zjednoczonych, pompują miliony euro w konflikt i nie widzą powodu, czemu średniej wielkości kraj jak Polska miałby decydować o dalszym losie wojny.

UREALNIENIE POLSKIEGO POTENCJAŁU

Gdy oddzielimy emocje i logicznie przeanalizujemy sytuację, zobaczymy, że w ostatnich miesiącach nastąpiło po prostu urealnienie naszego potencjału. Zauważmy, że do rozmów nie są dopraszani ani Rumuni, ani Litwini – równie żywotnie zainteresowani wynikiem negocjacji co my – ani choćby Włosi, których potencjał przewyższa polskie możliwości. Po prostu wbrew naszym opowieściom o „nowym złotym wieku", o G20, o prześciganiu w PKB Szwajcarii i Japonii Polska nadal pozostaje średniej wielkości państwem (średnim w perspektywie europejskiej i małym w perspektywie światowej). To nie jest tak, że przez złą politykę Tuska przestaliśmy być rozgrywającym w polityce międzynarodowej, po prostu nigdy nim nie byliśmy.

Format E3 jest potrzebny USA przy ewentualnym dawaniu gwarancji bezpieczeństwa Ukrainie, gdyż Trump, wycofując się z Europy, chciałby przerzucić na Europejczyków rosnące koszty związane z wojną. I zastanówmy się przez chwilę, co – biorąc pod uwagę taki scenariusz – wiązałoby się z większym zaangażowaniem naszego kraju w negocjacje. Gdyby ustalono konieczność ustępstw na rzecz Putina, powiedzmy oddanie mu wschodnich terytoriów Ukrainy i zniesienie sankcji, to czy polskie władze uznałyby uczestnictwo w porozumieniu na tak wynegocjowanych warunkach za swój sukces? Premier Tusk musiałby bowiem albo złożyć swój podpis pod dokumentem wzywającym do oddania Putinowi np. Donbasu, albo skonfliktować się z zachodnimi partnerami. Nie chcę przez to powiedzieć, że dobrze, iż nie uczestniczymy w tych negocjacjach, bo to absurd, tylko wskazuję, że uczestnictwo w nich dla samego faktu uczestnictwa, bez realnych kart (przesyłanie broni, pieniądze, wpływy dyplomatyczne) i pomysłu, w którym kierunku działać, jest sztuką dla sztuki, a nie realną polityką. Ale to właśnie taką polityczną tromtadrację, erzac realnego działania, Polacy kochają najbardziej na świecie. Przyznał to pośrednio sam minister Sikorski, który pod koniec listopada stwierdził: „Polska nie będzie brała udziału w kupczeniu ukraińskimi ziemiami, my będziemy takie rzeczy recenzować, a nie je żyrować".

Polacy najbardziej na świecie kochają polityczną tromtadrację, czyli erzac faktycznego działania

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Były premier Mateusz Morawiecki i ambasador USA w Polsce Thomas Rose podczas debaty w Kanale Zero

FOT. KANAŁ ZERO/YOUTUBE

Patrioci z giętkim grzbietem

Dariusz Wieromiejczyk

Płaszczenie się polityków PiS przed naszym amerykańskim sojusznikiem wydaje się efektem swoistego instynktu służalstwa, zaszczepionego im podczas karier w typowej partii wodzowskiej. Niestety, jest ono sprzeczne z fundamentalnymi obyczajami amerykańskiej polityki

Zdumiewającymi pochwałami obdarzał wypowiedzi Mateusza Morawieckiego amerykański ambasador Thomas Rose podczas debaty prowadzonej przez obu polityków w Kanale Zero. „Zgadzam się ze wszystkim, co zostało powiedziane, wiem, że to miała być debata, ale nie sądzę, że mógłbym się nie zgodzić z czymś, co ma do powiedzenia wasz wspaniały były premier" – podsumowywał Rose wypowiedzi Morawieckiego. W komplementach amerykańskiego ambasadora kryć się może ukryty zarzut. Mateusz Morawiecki rzeczywiście zachowywał się wobec niego niczym zadurzony gimnazjalista, któremu narzeczona obiecała na randce ostateczny dowód miłości. Tak entuzjastyczne służalstwo ma z amerykańskiego punktu widzenia liczne zalety, jednak zamiast debaty przypomina publiczną adorację. Nic więc dziwnego, że ambasador Rose pozwolił sobie na kilka zdumiewających oświadczeń, nie napotykając ze strony rozmówcy najmniejszego oporu.

O „operacji specjalnej" wojsk Stanów Zjednoczonych w Wenezueli ambasador zawyrokował, że była ona nie tylko całkowicie zgodna z prawem międzynarodowym, ale stanowiła nawet egzekwowanie tego prawa. „Jakie prawo zostało złamane? Ten człowiek, Nicola Maduro, jest oskarżony w USA. To, co zrobił prezydent Donald Trump, to po prostu wykonanie listu gończego wystawionego za Maduro". Okazuje się zatem, że wystawione w USA „listy gończe" mają moc obowiązującą na całym świecie i pozwalają Amerykanom wsadzić za kratki dowolnego przywódcę pozornie niepodległego kraju, którego arbitralnie uznają za przestępcę. W dawno minionych czasach funkcję międzynarodowego arbitra albo sędziego wypełniać miały instytucje międzynarodowe, takie jak ONZ lub Międzynarodowy Trybunał Karny. Ten ostatni wystawił nawet „list gończy" za Beniaminem Netanjahu. Izraelski przywódca nie tylko nie trafił za kratki, lecz także nagrodził Donalda Trumpa przynależnym innej osobie tytułem „Księcia Pokoju". Jeśli prawne nauki amerykańskiego ambasadora potraktować poważnie, to w więzieniu mogliby wylądować raczej członkowie Trybunału Karnego, których jakiś amerykański sędzia miałby ochotę oskarżyć o oszczerstwo, antysemityzm lub sprzeniewierzenie materiałów biurowych.

ZAGRZEWANIE DO BOJU

Rozzuchwalony bezwarunkową akceptacją wypowiadanych przez siebie nauk ambasador Thomas Rose ośmielił się nawet zakwestionować wypowiedzi swojego przełożonego, prezydenta Donalda Trumpa. Ten ostatni nie może się ostatnio nachwalić swych „dobrych rozmów" z mającym, jego zdaniem, wobec przyszłego dobrobytu Ukrainy „dobre intencje" prezydentem Putinem. Tymczasem ambasador Rose, pytany przez rozentuzjazmowaną dziennikarkę Joannę Pinkwart, dlaczego USA, obok „kryminalisty" Maduro nie posadzą za kratki Putina, odpowiedział dwuznacznie, że „usunięcie Władimira Putina z Kremla to kwestia troszeczkę inna od tego, co wydarzyło się w Wenezueli z Maduro. Oczywiście są różne różnice prawne, ale polityka to sztuka tego, co możliwe". Trudno nie odczytać tych słów jako deklaracji, że gdyby było to tylko możliwe, również Putinowi chciałby ambasador zafundować przelot w kajdankach nad Atlantykiem. Nie ma to wiele wspólnego z pokojowymi deklaracjami Trumpa, doskonale jednak pasuje do polityki zagrzewania miejscowych „Irokezów Europy" do potrząsania tomahawkami (albo, jak kto woli, szabelką), zwłaszcza gdy można im rzeczone tomahawki sprzedawać za grube miliardy dolarów.

eprasa.pl 6f6219898c

Amerykański ambasador w Warszawie nie miał w tej rozmowie monopolu na wypowiadanie zdań wprawiających słuchacza w osłupienie. Mateusz Morawiecki przyzwyczaił już nas do demonstrowanych publicznie zaników pamięci, więc jego żywiołowe natrząsanie się z „szaleństw Zielonego Ładu" i absurdów europejskiej polityki klimatycznej nie powinno nikogo zdziwić. Opowieści o milionach elektrycznych samochodów Izera, przekształcających nasze drogi w „neutralny klimatycznie" raj, rozsnuwał z pewnością przed laty udający Morawieckiego przebieraniec. Intrygująco zabrzmiały diagnozy byłego premiera, że Putin „tak naprawdę nie rozmawia z europejskimi liderami, ale on ośmiesza europejskich liderów. Po prostu ośmiesza, bo wie, że nie musi się ich bać". Czyżby Putin dowiedział się tego dopiero w grudniu 2023 r., kiedy Mateusz Morawiecki ustąpił ze stanowiska premiera? Piastując swe stanowisko, o śmieszności europejskich przywódców Morawiecki telewidzów nie informował.

Geopolityczne plany Mateusza Morawieckiego poza górnolotnymi frazesami zawierały entuzjastyczną ocenę współpracy pomiędzy krajami Międzymorza. Pewnie wyleciało mu z głowy, że to za jego rządów doszło do drastycznego kryzysu w relacjach pomiędzy Polską a Węgrami i Słowacją, stawiającego pod znakiem zapytania samą ideę Międzymorza. „Nasze relacje z Węgrami zmieniły się bardzo, ze względu na stanowisko Węgier w sprawie Ukrainy i Rosji, to fakt. Mieliśmy kiedyś bardzo silną współpracę na poziomie Grupy Wyszehradzkiej, teraz jest ona o wiele słabsza" – zapewniał polski premier podczas posiedzenia Atlantic Council w kwietniu 2023 r. Dziś o wywołanym przez siebie konflikcie z Węgrami zdążył już biedaczysko zapomnieć. W rozmowie z amerykańskim ambasadorem przedstawia Morawiecki „wizje" następujące: „Kiedy połączymy nasze wizje świata, kiedy połączymy, zharmonizujemy naszą politykę bezpieczeństwa w tym obszarze Międzymorza, będziemy jeszcze bezpieczniejsi niż dzisiaj. I będziemy mogli być takim bastionem, barbakanem bezpieczeństwa w środkowej i wschodniej Europie. I tak wierzę, panie ambasadorze, że to leży w interesie Stanów Zjednoczonych, ponieważ oznacza to, że Rosja, która jest junior partnerem Chin, może być trzymana w szachu, może być powstrzymywana od prowadzenia agresywnej polityki. I właśnie dlatego Stany Zjednoczone będą w stanie uwolnić część swoich zasobów i skupić się na regionie Indo-Pacyfiku. Ja w ten sposób widzę krajobraz geopolityczny". Polska jako „barbakan" trzymający w szachu atomowe mocarstwo, podczas gdy USA „skupiają się na rejonie Indo-Pacyfiku"? Sam Donald Trump lepiej by swoich planów nie wyraził.

ZDERZENIE SŁUŻALCZOŚCI Z GODNOŚCIĄ

Skoro były polski premier wprost wychodzi ze skóry, by znaleźć u ambasadora Rose'a uznanie i wsparcie, to jak mają się zachowywać inni politycy PiS? Była minister kultury i dziedzictwa narodowego w ostatnim rządzie Mateusza Morawieckiego, poseł PiS Dominika Chorosińska, zasugerowała na Facebooku, że polityka amerykańska realizuje w Ameryce Południowej Boże plany. „To, co dziś widzimy, jest owocem tego, że wierzący w Wenezueli uniżyli się, modlili i wołali do Boga – i dokładnie tak, jak mówi Pismo: »Jeśli mój lud, który jest nazwany moim imieniem, ukorzy się i będzie się modlił, wysłucham go z nieba i uzdrowię jego ziemię« (2 Krn 7, 14). Dla wielu to znak, że Wenezuela zaczyna nowy rozdział". Godna następczyni ministra Piotra Glińskiego nie wspomniała niestety, jak fatalnymi rezultatami zakończyły się podobne „Boże interwencje" w Iraku, Libii, Syrii, Wietnamie, na Haiti i w Somalii.

Sądzi ona zapewne, że w wypadku modlitw „niewiernych" Pan nie musi uzdrawiać ich ziemi, wystarczy, jeśli sprywatyzuje jej bogactwa i przekaże je amerykańskim korporacjom i miliarderom naftowym.

Płaszczenie się polityków PiS przed naszym amerykańskim sojusznikiem wydaje się efektem swoistego instynktu służalstwa, zaszczepionego im podczas karier w typowej partii wodzowskiej. Niestety, jest ono także sprzeczne z fundamentalnymi obyczajami amerykańskiej polityki. To, że aktualnie rządzący prezydent USA, ze względów charakterologicznych, lubuje się w pochlebcach, nie oznacza tym samym, że inni Amerykanie darzą bezrefleksyjnych służalców szacunkiem.

U korzeni amerykańskiej republiki leżą wartości przeciwne. Sam George Washington, nazywany Ojcem Narodu, pouczał swoich współczesnych: „Niech nasza dyplomacja kieruje się godnością, nie służalczością wobec obcych dworów". Podobną odrazę do pochlebstw wykazywali najwięksi amerykańscy prezydenci – twórcy amerykańskiej konstytucji. „Amerykanie wnoszą republikańską prostotę na dwory królów" – głosił Thomas Jefferson. Wybitny myśliciel polityczny John Adams pouczał dyplomatów: „Na obcych dworach musimy zachować godność wolnego narodu i nigdy nie kłaniać się tam, gdzie nie odpowiadają nam równym ukłonem", a Alexander Hamilton stwierdzał: „Szacunek nie polega na uginaniu kolan, ale na zachowaniu niezależności naszych rad".

Upodobanie do upokarzających hołdów, składanych potężnemu sojusznikowi, leży raczej w tradycji orientalnego despotyzmu, którą politycy PiS, oficjalnie przynajmniej, odrzucają. To w tradycji mongolskich i chińskich dworów leżało oczekiwanie od podległych im królów – trybutariuszy oświadczeń w rodzaju: „Ja, Twój wierny poddany, raz po raz biję głową o ziemię i stukrotnie kłaniając się nisko, ośmielam się złożyć ten list". Sojuszniczy władca mniejszego kraju pisał do cesarza z dynastii Ming: „Wasz nędzny poddany, żyjący w dzikim kraju, na skraju mórz, pokornie prosi o łaskę. Nie mamy wielkich zasobów ani wojska. Wszystko, co przynależy do naszego kraju, oddajemy pod ochronę i władzę Waszej Cesarskiej Mości, aby móc dalej istnieć i cieszyć się waszą dobrocią".

Dzielące nas od tamtych czasów stulecia zmieniły wprawdzie słownictwo dyplomatycznych deklaracji, jednak specyficzny styl korporacyjnego karierowicza, w jakim uprawia politykę międzynarodową Mateusz Morawiecki, zdecydowanie przywodzi na myśl obyczaje panujące wśród lenników Państwa Środka.

Zachowanie takie nie tylko budzić może odrazę wśród co rozsądniejszych amerykańskich przywódców, lecz także wydaje się zupełnie nieskuteczne. Wskazuje na to choćby prowadzona z sukcesami polityka Viktora Orbána. Ostro walczy on o interesy swojego kraju, wielokrotnie „stając okoniem" wobec amerykańskich i unijnych nacisków. Nawet rozmiłowany w składanych sobie hołdach Donald Trump obdarza go jednak demonstrowanym wielokrotnie szacunkiem, na który nie mógł niestety liczyć żaden z polskich czołobitnych potakiwaczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Pokaz siły hegemona

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Warzecha

Polska elita w sprawie Wenezueli pozostaje niezdolna do wyciągnięcia wniosku, który dla realistów nie jest żadnym odkryciem: światem relacji międzynarodowych rządzi naga siła, a hegemon, któremu całkowicie podporządkowaliśmy nasze bezpieczeństwo, używa jej bezwzględnie wyłącznie dla obrony własnego interesu

Ameryka tą operacją udowodniła, że ma zdolności dużo większe do oddziaływania w polityce bezpieczeństwa niż jakiekolwiek inne państwo. W tym sensie, jako nasz sojusznik w NATO, państwo, które rozlokowało 10 tys. swoich żołnierzy [na terytorium Polski] udowadnia, że na dobrego konia stawiamy – bo jest to koń, który jest w stanie realizować politykę twardą, gdy uzna, że jest to w jego interesie". W ten sposób szef prezydenckiego Biura Polityki Zagranicznej Marcin Przydacz skomentował agresję USA na Wenezuelę. W tej wypowiedzi charakterystyczne jest przyjęcie jako w zasadzie dogmatu, że ów amerykański interes w tym wypadku, ale też w ogóle, jest tożsamy z polskim. Co jest założeniem błędnym.

Jeśli szukać jasnego świadectwa tego, że porządek międzynarodowy, który ukształtował się po 1989 r., ostatecznie się skończył, to amerykański atak na Wenezuelę, zakończony uprowadzeniem prezydenta Nicolása Maduro, byłby najbardziej wymownym z nich. Jednak bynajmniej nie pierwszym. Niestety, obserwując polskie reakcje na ten fakt, trzeba uznać, że polska elita w większości jest immanentnie niezdolna do intelektualnego poradzenia sobie z nowymi okolicznościami.

W naszym kraju panuje mentalność służalcza, czasem niezbyt szczęśliwie określana jako postkolonialna. Oznacza ona, że większość przedstawicieli elity ma swojego zagranicznego patrona czy suwerena. Strona, umownie mówiąc, koalicyjna za takiego uważa „Europę" – najważniejsze stolice, które na razie pozostają niezmiennie w głównym nurcie (choć może się to zmienić choćby po kolejnych wyborach prezydenckich we Francji, najbardziej eurosceptycznym z krajów UE według sondażu magazynu „Le Grand Continent"), czy organy Unii Europejskiej, przede wszystkim Komisję Europejską. Strona PiS-owska z kolei niezmiennie wpatrzona jest w Waszyngton z takim samym bezkrytycznym uwielbieniem i uzależnieniem, jak Ignacy Rzecki wpatrzony był we własne złudzenie o Napoleonie Bonapartem. Pan Przydacz zalicza się do tej drugiej grupy.

PRAWO SILNIEJSZEGO

Oba te obozy są w kłopocie w związku z poczynaniami obecnej amerykańskiej administracji. Pierwszy z nich idealizuje prawo międzynarodowe i to stamtąd odzywają się głosy – pojawiające się również za granicą – że Amerykanie stworzyli precedens, otwarcie lekceważąc i łamiąc prawo międzynarodowe. To oczywiście nieprawda. O żadnym precedensie nie ma mowy, choć forma działania może iść o krok dalej niż kiedykolwiek w czasach najnowszych. Prawo międzynarodowe w zasadzie zawsze, a na pewno w czasach współczesnych, było instrumentem służącym silniejszym i zwycięzcom. Niedawno na ekrany polskich kin wszedł film „Norymberga" Jamesa Vanderbilta. Bardzo lekko, ale jednak jest tam zaznaczone, że proces nazistowskich zbrodniarzy był pozbawiony podstaw prawnych, choć starano się takie naprędce pozornie stworzyć. Owszem, 8 sierpnia 1945 r. Europejska Komisja Doradcza (utworzona przez USA, Wielką Brytanię i Związek Sowiecki w 1943 r.) wydała Kartę Norymberską, ustanawiającą zasady, na jakich mieli

eprasa.pl 6f6219898c

zostać osądzeni przywódcy III Rzeszy. Jednak karta nie istniała w czasie wojny i nie ustanawiała zasad jej prowadzenia, a konwencje, które łamali Niemcy, były – jak całe prawo międzynarodowe – przykładami lex imperfecta, a więc prawa, za którego złamanie nie ma sankcji. Nie istnieje bowiem żadna nadrzędna instancja, dysponująca niezależnym aparatem przymusu, która mogłaby wymusić przestrzeganie prawa międzynarodowego oraz karać za jego złamanie. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, rozstrzygający spory pomiędzy państwami – organ ONZ – a także Międzynarodowy Trybunał Karny, działający na podstawie statutów rzymskich, obejmują swoją jurysdykcją jedynie te państwa, które się na to same zgodzą, i tylko w takim zakresie, w jakim to uczynią. Pamiętajmy także, że na ławie prokuratorskiej w Norymberdze zasiadał ze strony sowieckiej Roman Rudenko, czołowy przedstawiciel sowieckiego bezprawia, oskarżyciel w pokazowym procesie szesnastu. Czy może być lepszy dowód na prawdziwość stwierdzenia, że prawo międzynarodowe służy silniejszym i zwycięzcom?

Prawdą jest, że USA złamały prawo międzynarodowe w sprawie Wenezueli. Przede wszystkim mowa o art. 2 Karty NZ, który mówi:

„Wszyscy członkowie załatwiać będą swe spory międzynarodowe środkami pokojowymi w taki sposób, aby nie dopuścić do zagrożenia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa oraz sprawiedliwości. Wszyscy członkowie powstrzymają się w swych stosunkach międzynarodowych od groźby użycia siły lub użycia jej przeciwko integralności terytorialnej lub niezawisłości politycznej któregokolwiek państwa bądź w jakikolwiek inny sposób niezgodny z celami Organizacji Narodów Zjednoczonych".

„Współczesne prawo międzynarodowe nakazuje rozwiązywanie sporów wyłącznie środkami pokojowymi. Nakaz ten jest kategoryczny i nie dopuszcza żadnych wyjątków" – czytamy w „Podręczniku prawa międzynarodowego" Lecha Antonowicza, jednym z podstawowych polskich źródeł wiedzy z tej dziedziny. Nie ma zatem żadnego znaczenia, jaki jest wewnętrzny ustrój danego państwa lub czy dany lider jest uważany za wybranego demokratycznie czy nie. W tej kwestii mylił się w tekście opublikowanym na portalu DoRzeczy.pl Mariusz Muszyński, były wiceprezes TK. Muszyński pisał:

„W tak interpretowanej rzeczywistości stworzonej Kartą ONZ świat funkcjonował 50 lat. A wojny i konflikty zbrojne toczyły się niezależnie od prawa. Jednak lata 90. XX w. w pakiecie istotnych przemian politycznych przyniosły nam pewne zmiany także w tym zakresie. Właśnie wtedy zaczęło rosnąć znaczenie dwóch nowych koncepcji umożliwiających stosowanie siły.

Pierwsza z nich to tzw. interwencja w obronie demokracji. Chodzi tu o przypadki przywracania do władzy legalnie wybranego rządu. Bo choć zgodnie z orzecznictwem MTS (opinia doradcza w sprawie Namibii, 1971), wybór ustroju państwa jest kwestią należącą do państwowych kompetencji wewnętrznych, to jednak od końca XX w. ranga demokracji w prawie międzynarodowym na tyle urosła, że zaczęła przełamywać tę zasadę. Dziś państwowość opiera się na legitymacji demokratycznej władzy. Odchodzi do lamusa koncepcja uznawania rządu sprawującego władzę de facto".

To po prostu nieprawda. Jest multum przykładów pokazujących, że legitymacja demokratyczna nie ma znaczenia. USA utrzymują bliskie relacje z państwami takimi jak Arabia Saudyjska, której nie sposób nazwać demokracją. Nie mówiąc już o Chińskiej Republice Ludowej. Brak demokratycznej legitymacji może być najwyżej naciąganym pretekstem do interwencji, faktycznie motywowanej twardym interesem. Na pewno zaś jej nie uzasadnia – o ile nie ma ona międzynarodowego mandatu – w świetle prawa międzynarodowego.

NOWY PRETEKST DLA ROSJI

Tyle teoria. Praktyka jest inna. Prawo międzynarodowe było wielokrotnie łamane po 1989 r., a Polska sama brała w tym udział, o czym wiele osób nie chce dzisiaj pamiętać. Druga wojna w Zatoce Perskiej, czyli uderzenie sprzymierzonych na Irak w 2003 r., była typowym przykładem wojny napastniczej prowadzonej bez mandatu międzynarodowego, w dodatku pod kłamliwym pretekstem. Twierdzenia CIA o rzekomej obecności broni masowego rażenia w Iraku, ogłaszane przed uderzeniem przez ówczesnego sekretarza stanu Colina Powella w ONZ, okazały się całkowicie fałszywe. Polska była częścią tej operacji po stronie agresorów. Osoby, które pochwalają ten fakt, powinny w zasadzie być na podstawie polskiego prawa karane w związku z art. 117 Kodeksu karnego, penalizującym pochwalanie wojny napastniczej. Jak dotąd jednak prokuratura zabierała się wyłącznie za tych, którzy pochwalali rosyjską agresję na Ukrainę – i działo się to w czasach rządów PiS.

Innym przykładem jest uderzenie NATO na Serbię w 1999 r., czyli operacja „Allied Force". Także ten atak nie miał międzynarodowego mandatu. Nie ma przy tym znaczenia, z jakich powodów był prowadzony – pretekstem dla administracji Billa Clintona były wtedy rzekome prześladowania albańskiej mniejszości w Kosowie, jak się potem okazało, w dużej części inscenizowane

eprasa.pl 6f6219898c

przez samych Albańczyków. Ci osiągnęli swój cel, doprowadzając do oderwania pod przymusem Kosowa od Serbii i utworzenia mafijnego pseudopaństewka. Ten precedens zmiany granic siłą i wbrew woli obywateli danego państwa jest nie bez powodu bardzo często przywoływany przez Rosję dla uzasadnienia jej działań.

Teraz Rosja uzyskała nowy pretekst w postaci amerykańskiej agresji na Wenezuelę. I to z kolei umyka drugiemu, protrumpowskiemu obozowi. W tym bowiem przypadku prawo międzynarodowe zostało złamane wręcz ostentacyjnie, a przedstawiciele waszyngtońskiej administracji jasno stwierdzili, że ich ono po prostu nie obchodzi. Sytuacja, w której prezydent jednego kraju zostaje uprowadzony i postawiony przed sądem innego kraju, oskarżony o pospolite przestępstwa, nie mieści się w żadnych kategoriach prawnych. Można to wręcz odczytać jako perwersyjnie demonstracyjne złamanie immunitetu, który bezwzględnie przysługuje głowom państw w relacjach z innymi państwami.

Osobom z obozu fanów Donalda Trumpa umyka jeszcze kilka innych spraw. Pierwsza to uzasadnienie agresji na Wenezuelę. W polskich protrumpowskich mediach nadal – wbrew faktom – przekonuje się, że chodziło o zakończenie faktycznie wyniszczających dla Wenezueli rządów fanatycznego komunisty, które razem z rządami nie mniej fanatycznego Hugona Cháveza trwały 26 lat, oraz o przyniesienie Wenezuelczykom wolności. Ta narracja sypie się w konfrontacji z wypowiedziami samego Trumpa, który jasno postawił sprawę: chodzi o ropę. Wiadomo już, że symboliczny pistolet przystawiony do głowy tymczasowej prezydent Delcy Rodríguez zadziałał i nie będzie żadnej demokratyzacji, ale przejęcie przez Amerykanów kontroli nad wenezuelskimi zasobami ropy, największymi na świecie. To jedyny cel, wbrew zapewnieniom sekretarza stanu Marca Rubia. Reżim zostaje, ropę będą wydobywać firmy z USA. Los Wenezuelczyków obchodzi Donalda Trumpa tyle, co zeszłoroczny śnieg – co zresztą nie powinno być powodem do oburzenia. Taka jest po prostu twarda polityka międzynarodowa.

Stanowisko polskich trumpofilów, odbijające się w cytowanej na początku wypowiedzi ministra Przydacza, nie uwzględnia także kontekstu nowej strategii bezpieczeństwa (NSS) USA. Trumpofile błędnie zakładają, że selektywna sprawczość militarna Waszyngtonu może zostać ewentualnie wykorzystana także dla ochrony Polski. Zapominają, że Wenezuela leży na półkuli zachodniej, która w NSS została wymieniona na pierwszym miejscu z wyraźnym zaznaczeniem, że Stany Zjednoczone powracają do doktryny Monroego. Mowa o strategii, którą ogłosił w Kongresie w 1823 r. piąty prezydent USA James Monroe. Zgodnie z NSS USA uznają zachodnią hemisferę za swoją domenę i będą zdecydowanie przeciwdziałać próbom rozciągania na nią wpływów „obcych sił", czyli przede wszystkim Chin, ale również Rosji. Zatem atak na Caracas mieści się w tej polityce.

Warto jednak, aby pan Przydacz zerknął do NSS dwa rozdziały dalej, do tego poświęconego Europie, której oczywiście doktryna „Donroe" (czyli Monroego z dodatkiem Trumpa) już nie obejmuje. Z faktu, że USA postanowiły zrobić demonstrację siły i sprawczości w tej części świata, którą uznają za swoją domenę, nijak nie wynika, że identycznie zachowałyby się w obronie któregokolwiek ze swoich europejskich sojuszników. Ba, wnioski mogą być nawet przeciwne. Przeciwnicy Ameryki mogą uznać, że jest to wręcz zachęta, aby zadziałać na podobnej zasadzie w swoich sferach wpływów – wszak NSS otwarcie mówi o tym, że takie istnieją. Co więcej, gdyby zachodziła potrzeba reakcji ze strony Chin czy Rosji – ta ostatnia obchodzi nas oczywiście bardziej – to najprędzej dosięgnie ona nie suwerena, ale jego bliskich geograficznie wasali. Czyli choćby Polski.

POLSKA – WYMARZONY CEL

Jeśli ktoś cieszy się, twierdząc, że uderzenie USA na Wenezuelę „osłabia ruskich" (wiele takich wpisów pojawiło się w mediach społecznościowych), to patrzy skrajnie powierzchownie. To bowiem przede wszystkim sygnał „wolnoć Tomku w swoim domku". Uderzenie w interesy Globalnego Południa na zachodniej półkuli zachęca jego głównych przedstawicieli do ich bardziej ekspansywnej ochrony w ich obszarach wpływów.

Owszem, na naszą korzyść może zadziałać fakt, że przynajmniej chwilowo ceny ropy na światowych rynkach spadły za sprawą amerykańskiej akcji, ale to korzyść uboczna i ulotna. Nie ma strategicznego znaczenia.

Polska elita w sprawie Wenezueli pozostaje niezdolna do wyciągnięcia wniosku, który dla realistów nie jest żadnym odkryciem: światem relacji międzynarodowych rządzi naga siła, a hegemon, któremu całkowicie podporządkowaliśmy nasze bezpieczeństwo, używa jej bezwzględnie, wyłącznie dla obrony własnego interesu, w dodatku rozumianego węziej niż szerzej (znów: patrz NSS). W tej sytuacji Polska, ze swoją obsesyjnie wręcz rusofobiczną linią i brakiem przygotowania na nowe uporządkowanie relacji po zakończeniu działań na Ukrainie, jest łatwym i wymarzonym celem.

Przed ostatecznym wyzwaniem klasa polityczna stanęłaby jednak, gdyby Waszyngton metodą faktów dokonanych spróbował przejąć kontrolę nad Grenlandią. Oznaczałoby to bowiem ostry konflikt pomiędzy dwoma członkami NATO. Nie jest to sprawa całkiem bezprecedensowa – patrz: historycznie napięte relacje grecko-tureckie na tle sporu o Cypr – jednak w tym przypadku mówilibyśmy o państwie będącym filarem sojuszu. Jeśli taki konflikt przełożyć na prymitywne schematy polskiego życia politycznego, nietrudno się domyślić, jak by on wyglądał. Po jednej stronie mielibyśmy partię brnących w wyparcie trumpofilów, przekonujących, że Kopenhaga traktowała Grenlandię po macoszemu, premier Danii Mette Fredriksen to wstrętna socjalistka, a Trump przynosi na wyspę wolność i pomyślność. Po drugiej stałby obóz demonizujący amerykańskiego prezydenta i zachłystujący się bezproduktywnym oburzeniem na jego działania.

Oburzenie w stosunkach międzynarodowych nikomu jeszcze nigdy nic nie przyniosło. Coraz bardziej widać, że Polska powinna jak najpilniej zadbać o stworzenie sobie podstaw do manewrowania w warunkach wzburzonego morza. To powinno oznaczać naśladowanie metody prowadzenia polityki zagranicznej na wzór Budapesztu, a nie bezkrytyczną wiarę w skupionego – co normalne – na własnym interesie hegemona.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Demografia na SOR

Bogdan Chazan

Całkowicie nie zgadzam się z tym, że proponowane przez Ministerstwo Zdrowia rozwiązanie dotyczące porodów na SOR „przyczyni się do poprawy bezpieczeństwa zdrowotnego kobiet w ciąży, kobiet rodzących, kobiet w połogu oraz noworodków". Przeciwnie – może je drastycznie pogorszyć, także w odniesieniu do dzieci nienarodzonych

W Polsce rodzi się coraz mniej dzieci. Przyczyny tego stanu rzeczy są złożone. Brakuje mieszkań dla młodych małżeństw, są trudności z uzyskaniem miejsca dla dziecka w żłobku lub przedszkolu. Jednak z pewnością do najważniejszych przyczyn katastrofy demograficznej należą te, które dotyczą systemów wartości młodych ludzi, ich stylu życia, który nie sprzyja zawieraniu znajomości (smartfony), nierównego poziomu wykształcenia młodych mężczyzn i kobiet, malejącej liczby zawieranych małżeństw („małżeńskość" często poprzedza rodność) czy wreszcie – chęci prowadzenia wygodnego życia, w którym wartość dóbr materialnych i komfortu jest większa niż wartość dziecka.

Jestem zdania, że do rodzenia dzieci może zachęcać dostępność bezpłatnej, na dobrym poziomie, bliskiej miejsca zamieszkania opieki podczas ciąży, warunki, w których odbywają się porody w najbliższym szpitalu. Dla rodziców bardzo ważne są atmosfera tam panująca, intymność narodzin dziecka, dostępność porodów z udziałem ojca dziecka, wyposażenie szpitala, kompetencje i życzliwość personelu medycznego. W warunkach zapaści demograficznej, perspektywy anihilacji systemów emerytalnych, kurczenia się narodu i państwa w odleglejszej perspektywie należałoby się spodziewać, że zrobimy wszystko, co możliwe, aby zachęcać młodych obywateli do rodzenia dzieci, również przez zapewnienie bezpiecznej, dostępnej, przyjaznej, bezpłatnej opieki medycznej podczas ciąży, porodu i połogu.

TRUDNE DECYZJE

Co się dzieje zamiast tego? Ministerstwo Zdrowia przedstawia do publicznej konsultacji projekt rozporządzenia, w którym można przeczytać, że w odpowiedzi na zmniejszającą się liczbę porodów w kraju – co może prowadzić do zamykania oddziałów położniczych oraz dla wyrównywania dostępu do świadczeń opieki zdrowotnej w Rzeczypospolitej Polskiej – wprowadza się nowe regulacje „mające na celu zwiększanie dostępu do świadczeń opieki zdrowotnej z zakresu położnictwa w szpitalach, gdzie odległość do najbliższego świadczeniodawcy realizującego świadczenia z zakresu położnictwa i ginekologii w trybie hospitalizacji wynosi ponad 25 kilometrów". W szpitalach, w których zlikwidowano by oddział położniczy, a w których są dostępne izba przyjęć lub szpitalny oddział ratunkowy (SOR) oraz całodobowy dostęp do środka transportu z odpowiednim wyposażeniem i personelem, ma być dostępna „opieka nad kobietą w ciąży lub kobietą rodzącą realizowana przez położną".

Tłumacząc na język polski, proponowana zmiana polegać będzie na tym, że w szpitalach, w których zlikwidowane będzie położnictwo, a odległość do najbliższego jeszcze czynnego szpitala położniczego jest większa niż 25 km, w SOR lub w izbie przyjęć będzie dyżurowała położna, która w razie potrzeby udzieli pomocy matce podczas ciąży, porodu lub połogu, odbierze poród lub zorganizuje transport do najbliższego czynnego szpitala.

Wróćmy na chwilę do zamierzonego zamykania oddziałów położniczych szpitali, prawdopodobnie powiatowych, gdzie obecnie liczba porodów jest bardzo mała. Jest zrozumiałe, że ludzie mieszkający w mieście, gdzie jest powiatowy szpital, lub w jego okolicy przyzwyczaili się do tego, że porodówka jest na miejscu i nadal chcieliby mieć „pod ręką" szpital z salą porodową. Lekarze i położne oraz zatrudnieni na innych stanowiskach przez szpital mieszkańcy powiatu chcieliby mieć stabilne zatrudnienie, a starosta powiatu – satysfakcję, że ma szpital na swoim terenie i argumenty w najbliższych wyborach samorządowych. Jednak w sytuacji, kiedy w szpitalu jest bardzo mało porodów, dochody z NFZ nie pokrywają wydatków na płace licznego personelu medycznego, lekarzy, położnych, diagnostów laboratoryjnych, pracowników obsługi, ekonomiczne uzasadnienie obecności oddziału położniczego w strukturze szpitala jest trudne. Ale są także inne argumenty przeciwko utrzymywaniu sal porodowych, na których odbywa się jeden poród co kilka dni. Ciężkie powikłania porodu, ciężki stan

eprasa.pl 6f6219898c

FOT. ADOBESTOCK

zdrowia noworodka będą zdarzać się bardzo rzadko i personel medyczny utraci swoją wiedzę, umiejętności radzenia sobie w przypadkach ciężkich, rzadkich powikłań, będzie miał trudności w utrzymaniu na stałym, wysokim poziomie swojej gotowości do efektywnego, szybkiego postępowania leczniczego w razie potrzeby, zabezpieczeniu drożnych ścieżek współpracy zespołu lekarzy, położnych, diagnostów laboratoryjnych, służby zaopatrzenia w krew. Ten stan rzeczy może uderzać w bezpieczeństwo kobiet rodzących i ich dzieci. Decyzja o likwidacji oddziału położniczego powinna być podejmowana bardzo ostrożnie, trzeba brać pod uwagę – oprócz odległości do innych szpitali położniczych, które pozostaną czynne – także ukształtowanie terenu, stan dróg, warunki klimatyczne. Trzeba pamiętać, że stosunkowo łatwo coś zlikwidować, później dużo trudniej w razie potrzeby odbudować.

W rozporządzeniu nie mówi się, że kobiety, które mają daleko do czynnego szpitala, mają rodzić na SOR lub izbie przyjęć szpitala. Opcja rodzenia w tych miejscach dotyczyć ma, jak rozumiem, przypadków nieprzewidzianych, nagłych, kiedy poród jest w toku i chodzi o to, by nie odbył się w domu lub w karetce w drodze do szpitala. Całodobowo utrzymywana karetka nie będzie transportowała kobiet do porodu na SOR, ale do szpitala z czynną salą porodową, będzie również odwoziła do tego szpitala matki i noworodki po porodach odbytych na SOR. W sytuacji poważnych powikłań dotyczących matki i/lub noworodka transport będzie się odbywał nie tą karetką, ale innym, wyspecjalizowanym środkiem transportu (np. karetką „N" lub lotniczym transportem sanitarnym).

NIEZROZUMIENIE POTRZEB

Jak oceniam te zmiany? Mogę zrozumieć, z przyczyn, o których wspomniałem wcześniej, brak uzasadnienia dla dalszego funkcjonowania sal porodowych, w których liczba porodów jest minimalna. Jednak propozycję zmian podaną w rozporządzeniu oceniam negatywnie.

Proponowane rozwiązania idą w bardzo złym kierunku. Autorzy rozporządzenia traktują swój pomysł porodów na SOR jako „przyczyniający się do poprawy bezpieczeństwa zdrowotnego kobiet w ciąży, kobiet rodzących, kobiet w połogu i noworodków". Sposób rozwiązania sytuacji, który proponują, przyniesie pogorszenie tego bezpieczeństwa, może zniechęcić małżeństwa do powiększenia rodziny. Jak ognia unikają słowa „matka" wobec kobiety w ciąży lub rodzącej.

Trudno wyobrazić sobie bezpieczny i satysfakcjonujący poród w warunkach zatłoczonego zwykle SOR, gdzie są pacjenci obu płci, niektórzy w ciężkim stanie, czasem głośno się zachowujący, są obecne dzieci z różnymi infekcjami. Trudno w tych warunkach mówić o bezpieczeństwie dla matki, dla noworodka. Nie ma warunków do odbycia spokojnego, satysfakcjonującego porodu rodzinnego, dla pełnego bezpieczeństwa matki i dziecka. Obecność jednej tylko położnej nie zapewni przeprowadzenia skutecznej pomocy medycznej w przypadkach nagle pojawiających się powikłań porodu, które zawsze mogą się wydarzyć. Nie ma w izbie przyjęć lub SOR warunków do wykonania pilnego cięcia cesarskiego czy innej operacji ratującej życie. Poród gładko przebiegający może nagle zmienić się na wymagający, z czym położna sobie nie poradzi, lub wymagający wykonania cięcia cesarskiego, do którego wykonania nie zapewniono koniecznych, bezpiecznych warunków. Wśród potrzebnego sprzętu i aparatury medycznej nie wymieniono aparatu ultrasonograficznego, niezbędnego przy powikłaniach porodu, nie ma łóżeczka dla noworodka, w którym można byłoby go po porodzie ułożyć, ani łóżka dla matki po porodzie. Nie ma inkubatora stacjonarnego dla noworodka, jest tylko transportowy.

Nie ma mowy, by w tych warunkach rozpocząć tak ważne dla zdrowia zarówno matki, jak i dziecka karmienie piersią. Matka i dziecko mają po porodzie być przewiezione do odległego szpitala, by tam spędzić jeden dzień lub dwa, a następnie odbyć uciążliwą podróż z powrotem po kilku dniach, przed wypisaniem do domu.

W Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie, w którym wiele lat pracowałem, również jako kierownik Kliniki Położnictwa i Ginekologii, wprowadzałem porody rodzinne, zajęliśmy drugie miejsce w kraju jako szpital przyjazny dziecku. W Szpitalu im. św. Rodziny w Warszawie, którego przez lata byłem dyrektorem, zabiegałem o dobro i komfort, także o godność matek i ich rodzin, utworzyłem oddział porodów domowych z trzema mieszkaniami, gdzie rodzina mogła zamieszkać na czas przed porodem, pod-

eprasa.pl 6f6219898c

czas porodu i po porodzie. Z powodzeniem promowaliśmy naturalne karmienie, zakładany był bank mleka kobiecego. Dzisiejszy wiceminister zdrowia, mój następca w Instytucie Matki i Dziecka, wydaje się nie rozumieć medycznych, socjologicznych i psychologicznych potrzeb matek i ich rodzin, skoro twierdzi w mediach, że SOR jest odpowiednim miejscem do odbycia porodu.

Podczas każdego porodu – w domu, w szpitalu czy na SOR lub tuż po porodzie – mogą wystąpić nagłe powikłania dotyczące matki, dziecka czy obojga, które mogą wymagać transportu. W warunkach porodu na SOR potrzeba pilnego transportu matki będzie występowała stosunkowo często.

Zażenowanie budzą treść i język rozporządzenia. Widać, że przygotowano je naprędce. W opisie organizacji udzielania świadczeń podano, że „położna dokonuje oceny stanu klinicznego kobiety w ciąży lub kobiety rodzącej". Zapomniano dodać, że powinna też ocenić stan dziecka czy – mówiąc językiem medycznym – płodu (punkt 2a rozporządzenia). Może nie należy się temu bardzo dziwić. Przecież władzę w Polsce sprawuje obecnie lewica, a zdaniem zwolenników jej narracji nienarodzone dziecko stanowi część ciała matki… To przeoczenie nie jest przypadkowe, ponieważ w nieco bałamutnym uzasadnieniu przyjętego pomysłu porodów na SOR napisano, że przyczyni się on do „zwiększenia roli położnych jako samodzielnych profesjonalistów medycznych w zakresie oceny stanu klinicznego kobiety w ciąży, kobiety rodzącej oraz kobiety w połogu". O tym, że położna powinna być profesjonalistą również w zakresie oceny stanu dziecka, znowu nie wspomniano. Słowo „matka" jest oczywiście nieobecne. W innej części (6) tego rozporządzenia napisano, że świadczeniodawca zapewnia przyjęcie porodu w przypadku „braku możliwości przekazania kobiety rodzącej, wynikającego z etapu zaawansowania porodu". Można byłoby wymienić jeszcze kilka możliwych ważnych powodów takiej decyzji, m.in. zagrożenie stanu płodu.

ZESPÓŁ OPIEKI POŁOŻNICZEJ

Moja propozycja, którą przedstawiam poniżej, wydatnie zmniejszy częstość konieczności takiego ryzykownego transportu, poprawi bezpieczeństwo matek i dzieci, zapewni w razie konieczności odbycia porodu na miejscu jego godne warunki. Jeżeli zlikwidowanie oddziału położniczego w szpitalu powiatowym jest uzasadnione, to w celu zabezpieczenia potrzeb zdrowotnych matek, ich nienarodzonych dzieci i noworodków należałoby utworzyć na bazie kilku pomieszczeń likwidowanego oddziału położniczego organizację, którą roboczo nazwałem „Zespołem Opieki Położniczej". Jej pomieszczenia powinny składać się z: poczekalni, gabinetu do badania pacjentek, sali porodowej, dwóch sal pacjentek z możliwością pobytu matki z noworodkiem i pokoju personelu. Można do tego celu wykorzystać izbę przyjęć zlikwidowanego oddziału położniczego. W bloku operacyjnym szpitala powinna być możliwość wykonania pilnego cięcia cesarskiego. Do wyposażenia zespołu oprócz podanego w rozporządzeniu należy dodać aparat USG, cztery łóżka szpitalne, cztery łóżeczka dla noworodka, zestaw narzędzi do cięcia cesarskiego w bloku operacyjnym szpitala. Do całodobowej dyspozycji zespołu powinien być transport sanitarny z wykwalifikowanym personelem medycznym, dostosowany do przewozu kobiety w ciąży, kobiety rodzącej lub będącej w połogu, wraz z noworodkiem. W razie potrzeby transport noworodka zostanie przeprowadzony przez zespół sanitarny „N" lub lotniczy zespół transportu sanitarnego. W zespole powinien być stale obecny personel medyczny: lekarz ginekolog-położnik oraz doświadczona położna.

W pomieszczeniach zespołu odbywać się będzie badanie kobiet w ciąży zgłaszających się na początku porodu lub z powodu innych nagle występujących problemów zdrowotnych. Będą tam się odbywać pilne porody fizjologiczne, rodzinne, kiedy transport rodzącej do szpitala będzie nieuzasadniony lub ze względów medycznych niemożliwy. Po porodzie matka z dzieckiem pozostaną w zespole do momentu wypisania do domu.

Jeżeli będą pilne wskazania do wykonania cięcia cesarskiego, to zostanie ono wykonane na bloku operacyjnym szpitala, a matka z dzieckiem, w przypadku braku powikłań, pozostaną w zespole do momentu wypisania do domu. W miejscowości, w której został zlikwidowany oddział położniczy, powinna być czynna Szkoła dla Matek przygotowująca rodziców do porodu. Jej zadaniem będzie również informowanie rodziców i całego społeczeństwa powiatu o istnieniu zespołu i jego przeznaczeniu.

Proponowany przeze mnie system pomocy położniczej w miejscowościach, gdzie zlikwidowano oddział położniczy, zapewni bezpieczeństwo zdrowotne w okresie okołoporodowym matkom i dzieciom w sytuacjach, kiedy transport do szpitala położniczego będzie ryzykowny, zapewni w razie potrzeby narodziny dziecka w bezpiecznych, godnych i przyjaznych warunkach.

Całkowicie nie zgadzam się z tym, że proponowane przez Ministerstwo Zdrowia rozwiązanie… „przyczyni się do poprawy bezpieczeństwa zdrowotnego kobiet w ciąży, kobiet rodzących, kobiet w połogu oraz noworodków". Przeciwnie – może je drastycznie pogorszyć, także w odniesieniu do dzieci nienarodzonych (płodów), o których znowu zapomniano wspomnieć w uzasadnieniu wydania rozporządzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem położnictwa i ginekologii, był członkiem Rządowej Rady Ludnościowej, wiceprezydentem Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Lekarzy Katolickich FEAMC, jest wiceprezesem Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, członkiem Rady MaterCare International – organizacji pomagającej matkom w Afryce.

eprasa.pl 6f6219898c

Filip Memches

Polska prawica zamiast strzelać z armaty do muchy, bo tym jest zajmowanie się działalnością jakiegoś niszowego ugrupowania komunistycznego, powinna skoncentrować się na niebezpieczeństwach, które niesie dla Polski „demokratyczna" lewica

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Antykomunizm anachroniczny

W listopadzie 2025 r. Karol Nawrocki złożył do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o uznanie działalności Komunistycznej Partii Polski za niezgodną z polską ustawą zasadniczą. TK inicjatywę prezydenta rozpatrzył pozytywnie.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że chodzi o decyzję oczywistą – delegalizację utworzonego w roku 2002 i działającego głównie na Śląsku ugrupowania, które nie tylko swoją nazwą odwoływało się do tego, czym w okresie międzywojennym była KPP. A przypomnijmy, że dawna Komunistyczna Partia Polski funkcjonowała jako agenturalna formacja, realizująca cele sowieckiej polityki zagranicznej. Rzecz jasna, w tym przypadku istotne znaczenie miał też czynnik ideologiczny: KPP dążyła do przeprowadzenia w II Rzeczypospolitej rewolucji, skutkującej zamontowaniem nad Wisłą systemu polityczno-gospodarczego, analogicznego do tego, który był w Związku Sowieckim, czyli totalitaryzmu. Tymczasem pochwalanie totalitarnych metod sprawowania władzy jest sprzeczne z konstytucją III RP.

Co zatem konkretnie wiadomo o nowej Komunistycznej Partii Polski? Została ona założona przez działaczy Związku Komunistów Polskich „Proletariat" – organizacji, która w roku 1990, a więc wraz z upadkiem realnego socjalizmu, wyłoniła się z „twardogłowego" nurtu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, aby po jej zniknięciu ze sceny politycznej – mimo przeciwności historycznych – kontynuować rewolucyjne dzieło. KPP, zachowując wierność podstawom marksizmu-leninizmu, chciała zawrócić bieg dziejów – opowiadała się za przejęciem władzy politycznej przez klasę robotniczą (cokolwiek to w XXI w. znaczy) i upaństwowieniem gospodarki. Co ciekawe, w sprawach międzynarodowych obrała kurs antyzachodni, występując przeciw członkostwu Polski w NATO i Unii Europejskiej. Jako pozytywne wzory wskazywała komunistyczne dyktatury w Związku Sowieckim i Korei Północnej – sławiła Józefa Stalina i Kim Dzong Ila. Wreszcie propagowała kłamstwo katyńskie, czyli raport Nikołaja Burdenki. Wedle tego sowieckiego dokumentu w Katyniu polskich oficerów zamordowali Niemcy.

GDZIE SIĘ USADOWIŁY „RUSKIE ONUCE"?

Znamienne, że Komunistyczna Partia Polski szybko znalazła swoich obrońców po lewicowo-liberalnej stronie polskiej debaty publicznej (spory o legalność składu sędziów Trybunału Konstytucyjnego, komplikujące delegalizacyjne formalności, odłóżmy na bok, bo nie tego dotyczy sprawa). Argumentowali oni, że prezydent wziął na celownik ugrupowanie marginalne (liczba członków organizacji chyba nigdy nie przekroczyła tysiąca), niemające żadnego znaczenia w polskiej polityce. W dodatku przecież nasuwa się myśl, że formacji tej nie można postawić zarzutów o faktyczne stosowanie przemocy.

W obronie KPP stanął m.in. portal Krytyka Polityczna. Warto na to zwrócić uwagę dlatego, że medium to uchodzi za środowisko lewicy radykalnej, a zarazem „nowej", bo „demokratycznej" i prozachodniej, czyli takiej, która deklaruje antystalinizm i generalnie odrzuca sowiecką wersję komunizmu.

Jeśli chodzi o obronę Komunistycznej Partii Polski, to szczególnie wymowny jest pełen ironicznych uwag tekst redaktora prowadzącego KP, Łukasza Łacheckiego. Wywód tego publicysty można streścić następująco: prawica postanowiła się rozprawić z niszowym ugrupowaniem, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo dla Polski – jako pas transmisyjny

eprasa.pl 6f6219898c

wpływów ze Wschodu – stanowi wygłaszający prorosyjskie poglądy Grzegorz Braun. Geopolitycznie rzecz ujmując, to on pełni tę funkcję, którą w międzywojniu pełniła KPP. Ale Braun to prawica, a nie lewica. Dlatego wiadomo, po której stronie polskiego spektrum politycznego usadowiły się „ruskie onuce". To z prawicą należy zrobić porządek – taką sugestię – podszytą przewrotnie patriotycznym uzasadnieniem (chronić Polskę przed wpływami Kremla, a przecież „demokratyczna" lewica szermuje kosmopolityzmem) – można wyczytać z tekstu Łacheckiego.

Ale publicysta przede wszystkim stawia tezę o tym, że komunizm jest w Polsce zjawiskiem całkowicie zmistyfikowanym i zakłamanym. Wynika to z tego, że zbiorowa pamięć obejmująca PRL to bajka o żelaznym wilku. Z tej przyczyny wielu Polaków nie dostrzega różnicy między ideologią komunistyczną a praktycznym wymiarem sprawowania władzy przez PZPR. Założenia komunizmu są przecież szlachetne: sprawiedliwość społeczna, równość, inkluzywność. Tyle że w państwach rządzonych przez komunistów nie udało się ich wdrożyć. Górę w nich wziął zamordyzm – choć ubrany w czerwony kostium, to w swojej istocie tak naprawdę prawicowy (przykładem może być stalinizm jako nowa forma dawnej carskiej tyranii).

Ta linia narracyjna „demokratycznej" lewicy jest powszechnie znana. Najważniejszy jej element stanowi odpowiednia obsada ról w historii świata. Przesłanie brzmi: wszelkie dobro pochodzi od lewicy, bo chce ona uszczęśliwiać ludzkość. A jeśli implementacja szczęścia skutkuje „błędami i wypaczeniami" (włącznie z masowymi, krwawymi ofiarami w ludziach), to mają one charakter wyłącznie prawicowy.

W jednej kwestii trzeba Łacheckiemu przyznać rację – praktyczne sprawowanie władzy jest czymś innym niż ideologia. Dlatego na PRL trzeba patrzeć wielowymiarowo, nie tylko pod kątem oficjalnej doktryny państwa, lecz także biorąc pod uwagę procesy polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturowe, które się jej wymykały. Należy też dostrzegać fakt, że reżim komunistyczny w Polsce ewoluował – od stalinowskiego totalitaryzmu do chylącego się ku upadkowi rozkładającego się autorytaryzmu lat 80. Niemniej w przypadku „demokratycznej" lewicy na postulat realistycznego podejścia do komunizmu cieniem kładą się próby wrabiania prawicy w ideologiczną odpowiedzialność za to, co obciąża czerwone reżimy.

Polska prawica wobec lewicowego niuansowania przeszłości bywa bezradna. Standardowo odpowiada po prostu antytotalitaryzmem, stawiając znak równości między komunizmem a niemieckim narodowym socjalizmem. Wiadomo zaś, że lewica „demokratyczna" traktuje nazizm inaczej niż komunizm – niczego w nim nie niuansuje i potępia go jako „skrajną prawicę".

W roku 2009 Sławomir Sierakowski – publicysta będący spirytus movens środowiska Krytyki Politycznej – opublikował w „Rzeczpospolitej" tekst, w którym stwierdził m.in.: „Nie sposób myśleć o nazizmie bez Holokaustu, ale można wyobrazić sobie komunizm bez gułagu. Idea komunistyczna wyrasta z jednoznacznie pozytywnych intencji".

Tyle że słowa te są bałamutne. Można na nie odrzec, że narodowy socjalizm także przechodził „romantyczny", w jakimś sensie niewinny etap. Tacy rozpoznawalni intelektualiści niemieccy, jak filozof Martin Heidegger czy prawnik Carl Schmitt, wyrażając w latach 30. poparcie dla Adolfa Hitlera, przypuszczalnie w największych swoich koszmarach nie wyobrażali sobie, że swoimi deklaracjami politycznymi współuczestniczą w torowaniu drogi do Auschwitz. Ponadto można dodać, że nazizm był u swoich źródeł głównie antykomunizmem. Brunatny antysemityzm lat 20. opierał się na doniesieniach (na ile prawdziwych – to już inna sprawa) o nadreprezentacji Żydów wśród siejących w Rosji czerwony terror czekistów. Oczywiście z upływem czasu lista oskarżeń pod adresem narodu żydowskiego znacząco rosła i daleko wykraczała poza antykomunizm, czego efektem był zbrodniczy Endlösung.

PREZYDENT WYSTAWIA SIĘ NA KPINY

Tymczasem polska prawica unika realistycznego podejścia do narodowego socjalizmu – żeby tylko uniknąć zarzutów o szukanie alibi dla III Rzeszy (choć przecież takie podejście nie oznaczałoby zaprzeczania temu, że państwo to okazało się podmiotem ludobójczym). Tym samym przyjmuje lewicowe warunki gry. Jak wiadomo, historię piszą zwycięzcy.

Tak więc za wnioskiem prezydenta Nawrockiego o delegalizację Komunistycznej Partii Polski stoi antytotalitaryzm. Ale mamy tu do czynienia ze stanowiskiem anachronicznym, które dla lewicowo-liberalnej strony polskiej debaty publicznej słusznie jest powodem do drwin. Polsce bowiem już dawno żaden komunizm (nazizm zresztą również) nie zagraża. Dlatego antytotalitaryzm polskiej prawicy można zdefiniować jako antykomunizm bez komunistów (skądinąd antyglobalistyczne wątki w programie KPP do pewnego stopnia korespondują z polskim prawicowym suwerenizmem).

Natomiast jeśli dziś jakaś lewica stanowi dla Polski zagrożenie, to jest to właśnie jej nurt „demokratyczny" – umocowany, co ma znaczenie, w polskich politycznych kręgach establishmentowych. Jego naczelną wartość polityczną stanowi emancypacja jednostki spętanej więziami naturalnych wspólnot – takich jak rodzina czy naród. Ów nurt prowadzi „hybrydową" wojnę domową z tą częścią społeczeństwa polskiego, która mniej lub bardziej trwa przy tradycyjnym systemie wartości moralnych. W imię nowoczesności i postępu dezawuuje Kościół katolicki – instytucję nie bez grzechów i przywar, którą trapią rozmaite kryzysy, niemniej będącą od ponad tysiąca lat sprawdzonym wychowawcą Polaków – przypisując jego moralnemu nauczaniu represyjny rygoryzm, porównywany do… komunistycznego (czyli „prawicowego") totalitaryzmu.

Rzecz jasna, lewica „demokratyczna" robi to przede wszystkim na miękko. Swoje przekazy dnia wtłacza do umysłów Polaków poprzez kulturę, nauki humanistyczne i społeczne, media. Ale w sytuacjach, które uzna za nadzwyczajne, nie stroni też od przemocy, a przynajmniej jest gotowa ją usprawiedliwiać. Tak było podczas „czarnych protestów" (w latach 2020–2021), gdy – na fali wystąpień przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego delegalizującemu prawo do aborcji eugenicznej – atakowano fizycznie świątynie katolickie.

Prawica polska powinna zatem odpuścić sobie retrospekcje historyczne i skoncentrować się na niebezpieczeństwach, które niesie dla Polski „demokratyczna" lewica. Walka z marginalną partią komunistyczną to strzelanie z armaty do muchy i zbędne wystawianie się na kpiny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Robert Bogdański

Czy istnieją dobrzy Niemcy?

Czytając książkę Waltera Kempowskiego, można dojść do wniosku: lepiej, żeby „tych nazistów" nie było, ale skoro już byli, należało – nie rwąc się zanadto naprzód – wykonywać ich postanowienia i „sprawa czysta"

FOT. FRIEDRICH, BRIGITTE/SZ-PHOTO/FORUM

Dobrzy Niemcy. Używam w tym miejscu tego określenia bez ironii. Zaznaczenie to jest konieczne, bo przymiotnik „dobry", stosunkowo neutralnie brzmiący, może nieco pompatycznie, gdy używa się go w odniesieniu do innych narodów, w odniesieniu do Niemców znaczy w naszym języku coś szczególnego. Jest zasadnicza różnica między powiedzeniem „dobry Amerykanin" a „dobry Niemiec". Amerykanie jednak nie chcieli nas zniszczyć.

W latach 60. w kabarecie Dudek była piosenka o dobrych Niemcach. Prześliczna Magdalena Zawadzka wcielała się w dziewczynę oczarowaną nastrojem słonecznego dnia i śpiewała o tym, jak w spokojny wieczór spacerują sobie „sami dobrzy Niemcy". Było to w czasie, gdy ugrupowanie neofaszystowskie – Narodowodemokratyczna Partia Niemiec zdobyła pewne znaczenie na poziomie jednego z landów i z tekstu wynikało, że ojciec dziewczyny jest tej formacji działaczem. Być może była ta piosenka trybutem wobec gomułkowskiej antyniemieckiej propagandy, a być może na chwilę uczucia twórców zgrały się z tym, co myśleli propagandyści. Wszak poza rzeczywistością kabaretu trwał frankfurcki proces załogi Auschwitz, który zapełnił ławy oskarżonych ludźmi niewinnymi i dobrymi, więc sąd orzekł w większości niskie wyroki, a Karolina Lanckorońska usiłowała zainteresować sąd w Münster zbrodniami na Polakach dokonanymi przez sądzonego za zbrodnie na Żydach esesmana. Bezskutecznie.

Niedługo potem, zaledwie kilka lat, gdy procesy jeszcze trwały, Walter Kempowski publikuje swoją książkę. Opisuje w niej kilka lat z życia swojej rodziny. Lat kluczowych w historii: 1938–1945. Rodzina składa się z dobrych Niemców. Bez ironii, znowu muszę to dodać. Narrator, najmłodszy syn, ma na początku dziewięć lat. Jego opowieść doskonale naśladuje strukturę świadomości dziecka. Utkana jest z pozornie oderwanych od siebie obrazów, powiedzonek, gestów, cytatów, scen. Z tego na pierwszy rzut oka bezładnego kolażu wyłania się życie. Prawdziwe i wciągające czytelnika, choć pozbawione czegoś, co moglibyśmy określić mianem dramatycznej akcji. Co właściwie w tej narracji fascynuje? Obraz dojrzewania chłopaka, którego okres buntu przypada na czas, gdy jego kraj jest obejmowany żelazną ręką? A może obserwowanie, jak ta żelazna ręka działa w praktyce – jak dobrzy Niemcy próbują ją oswoić, spowolnić jej ruch, ułożyć się tak, aby ich ominęła?

ŚPIEW JASNOWŁOSEGO CHŁOPCA

Kilka lat później amerykańscy filmowcy nakręcili scenę, która pokazywała w genialnym skrócie rzeczywistość, w której przyszło żyć bohaterom książki. To scena z wiejskiej gospody zapełnionej w niedzielne popołudnie przez ludzi z sąsiedztwa. Przez gwar rozmów przebija się w pewnej chwili delikatny zrazu głos chłopca o jasnych włosach i błękitnych

eprasa.pl 6f6219898c

oczach, śpiewającego o idyllicznym świecie przyrody, który czeka na chwilę, by stać się widownią rzeczy wielkich, gdy tylko ojczyzna da znak. Ta scena utkwiła w zbiorowej wyobraźni jako przejmujący symbol wrastania nazizmu w niemieckie społeczeństwo. Pod koniec śpiewają wszyscy z wyjątkiem skrzywionego niesympatycznego staruszka, a wielu podnosi razem z jasnowłosym chłopcem ręce w geście pozdrowienia.

Czy rodzina Kempowskich siedziała w tej wiejskiej gospodzie? W zamyśle twórców siedzieli tam wszyscy Niemcy, poddający się kultowi siły, który ogarniał ich niczym gigantyczna grzybnia zakorzeniająca niewidoczne zło w ludzkich duszach. Oni więc też tam siedzieli. Musieli siedzieć, żeby się nie odróżnić. W końcu do gospody poszli wszyscy, więc i ich nie mogło zabraknąć. Choć starali się siedzieć tak, aby nie rzucać się w oczy. Nie zaczęli śpiewać ze złotowłosym chłopcem jako pierwsi, niemniej musiała im się podobać jego prosta piosenka, byli wszak muzykalni. Grali i śpiewali, chodzili na koncerty. I nawet wykazywali się pewną niezależnością, słuchając i grając utwory Roberta Schumanna, choć w tej wiejskiej gospodzie zapewne nie chcieliby o tym głośno mówić. I raczej przyłączyliby się do chóru mocnych głosów opiewających niemiecką przyrodę i niemiecką przyszłość, ale może jako jedni z ostatnich, gdy już byłoby jasne, że tylko nieliczni nie śpiewają. Potem tłumaczyliby sobie, że w gruncie rzeczy słowa były niewinne, a muzyka prosta i wpadająca w ucho. Jakże tu nie zaśpiewać? Poza tym kogóż krzywdzili? Sami musieli znosić trudy i niewygody wojenne: złą aprowizację, zagrożenie bombardowaniami. Nie było im łatwo. Domy w sąsiedztwie zamieniały się w ruiny, a koledzy starszego brata narratora ginęli na froncie. Kempowscy starali się przeżyć.

Los był dla nich w gruncie rzeczy łaskawy. Matka została w domu, który uniknął bomb burzących, a od zapalających ratowała go z poświęceniem. Jej dorastający syn, który na znak buntu nosił długie włosy, unikał chodzenia na zbiórki Hitlerjugend i słuchał jazzu z płyt pozostawionych przez starszego brata, nie sprawił rodzinie zbyt wielkich kłopotów, jakby żelazna ręka władzy nie była nim zanadto zainteresowana. Siostra wyszła za mąż za Duńczyka i w porę wyjechała do Danii. Ojciec został powołany do wojska, ale do służby garnizonowej, podobnie starszy brat, który służył w jednostkach pomocniczych. Byli oddaleni od zagrożenia życia, ale też oddaleni od zagrożenia udziałem w zbrodniach. Obaj uniknęli wcielenia do symbolicznego 101. batalionu Policji Porządkowej, uniknęli znalezienia się w sytuacji, w której do śpiewu i do podniesienia ręki musieliby dodać naciśnięcie spustu. Taka była ówczesna drabina eskalacyjna zbrodni, gdzie najwyżej znajdował się ten, kto składał swój podpis pod rozkazem.

WALTER KEMPOWSKI „PRIMA SORT. POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA" PRZEKŁAD: MAŁGORZATA GRALIŃSKA, WYDAWNICTWO ARTRAGE, WARSZAWA 2025

Czytelnik oddycha z ulgą, że za obrazem mieszczańskiego życia nie kryje się żadna straszna zbrodnia w rodzaju pacyfikacji czy masowych egzekucji, a tylko prosty udział w wojnie. Doprawdy umieszczenie takiej szkaradnej tajemnicy byłoby zbyt banalne jak na wielką literaturę, zbyt przewidywalne. A jednak niepokój o to, że tajemnica istnieje, towarzyszył autorowi przez całe życie i niewątpliwie towarzyszył mu także w czasie pracy nad książką. Jeszcze dekadę po jej wydaniu zamieścił w swoim dzienniku notatkę o likwidacji getta w Baranowiczach z adnotacją: „Zawsze myślę: on o tym wiedział". On – ojciec, z którym nigdy o takich sprawach nie rozmawiał. Oddział jego ojca stacjonował w Baranowiczach, choć wiele miesięcy później. Ojciec zginął od rosyjskiej bomby na Mierzei Wiślanej wiosną roku 1945, więc porozmawiać o Baranowiczach się nigdy nie udało.

Bliskość śmierci oznaczała większą odpowiedzialność

OBOWIĄZEK WYMAGAŁ PRZEŁAMANIA OPORÓW

Ten zapis wielu uzna za dowód wrażliwości moralnej, jakby niewinność można było zachować w prosty sposób: idąc na wojnę i nie wiedząc o masowych egzekucjach. W tym sensie niemiecka armia i jej jednostki pomocnicze pełne były dobrych Niemców. Tu już pojawia się cień ironii. Daniel Goldhagen w książce o 101. batalionie przytacza zdanie jednego z jego funkcjonariuszy, który dzieli się trudnościami duchowymi w wykonywaniu zadań: „Ponieważ byłem wielkim przyjacielem Żydów, zadanie to było dla mnie nieznośne". Oczywiście gdyby to od niego zależało, nigdy nic takiego by się nie wydarzyło, ale obowiązek wymagał przełamania oporów.

Kempowskich nie postawiono w granicznej sytuacji, więc mogli pozostać dobrzy. Wojna, którą toczył ich kraj, działa się jakby obok, niedogodności, które ich dotykały w codziennym życiu, nie były w żaden sposób powiązane z cierpieniami rodzin innych narodowości, znajdujących się o setki kilometrów. Właściwie dla tych dobrych, spokojnych mieszczan najlepszym rozwiązaniem byłoby to, gdyby cała wojna zakończyła się tym, że podbite narody przyjęłyby rolę pokornych pokonanych, dały się zagłodzić, wysłać do prostych prac fizycznych albo do komór gazowych w zależności od tego, co postanowili „ci naziści", a mieszkańcy kamienicy dr. Krausego mogliby powrócić do normalnego życia znaczonego wycieczkami za miasto, koncertami i niedzielnymi nabożeństwami, w których czasie pastor mówiłby o roślinach i zwierzętach. Lepiej, żeby „tych nazistów" nie było, ale skoro już istnieli, należało – nie rwąc się zanadto naprzód – wykonywać ich postanowienia i „sprawa czysta".

Jest to w gruncie rzeczy książka o ludziach stojących obok i nieuczestniczących w zbrodniach, które otrzymały swoją nazwę. Likwidacja getta, egzekucja jeńców to zbrodnie jasno określone, noszące imię. Ale proste uczestnictwo w wojnie to co innego. Trochę tak, jak w rozmowach małych chłopców o tym, co będzie, jak kiedyś zostaną wcieleni do wojska: „Tylko żadnej walki wręcz!". Przeciwnik, którego należało pokonać gołymi rękami, umierał inaczej niż ten trafiony kulą z daleka albo rozerwany bombą lotniczą. Bliskość śmierci oznaczała większą odpowiedzialność. Podobnie jak wiedza. Lepiej, gdy „widać tylko czarne punkciki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Z Tomaszem Specyałem, współtwórcą filmów, pisarzem i autorem książki „Baśka Murmańska"
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Biała niedźwiedzica i czerwoni

Baśka, kiedy znalazła się w wojsku polskim, mogła mieć ok. roku lub nawet trochę więcej

DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Służący w Wojsku Polskim niedźwiedź Wojtek, który doczekał się biografii i dokumentu filmowego w reżyserii nieodżałowanej Marii Dłużewskiej, miał, że tak powiem, protoplastkę?

TOMASZ SPECYAŁ: Zdecydowanie tak można powiedzieć o polarnej niedźwiedzicy, którą polscy żołnierze mieli na Murmaniu. Niestety, nie jest ona tak bardzo popularna i znana jak kapral Wojtek, a szkoda, bo jej dzieje są również bardzo ciekawe i może się ona stać wyśmienitym przyczynkiem do poznania historii polskich żołnierzy, którzy walczyli z bolszewikami w północnej Rosji.

Niestety, los polskiego żołnierza zaangażowanego w rosyjską wojnę domową i walczącego wśród żołnierzy ententy nie jest zbyt rozpowszechniony. Wracając do Baśki i Wojtka, to ich losy są bardzo podobne do siebie – oba niedźwiedzie były związane z Wojskiem Polskim, oba były wychowywane w żołnierskim drylu, oba cieszyły się dużą popularnością i oba, co ciekawe, były w Szkocji, nawet w tym samym mieście, Edynburgu.

Baśka przyjechała tam we wrześniu 1919 r. z polskimi żołnierzami, którzy przez Szkocję wracali do Polski, natomiast Wojtek został przekazany do edynburskiego zoo, gdzie zakończył swój żywot.

Baśka, inaczej niż Wojtek, nie zasiliła wojskowych szeregów w dzieciństwie?

Baśka, kiedy znalazła się w wojsku polskim, mogła mieć ok. roku lub nawet trochę więcej, ale dokładnie jej wiek jest dzisiaj nie do ustalenia. Natomiast Wojtek, trafiając w szeregi Armii Andersa, musiał być bardzo młodym niedźwiedziem, bo – jak pisze o nim w swojej książce Aileen Orr – był przez żołnierzy karmiony mlekiem z butelki po wódce.

Baśka natomiast nie potrzebowała tak troskliwej opieki, była już odkarmiona, kiedy trafiła na polski żołd, ale to nie znaczy, że była dorosłą niedźwiedzicą. Była młoda, nieokiełznana, nie miała wcześniej żadnych relacji z ludźmi, co najwyżej z człowiekiem, który ją złapał, a później sprzedał Murmańczykom. Jeżeli jej matka została zastrzelona, czego nie można wykluczyć, to jakże do jej losu był podobny los niedźwiedzia Wojtka, którego matka została zabita przez myśliwego, a sam Wojtek miał zabawiać ludzi na jarmarkach. Historia jednak chciała inaczej i w dziejach polskiego oręża złotymi zgłoskami zapisali się zarówno Wojtek, jak i jego starsza „siostra" Baśka.

Kto i kiedy ją wytresował oraz przysposobił do armii?

W opowiadaniu Eugeniusza Małaczewskiego zatytułowanym „Dzieje Baśki Murmańskiej" pojawia się postać kpr. Smorgońskiego, który miał być odpowiedzialny za jej tresurę i musztrę. Problem polega na tym, że wśród Murmańczyków nie było nikogo o takim nazwisku. Zapewne autor wychowawcę Baśki ochrzcił tym nazwiskiem, zapożyczając je od słynnej na całą Europę szkoły tresury niedźwiedzi, która mieściła się właśnie w Smorgoniu. Natomiast Sławomir Zagórski w swojej książce „Baśka Murmańska i Lwy Północy" podaje, że treserem Baśki był kpr. Feliks Miszon odpowiedzialny

eprasa.pl 6f6219898c

za musztrę i to on miał zostać opiekunem niedźwiedzicy, którą oswajał i przysposabiał do życia. Szkolenie wojskowe, jeśli można to tak nazwać, przeszła w Archangielsku pomiędzy styczniem a wrześniem 1919 r.

A jak wyglądał jej szlak bojowy?

Jest on bardzo imponujący. Rozpoczął się z chwilą, kiedy trafiła do szeregów Wojska Polskiego walczącego na Murmaniu. Od stycznia do września 1919 r. przebywała w Archangielsku, następnie została zaokrętowana na statek „Toloa", na którego pokładzie dotarła do Leith, późniejszej dzielnicy Edynburga. Po dwóch miesiącach gościny na szkockiej ziemi na pokładzie „Santa Eleny" przez Kilonię dotarła do Szczecina. Stamtąd pociągiem dojechała do stacji Krzyż i na czterech łapach przeszła polską granicę, żeby wsiąść do pociągu jadącego do Poznania. W grodzie Przemysława Baśka i jej opiekunowie przesiedli się do pociągu jadącego do Warszawy, a ze stolicy udali się do Twierdzy Modlin, gdzie stacjonowali. Jak wiemy, tam zakończył się doczesny szlak Baśki Murmańskiej, ale tragiczna śmierć nie przerwała jej wędrówki.

Po spreparowaniu została podarowana w prezencie imieninowym gen. Józefowi Hallerowi, który umieścił ją w salonie swojego toruńskiego domu, stamtąd trafiła do Muzeum Wojska. Z tego, co udało mi się ustalić, w okresie międzywojennym opuściła je dwa razy. Po raz pierwszy w 1929 r., żeby uczestniczyć w pierwszym zjeździe Murmańczyków – stała wówczas dumnie przed stołem prezydialnym, a na końcu pozowała do zdjęcia z dawnymi towarzyszami broni.

Po raz drugi w 1931 r., kiedy to wyruszyła wraz z innymi eksponatami na wystawę poświęconą Błękitnej Armii gen. Hallera.

Dlaczego kwaterowała w Twierdzy Modlin?

Ponieważ wchodziła w skład oddziału murmańskiego, który po powrocie do Polski został ulokowany właśnie tam. Niestety, nie zachowały się lub nie zostały jeszcze odnalezione dokumenty czy wspomnienia żadnego z żołnierzy, którzy w tym czasie służyli w Twierdzy Modlin, żebyśmy mogli coś więcej powiedzieć na temat jej pobytu w tych koszarach. Zresztą, w przeciwieństwie do Wojtka, zachowanych świadectw na temat Baśki jest bardzo mało.

TOMASZ SPECYAŁ „BAŚKA MURMAŃSKA" REPLIKA 2025

Salutowała marszałkowi Piłsudskiemu?!

Podczas uroczystości powitania Murmańczyków, która odbyła się 21 grudnia 1919 r. w Warszawie na Placu Saskim, zachowała się jak dobrze obeznany z musztrą żołnierz i oddała honory naczelnikowi państwa Józefowi Piłsudskiemu, a przyszły marszałek miał do niej podejść i ją pogłaskać.

Jej legendę utrwalił Eugeniusz Małaczewski?

Bez wątpienia ten pisarz swoim tekstem „Dzieje Baśki Murmańskiej", opublikowanym po raz pierwszy w 1921 r. w zbiorze opowiadań „Koń na wzgórzu", zapewnił jej nieśmiertelność. Zapewne gdyby nie on, o Baśce niewielu by usłyszało, a jej krótki żywot byłby szybko skazany na zapomnienie. Opowiadanie Małaczewskiego stało się lekturą szkolną i często gościło na falach eteru polskiego radia doby międzywojnia – czytane w odcinkach. Drukowano je w prasie, doczekało się wielu wydań, przez co trafiało do szerokiego odbiorcy, a Baśka zyskała popularność. Należy jednak pamiętać, że historia Baśki w przekazie literackim została zbeletryzowana i nie do końca jest zgodna z faktami. W Polsce Ludowej nie było miejsca ani dla Baśki, ani dla Małaczewskiego, bo oboje walczyli z bolszewikami. Zostali skazani na zapomnienie, a spuściznę przedwcześnie zmarłego Małaczewskiego wycofano z bibliotek i pozbawiono szans na reedycję; przez cały okres PRL był pisarzem objętym zapisem cenzorskim.

W twierdzy modlińskiej niedźwiedzica mieszkała zaledwie kilka tygodni.

Podczas kąpieli w Wiśle zerwała się swoim opiekunom z łańcucha, na którym była wyprowadzana. Przepłynęła na drugi brzeg, tam dopadli ją lokalni chłopi i zakłuli widłami, żeby posiąść białe futro. Kiedy przybyli jej towarzysze broni, bo tak chyba można powiedzieć o Murmańczykach, była już skórowana. Ci, którzy dopuścili się tego zbrodniczego czynu, mieli dużo szczęścia, że żołnierze nie puścili ich gospodarstw z dymem.

Upamiętnia ją pomnik, ale w II RP trafiła też do muzeum. Co stało się z nią podczas wojny?

Po tym, jak przez pięć lat zdobiła salon w toruńskim domu gen. Józefa Hallera, została przekazana do Muzeum Wojska, gdzie była ozdobą ekspozycji poświęconej polskim formacjom walczącym na Wschodzie. Przetrwała drugowojenną zawieruchę. Najwyraźniej nie stanowiła dla Niemców atrakcyjnego łupu, nie ukradli jej zatem ani nie zniszczyli, jak to mieli w swoim zwyczaju czynić.

Jednak w powojennej, komunistycznej rzeczywistości niedźwiedzica, która była symbolem Wojska Polskiego walczącego z bolszewikami, nie mogła liczyć na honorowe miejsce w historii polskiego oręża. Jej losy są do dzisiaj nieznane. Przywracanie pamięci o Murmańczykach i Baśce zaczęło się po upadku komunizmu. Dzisiaj przygodę z Baśką można przeżyć na terenie Twierdzy Modlin. We wrześniu 2012 r. na jej terenie otwarto szlak niedźwiedzicy Baśki. Jego zwiedzanie przypomina grę miejską i jest kluczową atrakcją przygotowaną przez Lokalną Organizację Turystyczną Trzech Rzek oraz miasto Nowy Dwór Mazowiecki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Specyał – absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Współautor pracy „Kryminalna historia Poznania", autor książek: „Memento Mori. Prawdziwe śmierci przypadki" i najnowszej – „Baśka Murmańska. Niezwykła niedźwiedzica Wojska Polskiego". We współpracy z Instytutem Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego współtworzył hasła do „Słownika biograficznego polskiego obozu narodowego". Współtwórca filmów dokumentalnych: „Pyrlandzki łącznik" – biografii Mariana Spoidy, piłkarza Warty Poznań, olimpijczyka, żołnierza zamordowanego w Katyniu – i „Dziki Zachód" – o zbrodniach Armii Czerwonej w okolicach Szczecinka.

eprasa.pl 6f6219898c

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Sekretarz „Kolski”

Historia komunistycznej konspiracji (przedwojennej i wojennej) kryje jeszcze bardzo wiele tajemnic. Przy okazji jest ona zaciemniana, m.in. przez nagminne fałszowanie danych osobowych jej działaczy. Ale przypadek towarzysza Barucha Cukiera – „Witolda Kolskiego” – jest szczególny. Po krwawych jatkach w łonie konspiracyjnej tzw. Polskiej Partii Robotniczej (PPR) na przełomie lat 1942 i 1943 centrala moskiewska postanowiła zrobić porządek w swej agenturze i skierować jej działalność z wewnętrznych rozgrywek na właściwe tory, czyli m.in. na szpiegowanie polskich organizacji niepodległościowych.

Po zamordowaniu Marcelego Nowotki, szefa partii z nadania Moskwy, schedę po nim objął Bolesław Mołojec „Długi”, szkolony w Moskwie, major NKWD, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, herszt Gwardii Ludowej. On też został wkrótce zamordowany przez swoich. Krwawa jatka w kierownictwie PPR trwała w najlepsze. Los „Długiego” podzielił wkrótce jego młodszy brat Zygmunt („Anton”, który miał być szefem wywiadu GL) i łącznie co najmniej kilkanaście innych osób z kierownictwa PPR oraz ich obsługi (łączników i łączniczek). Moskwa nie mogła i nie chciała tego tolerować. Nie wiedząc dokładnie, co się w ich partii dzieje, i nie wiedząc, komu powierzyć kierownictwo, postanowiła przerzucić do okupowanej Polski swego zaufanego człowieka. Wybór padł na Barucha Cukiera, który otrzymał nową tożsamość jako „Witold Kolski” (z nieustalonymi do dziś miejscem i datą urodzenia). Był jednym z niewielu inteligentów w partii, ukończył bowiem studia na UW. Od tej pory, jako „funk” (funkcjonariusz) KPP (m.in. członek Komitetu Centralnego), piął się w komunistycznej konspiracji, w czym pomagało mu specjalistyczne szkolenie w Moskwie w latach 1930–1931. W Polsce był wielokrotnie skazywany i więziony za swą nielegalną działalność na rzecz Moskwy.

W okupowanym przez Sowietów Lwowie w latach 1939–1941 prowadził jadowitą działalność propagandową na rzecz komunistycznych okupantów. Wzywał wprost w swych artykułach, aby „zgnieść gadzinę nacjonalistyczną”. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej porzucił we Lwowie żonę oraz córeczkę i uciekł w głąb Związku Sowieckiego. Jako funk partyjny, po szkoleniach moskiewskich, nadawał się do objęcia władzy nad rozpadającą się PPR. Został zrzucony kanałem NKWD 28 lutego 1943 r. w okolicach Ryk. Skok spadochronowy nie był jednak udany, odniósł liczne obrażenia i zawisł ze spadochronem na drzewie. Według najbardziej prawdopodobnej wersji zastrzelił się, aby nie wpaść w ręce Niemców. W historii PPR nie zaistniał, jego osoba była starannie ukrywana. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki kariery Poli Negri

Była jedyną w dziejach kina polską gwiazdą światowego formatu, uznawano ją za uniwersalny symbol seksu i urody, przetarła w Hollywood szlaki innym europejskim gwiazdom. Romansowała z Charliem Chaplinem i Rudolfem Valentino, spacerowała po Bulwarze Zachodzącego Słońca z tygrysem (!) na smyczy. A przy okazji stała się ulubioną aktorką Hitlera, który zaliczył ją do „polskich Aryjczyków” i wzruszał się do łez na jej filmach.

Naprawdę nazywała się Barbara Apolonia Chałupiec. Przyszła na świat 3 stycznia 1897 r. w Lipnie na Kujawach. Była najmłodszym dzieckiem słowackiego kotlarza o cygańskich korzeniach Jerzego Chałupca i Eleonory Kiełczewskiej. Bardzo muzykalna, miała talent do tańca, a do tego niebanalną urodę i temperament. Zdała egzaminy do Szkoły Baletowej przy Teatrze Wielkim w Warszawie, a że placówka znajdowała się pod bezpośrednią opieką dworu carskiego, to nauka była tam bezpłatna.

Panna Chałupiec mogła mieć predyspozycje do kariery w balecie, ale na przeszkodzie stanęły jednak względy zdrowotne. Zdiagnozowano u niej początki gruźlicy i musiała na kilka miesięcy wyjechać do Zakopanego. Pomimo choroby nie zamierzała zrezygnować ze sceny. Gruźlicę udało się zaleczyć, ale musiała porzucić balet. W tej sytuacji zdała egzamin do Szkoły Aplikacyjnej przy Warszawskich Teatrach Rządowych i niebawem dostała pierwsze role. Zmieniła też nazwisko, gdyż podczas pobytu w Zakopanem uznała, że nazwisko Chałupiec nie nadaje się do promocji. Przyjęła pseudonim na cześć włoskiej poetki Ady Negri, przestała również używać pierwszego imienia. Od tej pory miała być znana jako Pola Negri.

Nauka w Szkole Aplikacyjnej również była bezpłatna, co znacznie ułatwiało sytuację Poli. Dziewczyna pobierała jednak prywatne lekcje u wybitnych aktorów: Honoraty Leszczyńskiej i Teodora Rolanda. Inwestycja szybko się opłaciła i gdy we wrześniu 1912 r. Pola zadebiutowała w „Ślubach panieńskich” Fredry, krytycy uznali, że pojawiła się przyszła gwiazda. W tej sytuacji, gdy w Warszawie przystępowano do inscenizacji słynnej w całej Europie pantomimy Maxa Reinhardta „Sumurun”, powierzono młodziutkiej Poli rolę demonicznej tancerki.

Negri miała przygotowanie baletowe, była aktorką dramatyczną, a do tego emanowała wdziękiem pierwszej młodości. Doskonale zdawała sobie sprawę z ogromnej szansy, którą był udział w inscenizacji „Sumuruna”. To było przedsięwzięcie skazane na sukces, a ona miała wystąpić u boku takich sław jak Juliusz Osterwa czy Stanisław Knake-Zawadzki. W efekcie przedstawienie stało się dla niej przepustką do wielkiej kariery filmowej. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

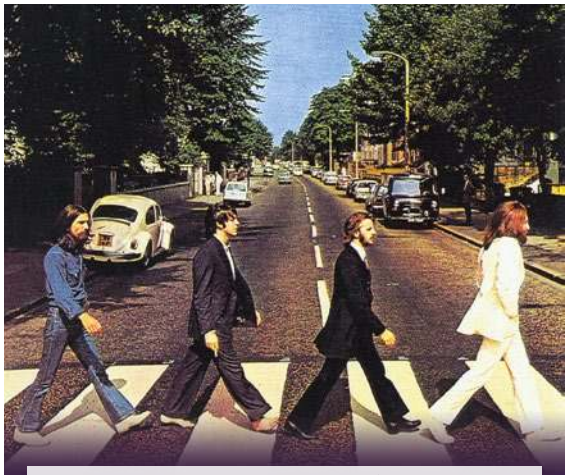

FOT. IAIN MACMILLAN

KŁOPOT KIEROWCÓW

Przejście dla pieszych przy Abbey Road w Londynie stało się pewnego dnia udręką kierowców. Musieli przed nim zatrzymywać swoje pojazdy na dłużej niż zwykle, ponieważ ruch blokowali fani Beatlesów. Odtwarzali oni słynne zdjęcie czwórki z Liverpoolu przechodzącej na pasach, które znalazło się na okładce znanego albumu „Abbey Road". Jak się okazało, kłopotliwa dla śpieszących się kierowców akcja odbyła się w ramach realizacji czteroczęściowego filmu o zespole.

NA KARNAWAŁ Z PISTOLETEM

Na terenie budowy w hrabstwie Polk County na Florydzie policja zatrzymała 39-letniego mężczyznę. Miał on na sobie czerwoną damską bieliznę oraz sztuczne silikonowe piersi. Pod nimi ukrywał naładowany pistolet. Jak się okazało, policję zawiadomili pracownicy budowy, którym zachowanie mężczyzny wydało się podejrzane. Przy zatrzymaniu tłumaczył on, że wybiera się na imprezę karnawałową, jednak nie był w stanie podać, gdzie się miałaby odbywać i kto miałby być jej gospodarzem.

WŁASNE WC

Podczas przerwy świątecznej włamano się do skarbca banku Sparkasse w Gelsenkirchen. Złodzieje przewiercili ponad 3 tys. skrytek i ukradli mienie warte ok. 100 mln euro. Według policji na uwagę zwraca fakt, że przestępcy spędzili w banku co najmniej 46 godz., a to oznacza, że musieli w tym czasie załatwiać potrzeby fizjologiczne. Przypuszczalnie mieli ze sobą własną toaletę, by nie zostawiać DNA, oraz użyli chemikaliów do zniszczenia śladów.

CO Z CHOINKĄ?

W Saryagasz w Kazachstanie kierowca Łady wykonywał nią w nocy na pustym rynku szybkie obroty. W pewnym momencie samochód uderzył w liczącą 12 metrów wysokości choinkę i ją przewrócił. Kierowca uciekł, ale po jakimś czasie został namierzony przez policję. Nie tylko nałożono na niego karę grzywny za niebezpieczną jazdę, lecz także zobowiązano go do przywrócenia choinki do pierwotnego stanu, co też uczynił.

CENNY TELEFON

Pracownik japońskiej Agencji Regulacji Jądrowej podczas podróży do Chin zgubił telefon służbowy zawierający dane wrażliwe. Na urządzeniu znajdowały się dane kontaktowe pracowników zajmujących się poufnymi sprawami bezpieczeństwa jądrowego. Do zaginięcia przedmiotu doszło podczas kontroli pasażera na lotnisku w Szanghaju. Agencja Regulacji Jądrowej ostrzegła swoich pracowników, by nie zabierali swoich służbowych telefonów za granicę. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rok kluczowych wyborów

Znany od dekad porządek świata sypie się na naszych oczach w takim tempie, że prognozowanie wydarzeń politycznych staje się niemal niemożliwe. Nie bez powodu nawet poważne media z różnych państw cytowały szamanów z Peru, którzy co roku spotykają się na plaży w Limie, by po spożyciu stosownych wspomagaczy głosić swe noworoczne prognozy.

Tym razem ich skuteczność była godna podziwu. Ledwie pod koniec grudnia szamani opowiadali, że widzą pokonanego Nicolasa Maduro, a już 3 stycznia Donald Trump opublikował zdjęcie słynnego Wenezuelczyka, który skuty i z opaską na oczach zmierzał do celi w USA (choć szamani prognozowali, iż Maduro sam pryśnie z kraju). Odurzeni szamani widzieli też koniec wojny na Ukrainie. Podobne wizje mieli też niestety w 2023 r., więc dobrze by było, aby tym razem dało się pokój dostrzec i bez halucynacji.

Zupełnie na trzeźwo można prognozować, że ważne dla Europy wybory odbędą się już wiosną. W marcu po władzę spróbuje sięgnąć centroprawica w Słowenii. W kwietniu zaś na Węgrzech o piąte z rzędu zwycięstwo walczyć będzie Viktor Orbán. Wynik tego starcia pokaże, czy europejska prawica ma jeszcze szansę na ofensywę czy znów przespała swoją szansę.

Wynik wyborów do Dumy wydaje się przesądzony. A co z USA? 3 listopada Amerykanie wybiorą 435 kongresmenów w Izbie Reprezentantów, 35 ze 100 senatorów, a także gubernatorów w 39 stanach i terytoriach USA (a kto wie, może i w nowych koloniach). Te wybory pokażą, jak Amerykanie oceniają politykę Trumpa. Ich wyniki będą też istotne dla szans polskiej opozycji na odzyskanie władzy. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

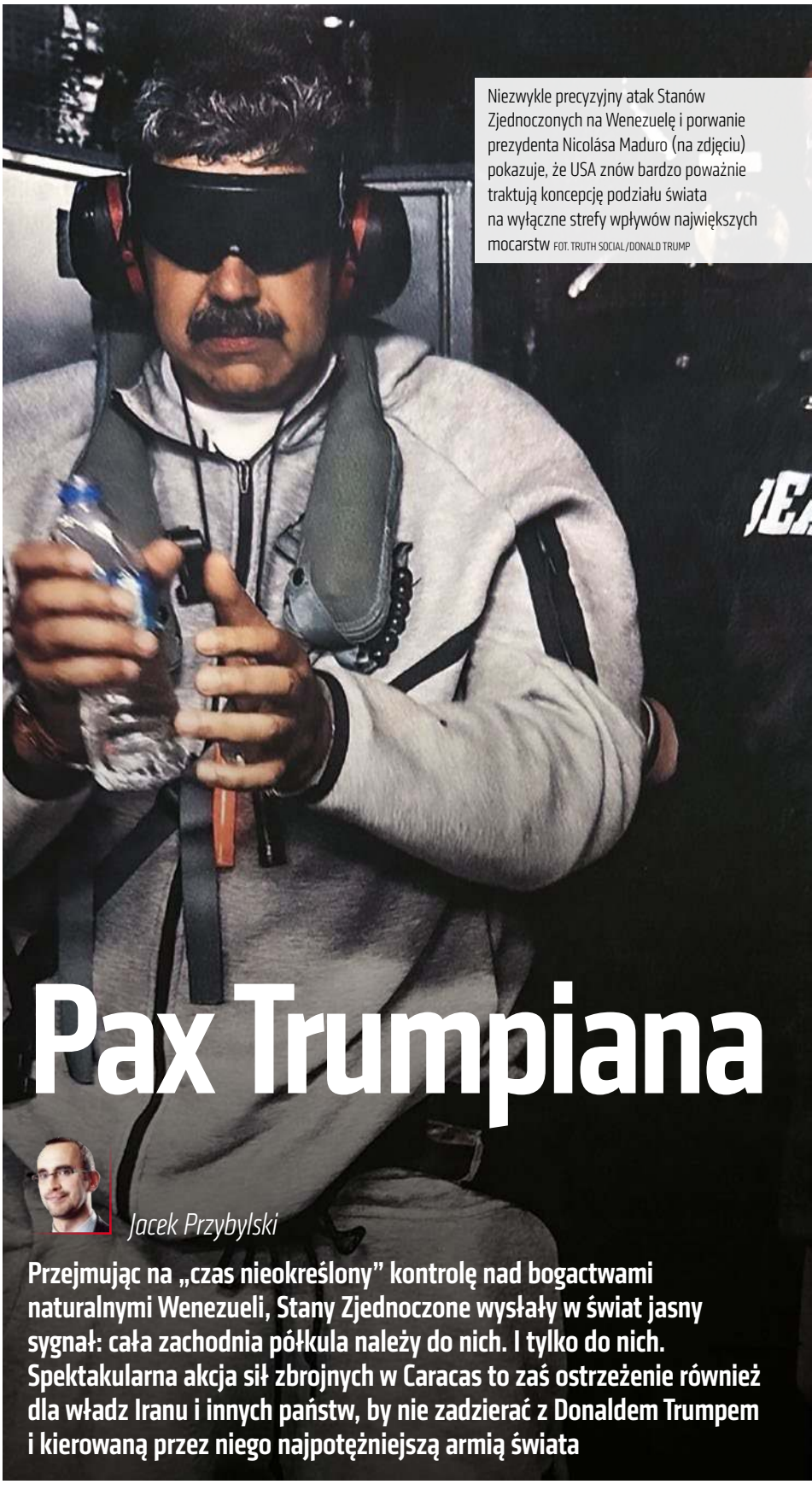

Niezwykle precyzyjny atak Stanów Zjednoczonych na Wenezuelę i porwanie prezydenta Nicolása Maduro (na zdjęciu) pokazuje, że USA znów bardzo poważnie traktują koncepcję podziału świata na wyłączne strefy wpływów największych mocarstw FOT. TRUTH SOCIAL/DONALD TRUMP

Pax Trumpiana

Jacek Przybylski

Przejmując na „czas nieokreślony" kontrolę nad bogactwami naturalnymi Wenezueli, Stany Zjednoczone wysłały w świat jasny sygnał: cała zachodnia półkula należy do nich. I tylko do nich. Spektakularna akcja sił zbrojnych w Caracas to zaś ostrzeżenie również dla władz Iranu i innych państw, by nie zadzierać z Donaldem Trumpem i kierowaną przez niego najpotężniejszą armią świata

Amerykański przywódca publicznie zagroził, że USA wkrótce przestaną się ograniczać do ataków na wenezuelskie statki i rozpoczną operację lądową. Donald Trump dał też wenezuelskiemu przywódcy szansę na bezpieczne opuszczenie kraju wraz z rodziną. Czy jeśli z niej nie skorzysta, zobaczymy amerykańską wersję „specjalnej operacji wojskowej"? To pytanie na łamach „Do Rzeczy" zadałem 7 grudnia („DRz" nr 50/2025). Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. 2 stycznia byliśmy świadkami spektakularnego pokazu siły największego ze światowych mocarstw.

W nocnej operacji z 2 na 3 stycznia 2026 r. wzięło udział ponad 150 amerykańskich samolotów. Komandosi Delta Force przypuścili błyskawiczny szturm na rezydencję Maduro i zdążyli go schwytać, zanim zamknął się za pancernymi drzwiami. Według informacji resortu spraw wewnętrznych Wenezueli w amerykańskiej akcji zginęło co najmniej 100 osób – w tym ok. 27 wenezuelskich oficerów i 32 kubańskich wojskowych i policjantów, a kolejnych 100 zostało rannych. Z kolei Amerykanie według informacji podanych przez Biały Dom podczas całej operacji nie stracili ani jednego żołnierza (choć nie udało się uniknąć rannych) i ani jednego samolotu czy śmigłowca (jeden został co prawda uszkodzony, ale nadal mógł latać i z powodzeniem wrócił do bazy).

Niezwykle precyzyjny i potężny atak Stanów Zjednoczonych na Wenezuelę, porwanie nieuznawanego przez większość zachodniego świata lidera reżimu panującego w tym kraju i widowiskowe zaprezentowanie go w charakterze łupu wojennego dla przywódcy Ameryki w podręcznikach do historii zapisze się zapewne jako dzień, w którym oficjalnie zakończył się trwający od zakończenia drugiej wojny światowej okres Pax Americana. Przeprowadzając „operację specjalną" w stolicy Wenezueli, amerykański prezydent nie szukał nawet jakichś szczególnych argumentów, które uzasadniałyby, dlaczego Stany Zjednoczone zdecydowały się na użycie wojska na terenie suwerennego kraju. Nikt nie mówi o krzewieniu demokracji, obronie uciśnionej opozycji, a jednocześnie wszyscy raczej zdają sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście chodziłoby o wojnę z narkotykowymi kartelami, to akurat nie Wenezuela powinna iść na pierwszy ogień.

eprasa.pl 6f6219898c

Od 2 stycznia 2026 r. trwa więc Pax Trumpiana – czas, gdy wobec zasad prawa międzynarodowego nadrzędne są siła, wpływy, pieniądze i… dobre deale. A także okres, w którym gospodarz Białego Domu reaktywował XIX-wieczną doktrynę Monroego i zmienił ją w doktrynę „Donroe" (od słów „Donald" i „Monroe").

„DONROE", CZYLI KONIEC GIEREK

Jak widać, nie chodzi tylko o symboliczne zmiany nazw (np. Zatoka Meksykańska w styczniu 2025 r. zmieniła nazwę na Zatokę Amerykańską na podstawie rozporządzenia wykonawczego prezydenta Stanów Zjednoczonych).

Przejmując kontrolę nad losami Wenezueli, Stany Zjednoczone wysłały w świat jasny sygnał: cała zachodnia półkula należy do nich. A jeśli ktoś mimo wszystko czegoś nie zrozumiał, to na żywo wielokrotnie usłyszał to wprost od człowieka, który wyrósł na kluczowego aktora w administracji Donalda Trumpa. „To nasza półkula – i prezydent Trump nie pozwoli, aby nasze bezpieczeństwo było zagrożone" – ogłosił szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio na konferencji prasowej zwołanej po spektakularnej akcji, podczas której komandosi elitarnej jednostki Delta Force pojmali Nicolása Maduro. „To jest półkula zachodnia. Tu żyjemy – i nie pozwolimy, by półkula zachodnia stała się bazą operacyjną dla przeciwników, konkurentów i rywali Stanów Zjednoczonych" – dodał Rubio. Po czym ostrzegł: „Widzieliśmy, jak nasi przeciwnicy na całym świecie eksploatują i wydobywają zasoby z Afryki, z każdego innego kraju. Nie zrobią tego na półkuli zachodniej. To się nie wydarzy za prezydentury Trumpa. Przeczytajcie naszą strategię bezpieczeństwa narodowego".

Szef amerykańskiej dyplomacji bez ogródek stwierdził też przed kamerami, że obecna administracja USA chce, „aby Wenezuela podążała w określonym kierunku, ponieważ nie tylko uważamy, że jest to dobre dla Wenezuelczyków, ale leży to w naszym interesie narodowym". Co to konkretnie oznacza? Według „The Wall Street Journal" Biały Dom chciałby przejąć kontrolę nad państwowym wenezuelskim koncernem naftowym Petróleos de Venezuela (PDVSA), doprowadzić do podpisania umów joint venture z największymi amerykańskimi koncernami naftowymi i zdominować wydobycie surowców w tym kraju przez wiele następnych lat. Jak wiele? Sekretarz energii Chris Wright oznajmił w zeszłą środę, że USA zamierzają utrzymać kontrolę nad sprzedażą wenezuelskiej ropy „bezterminowo". Donald Trump chce w ten sposób jednocześnie zrealizować nie tylko cele ekonomiczne, lecz także polityczne i geopolityczne. Według „WSJ" zakłada on bowiem, że Wenezuela dostarczy od 30 do 50 mln baryłek wysokiej jakości ropy objętej dotychczas sankcjami, co powinno doprowadzić do spadku ceny ropy naftowej do poziomu 50 dol. za baryłkę.

Jednocześnie tańsza ropa to niższe koszty energii dla amerykańskich konsumentów. To zaś może być kluczowy argument dla wyborców podczas listopadowych wyborów do Kongresu. Ich stawka jest wysoka: jeśli Partia Republikańska straci kontrolę nad Kongresem, to Donald Trump nie będzie mógł już dłużej rządzić w taki sposób jak obecnie. Zapewne dlatego Wenezuela ma zobowiązać się do bycia „głównym partnerem gospodarczym" nie tylko w kwestii ropy naftowej (według oficjalnych szacunków kraj ten posiada największe na świecie potwierdzone rezerwy ropy naftowej, szacowane na ok. 300 mld baryłek, czyli 17 proc. światowych zasobów). Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży surowca władze w Caracas mają kupować amerykański sprzęt, amerykańskie leki czy amerykańskie urządzenia medyczne. To zaś powinno wpłynąć na wzrost amerykańskiej gospodarki.

Jednocześnie, gdyby rzeczywiście Trumpowi udało się trwale zbić ceny ropy naftowej, to rozwiązałby nie tylko jeden z ważnych problemów w krajowej polityce, ale również istotnie uderzył w interesy Władimira Putina. Od początku 2026 r. na rynkach widać spadki cen rosyjskiej ropy Urals, która m.in. z powodu sankcji nałożonych przez USA na dwóch największych eksporterów (Rosnieft i Łukoil) pozostaje istotnie tańsza niż Brent. To zaś przekłada się na niższe niż zakładane w budżecie przez Moskwę zyski z eksportu surowca.

Jednocześnie Amerykanie nie zamierzają odpuszczać wenezuelskiej ropy, nawet jeśli znajduje się już na tankowcach płynących w stronę innych mocarstw. Jeszcze niedawno pływały one pod różnymi banderami, ale po akcji w Caracas co najmniej trzy z nich wyszły z cienia i zmieniły swoje bandery na rosyjskie. Mimo to w zeszłą środę Stany Zjednoczone przejęły powiązany z Wenezuelą tankowiec pod rosyjską banderą, który jeszcze w grudniu zdołał przedrzeć się przez amerykańską blokadę morską i w którego pobliżu znajdowały się jednostki rosyjskiej floty, w tym okręt podwodny. „Tankowiec został zajęty na północnym Atlantyku na podstawie nakazu wydanego przez federalny sąd USA" – czytamy w komunikacie dowództwa sił Stanów Zjednoczonych w Europie. Biały Dom poinformował zaś, że załoga tankowca „Marinera" – transportującego ok. 2 mln baryłek wenezuelskiej ropy – „zostanie doprowadzona do Stanów Zjednoczonych w celu przeprowadzenia postępowania sądowego, jeśli zajdzie taka potrzeba".

Rosjanie oskarżyli Stany Zjednoczone o naruszenie prawa morskiego, a także ONZ-owskich konwencji. Polityk rządowej Jednej Rosji Andriej Kliszas uznał zaś przejęcie przez amerykańskie służby tankowca płynącego pod rosyjską banderą jako „akt jawnego piractwa". W rosyjskich mediach pojawiły się nawet wezwania do zbrojnej odpowiedzi i ataków na cele NATO.

REWOLUCJONISTKA ZAMIAST NOBLISTKI

Wróćmy do Caracas. Sam Donald Trump również deklaruje, że Stanom Zjednoczonym zależy nie tyle na przemianach ustrojowych w Wenezueli, ile na tym, aby na czele władz w Caracas stał ktoś, kto będzie posłusznie wykonywał polecenia Waszyngtonu, chroniąc gigantyczne amerykańskie inwestycje w sektor energetyczny i gwarantując, że zyski z tej operacji będą szerokim strumieniem płynęły do USA.

Zapewne właśnie dlatego Biały Dom po uprowadzeniu przywódcy wenezuelskiego reżimu postawił na „Tygrysicę" powołaną na urząd wiceprezydenta przez samego Nicolása Maduro, a nie na liderkę wenezuelskiej opozycji, która nie ukrywała nadziei na przejęcie władzy w kraju. Według amerykańskich mediów Trump miał też czuć osobistą niechęć wobec Marii Coriny Machado, która w ubiegłym roku została laureatką Pokojowej Nagrody Nobla – na którą obecny gospodarz miał tak wielką chrapkę, że gdy jej jednak nie otrzymał, to FIFA podczas grudniowego losowania

eprasa.pl 6f6219898c

XXIII Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej 2026 musiała stworzyć nową nagrodę i uroczyście wręczyć Trumpowi statuetkę i medal w uznaniu „wyjątkowych działań na rzecz pokoju na świecie".

Delcy Rodríguez, zaprzysiężona w ubiegłym tygodniu przez Sąd Najwyższy na pełniącą obowiązki prezydent Wenezueli, na pokojowego Nobla raczej nie ma szans. Do dnia amerykańskiej „operacji specjalnej" piastowała bowiem stanowisko wiceprezydenta kraju. Funkcję, którą Maduro powierzył jej w roku 2018, Rodríguez łączyła też z posadą ministra gospodarki i finansów, ministra do spraw ropy naftowej oraz szefowej agencji wywiadowczej SEBIN (czyli tajnej policji lewicowego reżimu).

I chociaż Rodríguez – zagorzała socjalistka – oficjalnie potępiła atak „amerykańskich imperialistów" na Caracas i zażądała uwolnienia Maduro i jego żony z więzienia w USA, to według informacji mediów w USA Biały Dom szykował ją do roli tymczasowego namiestnika w Wenezueli długo przed spektakularną akcją komandosów. I trzeba przyznać, że Rodríguez na razie sprawnie realizuje nową strategię komunistycznego reżimu: nie zmuszać Trumpa do interwencji, aby jakoś przetrwać. Tymczasowa liderka Wenezueli sprawnie stara się zatem równoważyć wypowiedzi potępiające akcję USA – aby nie wyjść na zdrajczynię w oczach twardogłowych członków komunistycznego reżimu z tymi, które brzmią o wiele bardziej pojednawczo wobec USA, aby nadal móc się cieszyć życiem i wolnością. „Zapraszamy rząd USA do współpracy z nami w zakresie programu kooperacji ukierunkowanego na wspólny rozwój w ramach prawa międzynarodowego w celu wzmocnienia trwałego współistnienia społeczności" – oświadczyła Rodríguez, której zdolności do tworzenia pustosłowia mogliby pozazdrościć nawet urzędnicy w Brukseli.

Jak zauważył Marco Rubio, tymczasowe władze Wenezueli „rozumieją, że jedynym sposobem na transport ropy naftowej, generowanie dochodów i uniknięcie załamania gospodarczego jest współpraca ze Stanami Zjednoczonymi".

Co doktryna „Donroe" oznacza dla innych państw niż Wenezuela? Po pierwsze przywódcy krajów położonych w obu Amerykach mają być przychylni USA. I chodzi o liderów wszystkich państw: od Kanady (którą Donald Trump chętnie widziałby w charakterze 51. stanu USA i której granicę obecny gospodarz Białego Domu publicznie nazwał „sztuczną linią, która została narysowana linijką wiele lat temu") poprzez Meksyk i Kolumbię, na Kubie skończywszy.

Na wspomnianej na początku tekstu konferencji prasowej po obaleniu Maduro Donald Trump oznajmił, że prezydent Kolumbii też „musi uważać na swój tyłek", sugerując wprost, że USA mogą przeprowadzić w tym kraju podobną interwencję jak w Wenezueli. Gustavo Petro, dawny członek partyzantki, w odpowiedzi zadeklarował, że gotów jest znów sięgnąć po broń. Szybko doszedł jednak do wniosku, że lepiej się z Trumpem dogadać. Telefoniczna rozmowa przywódców USA i Kolumbii skończyła się oficjalnym zaproszeniem dla Petra do wizyty w Białym Domu. „Doceniam jego telefon i ton, i oczekuję spotkania z nim w bliskiej przyszłości" – zadeklarował Donald Trump.

CO Z TĄ GRENLANDIĄ?

Nie wiadomo, jaką strategię przyjmą ostatecznie władze w Kopenhadze. Na liście miejsc, które obecna amerykańska administracja po prostu „chce mieć", znalazła się bowiem Grenlandia, będąca obecnie częścią należącego do NATO Królestwa Danii. Amerykański prezydent od kilkunastu miesięcy powtarza, że Stany Zjednoczone muszą „mieć" tę wyspę, która nie tylko kryje w sobie liczne surowce, lecz także w czasach topniejących lodowców ma coraz większe znaczenie strategiczne.

W sobotę 3 stycznia żona doradcy Trumpa Stephena Millera napisała, że Grenlandia będzie amerykańska już „WKRÓTCE". Sam Miller – elegancki 40-latek, który uchodzi obecnie za jedną z najbardziej wpływowych postaci w Waszyngtonie – w ostatnich dniach wprost mówi zaś, że od początku drugiej kadencji Trumpa „formalnym stanowiskiem rządu USA" jest to, że „Grenlandia powinna być częścią Stanów Zjednoczonych". Trump marzył o tym już podczas swej pierwszej kadencji. Obecnie plan zdobycia Grenlandii nie uwzględnia już jednak wyłącznie koncepcji zakupu wyspy, lecz także – co jest artykułowane zaskakująco otwarcie – wykorzystanie wariantu siłowego.

I chociaż Miller przekonuje, że nikt nie stawiałby amerykańskim wojskom oporu w walce o Grenlandię, a sam Donald Trump powiedział w wywiadzie dla „New York Timesa", że może stanąć przed wyborem między przyłączeniem Grenlandii, a zachowaniem NATO, to za użyciem wojska w celu przejęcia kontroli nad Grenlandią opowiada się zaledwie kilka procent Amerykanów. Można się zatem spodziewać, że groźby wobec jednego z europejskich sojuszników są jedynie elementem strategii negocjacyjnej, mającej skłonić Kopenhagę do zgody na „ofertę kupna". Według Reutersa USA są gotowe zaoferować każdemu Grenlandczykowi 100 tys. dol., aby skłonić ich do secesji od Danii.

Siedem państw europejskich, w tym Polska, Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Włochy, Hiszpania oraz Dania, oficjalnie zadeklarowało we wtorek solidarność z Grenlandią po tym, jak Stany Zjednoczone zagroziły aneksją tej wyspy. Europejczycy przypomnieli w tym oświadczeniu, że Grenlandia też jest „częścią NATO", i podkreślili, że „sprawy dotyczące Danii i Grenlandii rozstrzygają Dania i Grenlandia – i tylko one".

Wydaje się jednak, że amerykański przywódca średnio przejmuje się opiniami europejskich przywódców. Donald Trump w zeszłym roku już drugi raz wyprowadził Amerykę z paryskiego porozumienia klimatycznego (zrobił to już za pierwszej kadencji, ale jego decyzję zmienił prezydent Joe Biden). W ostatnich miesiącach amerykański władca zdecydował również o wycofaniu udziału Stanów Zjednoczonych w kilkudziesięciu organizacjach międzynarodowych. Biały Dom wyjaśnia te działania krótko: podmioty te „nie służą już interesom Ameryki" i promują „nieskuteczne lub wrogie programy". Według BBC są wśród nich nie tylko organizacje promujące walkę z „wywołanymi przez człowieka zmianami klimatu", które Trump oficjalnie uznaje za mistyfikację, lecz także te, których zadaniem jest promocja demokracji, rozwój programów zdrowotnych czy zapobieganie gwałtom w rejonach konfliktów zbrojnych.

Czy USA w najbliższych latach będą wyznaczać nie tylko, kto rządzi w Wenezueli, lecz także kto może być premierem Grenlandii albo szachem Iranu? Zobaczymy. Pewne jest jedno: w erze zapoczątkowanej przez Donalda Trumpa znów liczą się tylko gospodarcze wpływy i militarna siła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

Okupacja, czyli nowe życie

Maciej Pieczyński

Rosjanie chwalą się odbudową Mariupola ze zniszczeń wojennych. Z wielką pompą otworzyli słynny teatr, który wcześniej sami zbombardowali. Z miasta uczynili witrynę, która ma pokazać, że pod ich rządami życie na okupowanych terenach wraca do normy

Taniec na kościach". Tak ukraińskie media nazwały huczne otwarcie przez Rosjan mariupolskiego teatru. To miejsce jednej z najbardziej znanych zbrodni wojennych, dokonanych na ukraińskiej ludności cywilnej podczas obecnej wojny. 16 marca 2022 r. teatr został zbombardowany przez lotnictwo agresora, mimo że na placu przed budynkiem widniał wielki napis „dzieci" po rosyjsku. Ukrywało się tam od 1 tys. do 1,2 tys. cywilów. W rezultacie nalotu zginęło między 300 a 600 z nich. Z kolei według wersji Rosjan teatr został wysadzony w powietrze przez Siły Zbrojne Ukrainy. Jak zwykle, jeśli Kreml nie neguje jakiejś zbrodni na ukraińskich cywilach, to winnych szuka wśród żołnierzy pułku „Azow".

Po ponad trzech latach władze okupacyjne odbudowały zniszczony gmach. Instytucja, otwarta 28 grudnia, zmieniła nazwę. Był Doniecki Akademicki Obwodowy Teatr Dramatyczny. Jest Mariupolski Republikański Akademicki, Nagrodzony Orderem Znak Honoru Rosyjski Teatr Dramatyczny. Dlaczego „republikański"? Bo miasto formalnie należy do Donieckiej Republiki Ludowej – podmiotu Federacji Rosyjskiej. Sowieckim Orderem Znak Honoru za zasługi dla kultury teatr został nagrodzony w 1978 r., przy okazji 100. rocznicy swojego istnienia. Przymiotnik „rosyjski" w nazwie dziwić nie może. Moskwa nie tylko oficjalnie zaanektowała cały Donbas (w tym Mariupol), lecz także traktuje te tereny jako swoje odwieczne ziemie, które już na zawsze wróciły do macierzy.

„To sygnał dla całego świata, że nie da się zabić naszej kultury" – tak otwarcie teatru komentował w rozmowie z mediami Władimir Maszkow. Na ceremonii pojawił się jako przewodniczący Związku Działaczy Teatralnych Rosji. Maszkow to jednak także jeden z najpopularniejszych i najwybitniejszych rosyjskich aktorów. Zasłynął m.in. tytułową rolą w słynnym filmie sensacyjnym „Oligarcha" Pawła Łungina z 2002 r. Maszkow należy do tych działaczy kultury rosyjskiej, którzy otwarcie poparli „specjalną operację wojskową".

TANIEC NA KOŚCIACH

W uroczystym otwarciu (którego częścią był koncert mariupolskich i petersburskich artystów) udział wzięli też szef tzw. Donieckiej Republiki Ludowej Denis Puszylin oraz gubernator Sankt Petersburga Aleksandr Biegłow. Ten ostatni podczas oficjalnego przemówienia wyraził żal z powodu zniszczenia teatru przez „ukraińskich nazistów". To właśnie petersburskie firmy, za petersburskie pieniądze, odbudowały gmach. Z budżetu „północnej stolicy" Rosji na ten cel przeznaczono 13 mln rubli (ponad 570 tys. zł).

Pochodząca z Mariupola ukraińska dziennikarka Anna Murłykina na podstawie rozmów z mieszkańcami twierdzi, że po zdobyciu miasta wokół ruin teatru unosił się trupi zapach. W grudniu 2022 r. władze okupacyjne zadecydowały o demontażu tego, co zostało ze zbombardowanego budynku. W marcu 2023 r. ruszyły prace budowlane. Jak twierdzi Kijów, ciała ofiar nalotu Rosjanie zalali betonem. Jeśli wierzyć tej wersji, to teatr został odbudowany dosłownie na kościach.

Na stronie internetowej teatru ze świecą szukać szczegółowych informacji zarówno o tragedii 2022 r., jak i o ukraińskiej przeszłości sceny. Repertuar będzie zdominowany przez sztuki rosyjskich dramatopisarzy: Czechowa, Bułhakowa, Wampiłowa, Puszkina. Jednak, według byłego doradcy mera Mariupola Petra Andriuszczenki, odbudowa nie została dokończona, więc w najbliższym czasie spektakle będą się odbywać w budynku miejscowej filharmonii.

Niezależnie jednak od tego, czy teatr mariupolski jest (jak zapewniają Rosjanie) w pełni gotowy na przyjęcie tłumów widzów czy też (jak twierdzą Ukraińcy) jest jedynie potiomkinowską wioską, pewne jest jedno: władze rosyjskie robią wiele, aby na terenach okupowanych stworzyć iluzję powrotu do normalnego życia. Teatr jest przykładem symbolicznym. Do niedawna kojarzył się głównie z wojną. Teraz ma być najważniejszą areną powrotu kultury rosyjskiej na „wyzwolony" Donbas. Sercem rusyfikacji regionu. Na odbudowie położonego nad Morzem Azowskim miasta mocno lansują się władze petersburskie. Za ich pieniądze w Mariupolu z gruzów podniesiono ok. 500 obiektów. Oprócz teatru – szpital, akademik czy centrum onkologiczne. Petersburg oficjalnie został uznany „bratnim miastem" Mariupola.

DRAMATYCZNA CODZIENNOŚĆ

Rzeczywistość zwykłych mieszkańców nie wygląda jednak tak różowo,

eprasa.pl 6f6219898c

jak to przedstawiają kremlowskie i prokremlowskie media. W Internecie pojawiło się krótkie nagranie, na którym jakoby mieszkanka Mariupola recytuje napisany przez siebie wiersz o treści: „Czekaliśmy na Rosję, marzyliśmy o niej, / Lecz nas oszukali, przyszła DNR (Doniecka Republika Ludowa), / Wszystko, cośmy mieli, / Spłonęło do cna, / A zamiast mieszkania została nam buda". Rymowanka oddaje nastroje „żdunów", zawiedzionych „wyzwoleniem". Władze Mariupola na początku stycznia zwiększyły opłaty za usługi komunalne. Za wodę – dwukrotnie, choć jest ona dostępna jedynie przez kilka godzin na dobę. W niektórych blokach wody brakuje przez całe tygodnie. Podobna sytuacja miała miejsce w tzw. Ługańskiej Republice Ludowej. W części miejscowości woda i ogrzewanie stały się rzadkością. Zdarza się, że mieszkańcy są zmuszeni pić wodę z zimnych grzejników. Ponadto w tamtejszych kopalniach rosyjscy inwestorzy przestali płacić pensje górnikom.

Niezależny internetowy portal rosyjskojęzyczny Astra opublikował 2 stycznia na Telegramie nagranie, na którym swoją dramatyczną sytuację opisuje Ludmiła Sypczenko z Mariupola. Przed wojną żyła w trzypokojowym mieszkaniu. Rosjanie wyburzyli jej blok, by na jego miejscu wybudować nowy, na sprzedaż. Władze okupacyjne obiecały mieszkance nowe lokum. Sypczenko złożyła odpowiedni wniosek. Okazało się jednak, że urzędnicy „zgubili" dokumenty. „Myślę, że to było zrobione specjalnie, żeby wielu ludzi pozbawić w ogóle mieszkania. Zwróciliśmy się potem do prokuratury, ale nawet prokurator od razu mi powiedział, że nic się nie da zrobić" – mówi Sypczenko na nagraniu. Jak zapewnia, w swojej sprawie skarżyła się do różnych instytucji. Bez skutku. Władze zaproponowały jej jedynie niewielkie odszkodowanie. Zbyt niskie, żeby kupić za nie nowe lokum. Od półtora roku Sypczenko mieszka w mieszkaniu koleżanki, która wyjechała z miasta. Płaci jedynie za usługi komunalne. Niedawno administracja wyłączyła jej prąd – jakoby z powodu zadłużenia. Gdy zwróciła się do lokalnego operatora energii elektrycznej, usłyszała, że skoro mieszkanie nie ma właściciela (koleżanka przebywa na Ukrainie), to nie powinno być tam również prądu. „Jutro pół Mariupola będzie na ulicy" – twierdzi Ludmiła Sypczenko. Jej zdaniem takich jak jej przypadków jest w mieście sporo. W sąsiedzkim bloku opieczętowano wszystkie mieszkania, choć wciąż żyją tam ludzie.

Władze najpierw namawiają przedsiębiorców, by za własne pieniądze odbudowali jakiś budynek, który w zamian mają otrzymać na własność. A potem obiekt przejmują. Okupanci po prostu przejmują lokalne biznesy

Od grudnia 2025 r., na mocy nowych przepisów, żeby uznać daną nieruchomość za bezpańską, nie jest już potrzebny wyrok sądu. Wystarczy decyzja władz administracyjnych. Skrócono też czas, jaki mieszkańcy mają na udowodnienie, że są właścicielami lokali, w których mieszkają. Muszą to zrobić do 1 lipca 2026 r.

Okupanci wyburzają zniszczone w trakcie działań wojennych bloki i budują nowe. Zamiast jednak zasiedlać w nich głównie pozbawionych dachu nad głową miejscowych, sprowadzają nowych mieszkańców z Rosji. Miejscowi zmuszeni są, tak jak Ludmiła Sypczenko, zajmować mieszkania po tych, którzy z miasta wyjechali. Władze wykorzystują nieobecność właścicieli i takie lokale przejmują, by następnie przekazywać je stacjonującym w Mariupolu pracownikom rosyjskiej budżetówki. Ponadto aktywiści informują o dużej liczbie odmów powrotu do miasta jego mieszkańcom, którzy po wybuchu wojny wyjechali na stronę ukraińską. Oficjalnie tłumaczy się to względami bezpieczeństwa. Jest to jednak również kolejny sposób na wymianę ludności.

Problem mieszkaniowy w Mariupolu nie jest niczym nowym. Narastał od dłuższego czasu. Mieszkańcy próbowali go rozwiązać w sposób typowy dla mentalności rosyjskiej (co dziwić nie może, biorąc pod uwagę rzeczywistą kulturową bliskość Donbasu z Rosją). Czyli: zwracając się bezpośrednio do „cara", z nadzieją, że ukarze winnych zaniedbań „złych bojarów". W ciągu ostatnich kilku miesięcy w Internecie pojawiło się mnóstwo nagrań, na których mieszkańcy Mariupola proszą Putina o pomoc. Najczęściej skarżyli się na to, że władze okupacyjne obiecywały mieszkanie w zamian za zniszczony podczas

eprasa.pl 6f6219898c

Jak twierdzi Kijów, ciała ofiar nalotu na teatr w Mariupolu Rosjanie zalali betonem. Jeśli wierzyć tej wersji, to teatr został odbudowany dosłownie na kościach. Zdjęcie z ceremonii jego ponownego otwarcia

FOT. ALEXANDER IVANOV/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

działań wojennych dom, a zamiast tego na jego miejscu budowali wielopiętrowy blok do sprzedaży na kredyt hipoteczny. Efekt? Mieszkańcy, którzy publicznie apelowali do Putina o wsparcie, zostali wezwani na przesłuchania przez policję Donieckiej Republiki Ludowej. Zagrożono im, że apele wideo zostaną potraktowane jako… nielegalne demonstracje antyrządowe. To zaś oznaczałoby wyroki dla „protestujących". Jedna z mieszkanek miała usłyszeć ostrzeżenie, że jej działalność może zostać zinterpretowana jako ekstremizm. Co znamienne, mieszkańcy zazwyczaj nagrywali swoje apele w miejscach, gdzie zburzono ich domy, a teraz powstają tam nowe bloki. Nieprzypadkowo najwięcej nagrań powstało w listopadzie i grudniu, czyli niedługo przed „bezpośrednią linią" Putina. Czyli przed wielkim medialnym wydarzeniem, w którego ramach prezydent Rosji przez wiele godzin publicznie odpowiada na pytania obywateli, wyświetlane na wielkim ekranie. To wielki spektakl, który ma pokazać, jak bardzo „car" kocha swój „lud". Jednak akurat Mariupolanom zablokowano możliwość zadania pytania podczas „bezpośredniej linii".

Do Putina o pomoc zwracają się nie tylko mieszkańcy, którym odebrano dach nad głową, lecz także przedsiębiorcy, którym odebrano ich biznes. „Szanowny Władimirze Władimirowiczu, nasz prezydencie! My, przedsiębiorcy z miasta Mariupola, prosimy pana o pomoc" – od tych słów zaczyna się kolejny apel opublikowany w Internecie 20 grudnia. Na nagraniu widać dziewięcioosobową grupę kobiet w różnym wieku. Stoją przy barze, najpewniej w jakimś lokalu gastronomicznym. Na ścianie wisi flaga Rosji, a obok – zdjęcie Putina. „Administracja miasta wydała nam zgodę na odbudowę obiektów, a po tym, jak je odbudowaliśmy, zaczęto nam je po prostu odbierać. Prosimy pana o pomoc i wsparcie. Prosimy, by zwrócił pan na nas swoją uwagę" – mówią kobiety. Według ukraińskich władz miasta to rozpowszechniona praktyka. Władze najpierw namawiają przedsiębiorców, by za własne pieniądze odbudowali jakiś budynek, który w zamian mają otrzymać na własność. A potem obiekt przejmują. Okupanci po prostu przejmują lokalne biznesy.

ROSJA ZAPUSZCZA KORZENIE

Tymczasem rosyjskie media pod koniec 2025 r. triumfalnie informowały o tym, jak prężnie rozwija się mieszkalnictwo w „nowych regionach" Federacji. 29 listopada 525 rodzin otrzymało klucze do nowych mieszkań w trzech nowych blokach mieszkalnych w Mariupolu, wybudowanych przez JugStrojInwest – jednego z największych rosyjskich deweloperów, w ramach projektu „Rezydencja". Kierownictwo firmy chwali „bezprecedensowe" wsparcie, którego federalne i regionalne władze rosyjskie udzieliły branży budowlanej. Od początku okupacji w mieście do użytku oddanych zostało siedem bloków mieszkalnych wybudowanych przez JugStrojInwest. W połowie grudnia deweloper ogłosił sprzedaż mieszkań nad samym morzem, w ramach projektu „Rezydencja Select". „Wokół jest wszystko, czego potrzeba – plac zabaw, boisko, sklepy, szkoły, przychodnie, przystanki transportu miejskiego. Dziesięć minut drogi nad Morze Azowskie" – czytamy w ogłoszeniu. Obraz miasta, kwitnącego pod rządami nowych gospodarzy, przedstawiają również lokalni blogerzy i influencerzy, w tym Jelizawieta Czerniakowa, Kirił Sazonow, Paweł Karbowski i Irina Miszyna. Cała czwórka zgodziła się odpowiedzieć na pytania „The Telegraph". W rozmowie z brytyjskim dziennikiem młodzi liderzy internetowej opinii zaprzeczyli, jakoby za swoje materiały dostawali pieniądze od okupantów. Zapewniali natomiast, że chcą po prostu mówić prawdę. Prawda jest zaś taka, że Mariupol obecnie wspaniale się rozwija… Według „The Telegraph" na terenach okupowanych powstają specjalne „szkoły blogerów". Są to dwutygodniowe kursy dla osób między 16. a 25. rokiem życia, na których można się dowiedzieć, jak zdobyć nowych subskrybentów wśród rosyjskich internautów. Elina Beketova, ekspertka amerykańskiego think tanku Centrum Analiz Polityki Europejskiej, w rozmowie z agencją Unian ocenia, że Rosjanie za pośrednictwem popularnych w mediach społecznościowych influencerów prowadzą skoordynowaną akcję propagandową, mającą na celu popularyzację narracji o tym, jak Moskwa skutecznie odbudowuje zniszczone podczas wojny miasta. Chodzi o to, by pokazać, że w Rosji żyje się lepiej niż na Ukrainie.

Nawet zwolennicy Putina skarżą się na działania okupacyjnych władz. Rosjanie nie ufają mieszkańcom Mariupola, również tym, którzy witali ich z kwiatami. Prowadzą politykę wymiany ludności, sprowadzając nad Morze Azowskie lojalnych pracowników budżetówki. Można z oburzeniem komentować „taniec na kościach". Faktem jednak jest, że Moskwa w Mariupolu – jak i w całym Donbasie – zapuszcza korzenie. Niezadowolonych okupanci z łatwością spacyfikują. Szczególnie że co do zasady rosyjskojęzyczni Ukraińcy z Donbasu w swej masie z natury są (w typowo sowiecki sposób) bierni i niezdolni do oporu. Maksimum tego, na co ich stać, to nieśmiałe apele do miłościwie panującego prezydenta Rosji. Wszystkich Mariupolan Moskwa na ulicę nie wyrzuci. Spora ich część prędzej czy później uwierzy zatem w „szklane domy", nawet jeśli w nich nie zamieszka. Wielu z pewnością woli żyć dalej, niż wciąż przeżywać pamięć o ofiarach rosyjskich bombardowań. Jeśli więc sytuacja na froncie znacząco się nie zmieni, to kwestią czasu jest, gdy z „potiomkinowskiej wioski" Mariupol stanie się prawdziwą witryną „rosyjskiego świata". A na scenie tamtejszego teatru, już w pełni odbudowanego, będzie królować kultura Rosji, coraz mniej traktowanej jako okupant, coraz bardziej – jako gospodarz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

***Jacques Baud** jest szwajcarskim oficerem w stanie spoczynku (pułkownikiem), byłym analitykiem szwajcarskiego wywiadu strategicznego i specjalistą do spraw bezpieczeństwa. Pracował m.in. dla ONZ oraz NATO w obszarach rozbrojenia, zwalczania terroryzmu i analiz konfliktów zbrojnych. Ma na swoim koncie wiele książek, w tym popularną „The Russian Art of War". Rozmowa z Baudem została przeprowadzona w listopadzie 2025 r., zanim Unia Europejska 15 grudnia wpisała go na listę sankcyjną, w ramach szerszego pakietu środków wymierzonych w osoby zaangażowane w to, co Bruksela określa jako „działania destabilizujące" związane z wojną Rosji przeciwko Ukrainie. Jacques Baud zdecydowanie odrzuca zarzuty. Twierdzi, że nigdy nie korzystał z rosyjskich źródeł, opierał się wyłącznie na materiałach zachodnich i ukraińskich oraz odmawiał występów w rosyjskich mediach państwowych.*

Z Jakiem Baudem, szwajcarskim ekspertem wojskowym
rozmawia Michał Krupa

Rosja wojnę z Ukrainą wygrywa

FOT. KREMLIN.RU

MICHAŁ KRUPA: Od początku wojny na Ukrainie w zachodnich mediach dominuje jedna narracja: Rosja jest militarnie zacofana, walczy „sowieckimi metodami", ponosi ogromne straty, a jej sukcesy są jedynie pozorne. Tymczasem pan – wbrew temu przekazowi – twierdzi, że Rosja tę wojnę wygrywa. Dlaczego?

JACQUES BAUD: Pierwszą i najważniejszą zasadą wywiadu strategicznego jest to, by nigdy nie lekceważyć przeciwnika. Bez względu na to, czy go lubimy czy nie. To nie jest kwestia sympatii czy moralnej oceny, lecz chłodnej analizy. Sun Tzu pisał o tym ponad dwa tysiące lat temu: „Jeśli znasz wroga i znasz siebie, to nie musisz obawiać się wyniku stu bitew". Zachód złamał tę zasadę już na samym początku.

Stworzono uproszczony, wręcz karykaturalny obraz Rosji: pijani żołnierze, skorumpowani dowódcy, brak technologii, kradzione mikroczipy z pralek. Taki obraz dobrze sprzedaje się medialnie, ale nie ma nic wspólnego z realną oceną przeciwnika. Efektem było strategiczne błędne kalkulowanie – i to Ukraina zapłaciła za to najwyższą cenę.

Co konkretnie Zachód źle zrozumiał?

Przede wszystkim cele wojny. Od 24 lutego 2022 r. Rosja bardzo jasno zdefiniowała swoje cele: denazyfikacja i demilitaryzacja Ukrainy. To nie są cele terytorialne. To cele odnoszące się do potencjału państwa. Denazyfikacja – w rosyjskim rozumieniu – oznacza neutralizację tych struktur paramilitarnych i ideologicznych, które od 2014 r. były używane przeciwko ludności Donbasu. Demilitaryzacja oznacza zniszczenie zdolności wojskowych Ukrainy oraz – na poziomie strategicznym – wymuszenie jej neutralności, zgodnej z pierwotnym duchem ukraińskiej konstytucji z 1996 r., która zakładała brak obcych wojsk i baz.

eprasa.pl 6f6219898c

Tymczasem Zachód mierzy postępy wojny wyłącznie mapą. Słyszymy: „Rosja zdobyła tylko 1 proc. terytorium Ukrainy w ciągu roku, więc przegrywa". To jest fundamentalne niezrozumienie rosyjskiej doktryny wojennej.

Na czym polega ta różnica doktrynalna?

Rosyjska doktryna – zarówno w czasach carskich, sowieckich, jak i dziś – jest w swej istocie clausewitzowska. Zwycięstwo osiąga się przez zniszczenie potencjału przeciwnika: jego armii, zaplecza logistycznego, zdolności mobilizacyjnych, morale. Terytorium jest wtórne. Zachód przez ostatnie 30 lat prowadził wojny ekspedycyjne, w których sukces utożsamiano z kontrolą obszaru: Irak, Afganistan, Libia. To nie są wojny porównywalne z konfliktem symetrycznym o wysokiej intensywności.

Rosja nie musi zdobywać Kijowa ani Lwowa, by wygrać. Wystarczy, że Ukraina straci zdolność do prowadzenia wojny. I dokładnie to się dzieje.

Wskazuje pan często na błąd ukraińskiej strategii obronnej.

Tak, i to błąd o ogromnych konsekwencjach. Ukraina – pod silnym naciskiem politycznym Zachodu – przyjęła strategię obrony statycznej: obrony każdego metra terytorium za wszelką cenę. To było widoczne od Bachmutu, przez Awdijiwkę, aż po Pokrowsk. Żołnierze dostawali rozkaz: „Stać i nie cofać się". Prośby o manewr, o wycofanie na lepsze pozycje były systematycznie odrzucane.

Tymczasem obrona nie musi oznaczać trzymania ziemi. Można prowadzić obronę manewrową: wycofać się, przegrupować, uderzyć w sprzyjającym momencie. Tak robili Wietnamczycy. Tak robiła armia rosyjska przeciwko Napoleonowi w 1812 r. Ukraina – z powodów politycznych i propagandowych – tego nie zrobiła. Efekt? Dziesiątki tysięcy zabitych, brak rezerw i systematyczne wyniszczenie najlepiej wyszkolonych jednostek.

Czyli Rosjanie wykorzystali błąd przeciwnika?

W sposób podręcznikowy. Rosja prowadzi dziś wojnę na wyniszczenie. Liczba zabitych i rannych żołnierzy ukraińskich jest realnym miernikiem „zwycięstwa", a nie liczba kilometrów kwadratowych na mapie. Im dłużej trwa wojna, tym gorsza jest sytuacja Ukrainy. I to jest brutalna prawda, której w Europie nikt nie chce słuchać.

Wspomina pan też o zdolności Rosjan do adaptacji.

To kolejny element kompletnie ignorowany na Zachodzie. Rosjanie są niezwykle adaptacyjni. Zmienili taktykę, strukturę dowodzenia, sposób użycia artylerii, dronów, walki radioelektronicznej. Wojna, którą widzimy dziś, nie ma wiele wspólnego z pierwszymi tygodniami 2022 r. Ale te zmiany nie były chaotyczne – były systemowe i spójne.

W październiku 2022 r. gen. Surowikin jasno ogłosił zmianę podejścia: koniec dużych operacji manewrowych, przejście do strategii systematycznego wyniszczania potencjału przeciwnika. Od tego momentu Rosja realizuje tę strategię konsekwentnie – i skutecznie.

Przejdźmy do kwestii, która wzbudziła duże zainteresowanie w NATO: rosyjskie systemy Oresznik i Burewestnik.

To dwa zupełnie różne, ale równie niepokojące systemy. Oresznik to hipersoniczny pocisk z wieloma głowicami powrotnymi. Jego prędkość jest tak ogromna, że nie wymaga klasycznego ładunku wybuchowego – sama energia kinetyczna wystarcza do zniszczenia celu. To sprawia, że jest niemal niemożliwy do przechwycenia przez obecne systemy obrony przeciwrakietowej. Od początku tego roku jest produkowany seryjnie.

Burewestnik jest jeszcze bardziej rewolucyjny. To pocisk manewrujący z napędem jądrowym. Oznacza to praktycznie nieograniczony zasięg. Może okrążyć Ziemię i uderzyć z dowolnego kierunku. Leci bardzo nisko, co czyni go ekstremalnie trudnym do wykrycia. Może ominąć klasyczne systemy wczesnego ostrzegania, zaprojektowane jeszcze w czasach zimnej wojny.

Czy Zachód ma odpowiedź na te technologie?

Nie. Ani Stany Zjednoczone, ani Europa nie dysponują dziś operacyjnymi odpowiednikami. Amerykańskie programy hipersoniczne kończyły się niepowodzeniem. Rosja i Chiny są w tych technologiach co najmniej dekadę do przodu. Europejska tarcza antyrakietowa – wbrew propagandzie – nie chroni Europy, lecz kontynentalne USA. I w razie konfliktu stanie się jednym z pierwszych celów.

Co to oznacza dla bezpieczeństwa Europy?

Ogromne ryzyko. Kluczowym problemem jest brak strefy buforowej między mocarstwami jądrowymi. W czasie zimnej wojny istniały tysiące kilometrów dystansu i czas na reakcję, na komunikację, na deeskalację. Jeśli rakiety stoją kilkadziesiąt kilometrów od granicy, to nie ma czasu. Ryzyko przypadkowej eskalacji dramatycznie rośnie. Dlatego Rosja od lat domaga się nowej architektury bezpieczeństwa w Europie.

Czy realne jest dziś zakończenie wojny?

Jeśli obecna trajektoria się utrzyma, to Ukraina może przestać istnieć w dotychczasowej formie. Rosja osiągnie swoje cele: kontrolę nad czterema obwodami i neutralność Ukrainy. Każde realne rozwiązanie musi to uwzględniać. Potrzebny jest nowy system bezpieczeństwa oparty na współpracy, a nie konfrontacji. Taki model istniał w Europie – chociażby w przypadku neutralności Szwajcarii. Ukraina proponowała podobne rozwiązanie w 2022 r. Zablokowała je Europa.

Ukraina ma interes w prowokacjach, które wciągną NATO głębiej w konflikt z Rosją

Na koniec zapytam o sprawę sabotażu linii kolejowej w Polsce.

Z punktu widzenia wywiadu kluczowe pytanie brzmi: Kto na tym zyskuje? Rosja ma na Ukrainie rozbudowane struktury oporu, które skutecznie niszczą transporty. Nie ma logicznego powodu, by przenosić takie operacje do Polski. Ukraina natomiast ma interes w prowokacjach, które wciągną NATO głębiej w konflikt. Historia Nord Stream powinna nas nauczyć ostrożności. Dziś bardziej pasuje scenariusz operacji false flag niż rosyjskiego sabotażu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

KSeF, czyli planowany chaos

Jakub Wozinski

PiS, a następnie KO przygotowały jeden z najbardziej restrykcyjnych i uciążliwych systemów rejestracji faktur na świecie, który korzyści przynieść może jedynie urzędnikom i międzynarodowym korporacjom

Krajowy System e-Faktur to wspólne dzieło PiS i KO, które należy rozpatrywać w kategoriach świadomego sabotażu polskiej gospodarki.

Ustawa zakładająca wprowadzenie KSeF została przyjęta przez Sejm 12 czerwca 2023 r. Mimo że inicjatywa ta nie stanowiła elementu implementacji jakiejkolwiek unijnej dyrektywy, lecz była autorską koncepcją Zjednoczonej Prawicy, została z entuzjazmem podchwycona przez koalicję 13 grudnia. Rząd Donalda Tuska mógł najzwyczajniej w świecie zrezygnować z KSeF i przedstawić go jako szkodliwy element rządów swoich przeciwników, lecz wybrał wdrożenie go w ekspresowym tempie.

CICHA REWOLUCJA

Hasło „cyfryzacja" stanowi rodzaj współczesnego magicznego zaklęcia. Zgodnie z promowaną usilnie ideologią zrównoważonego rozwoju twierdzi się na ogół, że im szybciej cała gospodarka zostanie przeniesiona do sfery cyfrowej, tym bardziej wzrosną efektywność, wygoda i oszczędność. W wielu aspektach życia cyfryzacja rzeczywiście przynosi wymierne korzyści, lecz w obszarze raportowania sprzedaży dóbr i usług efekty mogą być jedynie katastrofalne. Na ołtarzu cyfryzacji systemu wystawiania faktur składana jest bowiem ofiara z naszej prywatności, biznesowego know-how i niezależności wobec państwa.

Według pierwotnych planów rządu Mateusza Morawieckiego Krajowy System e-Faktur miał wystartować już 1 stycznia 2024 r. Jeśli szukać jakichkolwiek pozytywów z faktu objęcia władzy przez Donalda Tuska, to należałoby do nich z pewnością zaliczyć przesunięcie tego terminu o dwa lata. Decyzja premiera z Sopotu okazała się jednak zaledwie odroczeniem wyroku, gdyż z drobnymi modyfikacjami system ma działać w pełni już od 1 stycznia 2027 r. Najpierw od 1 lutego 2026 r. KSeF zacznie obowiązywać duże firmy, potem od 1 kwietnia pozostałe, aż wreszcie obejmie także mikroprzedsiębiorców.

Księgowi w całej Polsce zwracają uwagę na to, że większość podmiotów objętych obowiązkiem korzystania z KSeF nadal nie zrozumiała tego, jak wielka rewolucja czeka polską gospodarkę. Sporo osób zakłada, że to zaledwie kolejna zmiana, do której z czasem się dostosują. Wystarczy jednak wspomnieć o tym, że zgodnie z ustawą przyjętą przez rząd już wkrótce wszystkie faktury będą wystawiane i odbierane tylko przez rządową aplikację. Każda faktura otrzyma swój unikalny kod i będzie natychmiastowo dostępna dla urzędników skarbówki. Ujmując rzecz w największym możliwym skrócie, od 2026 r. państwo stanie się Wielkim Bratem przyglądającym się w trybie „na żywo" wszystkim przepływom towarów i usług, a w razie potrzeby także finansowym.

Wzorem słynnej amerykańskiej firmy dostarczającej oprogramowanie do analizy danych KSeF mógłby się tak naprawdę nazywać Palantir. Obsługujący daną firmę urzędnik będzie bowiem w stanie poznać pełną listę kontrahentów, kwoty umów, zasady rozliczania, marże i wszelkiego rodzaju wrażliwe dane, które mają często kluczowe znaczenie przy prowadzeniu biznesu. Teoretycznie za ujawnienie tego rodzaju informacji osobom trzecim pracownik skarbówki może zostać surowo ukarany, ale kradzież biznesowego know-how jest przecież praktycznie nie do wykrycia.

BIZNES NA RZĄDOWEJ CHMURZE

Opisane tu zagrożenie dotyczy zresztą nie tylko urzędników polskiego fiskusa, lecz także ewentualnego przejęcia danych przez obce podmioty. Już niedługo wszystkie faktury wystawiane przez polski biznes znajdą się w jednej, rządowej bazie danych. Rząd Donalda Tuska naraził tym samym rodzimych przed-

eprasa.pl 6f6219898c

FOT. ADOBE STOCK

siębiorców na znaczne ryzyko związane z potencjalnymi atakami hakerskimi, przed którymi do tej pory wszyscy bronili się w lepszy, bo zdywersyfikowany sposób.

Rząd zapewnia oczywiście, że dane przechowywane w KSeF będą bezpieczne, ale gdyby wierzyć jego zapewnieniom, to nowy system nie przedstawiałby żadnych trudności związanych z wystawieniem wielkich liczb faktur przez kilka milionów firm w tym samym czasie. Tymczasem początkowo instrukcje Ministerstwa Finansów wspominały, że w czasie jednej sesji jeden podmiot będzie mógł wystawić w KSeF aż 10 mln faktur, lecz ostatnio mówi się już tylko o 10 tys. Specjaliści z firm informatycznych już teraz zalecają klientom, aby firmy wystawiające bardzo dużą liczbę faktur starały się robić to poza godzinami szczytu. Najwięcej wątpliwości wzbudza jednak to, czy serwery KSeF zdołają przetrwać ostatnie godziny każdego miesiąca, gdy miliony Polaków będą starały się jeszcze zarejestrować sprzedaż w celu uniknięcia wyższych podatków w kolejnym miesiącu.

Zgodnie z logiką przyjętą przez twórców KSeF polski biznes ma docelowo nie tylko nie zwlekać z wystawianiem faktur, lecz także zostać zmuszony do – jak głoszą oficjalne instrukcje – „pracy na danych w czasie bliskim rzeczywistemu". Podatkowy Wielki Brat chce dosłownie mieć wgląd w całą gospodarkę w trybie „na żywo", przekonując, że tylko w ten sposób uda się wyeliminować szarą strefę, wyłudzenia VAT i wszelkiego rodzaju przestępstwa podatkowe. Nie trzeba być jednak jasnowidzem, aby przewidywać, że zaborczość i dążność do powszechnej inwigilacji wywołają efekt odmienny od zamierzonego. Zamiast uszczelnienia systemu podatkowego i wzrostu transparentności system KSeF doprowadzi do sytuacji, w której obywatele znajdą jeszcze bardziej wymyślne niż dzisiaj sposoby na to, aby nie podzielić się z państwem swoimi dochodami i pozostać w trybie off-line.

Skuteczność KSeF może zostać zwiększona jedynie poprzez stopniowe eliminowanie gotówki i stałe ograniczanie dopuszczalnej wartości transakcji gotówkowych (obecnie jest to kwota 15 tys. zł). W tym zakresie obecna ekipa rządząca również kontynuuje strategię obraną przez PiS, z którego inicjatywy instytucje publiczne wspólnie z sektorem bankowym uruchomiły w 2018 r. program Polska Bezgotówkowa. W ubiegłym roku rząd zatwierdził kontynuację programu aż do 2028 r.

DOGADZANIE KORPORACJOM

Przekonanie, że przedsiębiorcy powinni wystawiać faktury w czasie rzeczywistym, jest jednym z najbardziej bolszewickich, które zatriumfowało wśród rządzących w ostatnich latach. Z tej perspektywy każdy „prywaciarz", który funkcjonując w zagmatwanym polskim systemie podatkowym, stara się przesuwać koszty i przychody pomiędzy poszczególnymi okresami podatkowymi w celu wypracowania zysku, z definicji staje się oszustem. W czasach, gdy wielkie międzynarodowe korporacje urządzają sobie jawną kpinę z polskiego państwa, wykazując powszechnie śladowy CIT do zapłaty, rodzime podmioty będą zmuszone do tego, aby w jeszcze krótszym niż dotąd czasie zbalansować swoje rachunki. Nawet polskie państwo zastrzega sobie co roku prawo do przerzucania przychodów i kosztów pomiędzy poszczególnymi miesiącami, a nawet latami, lecz tylko sektor prywatny ma wszystko rozliczać w trybie natychmiastowym.

Tak jak większość rozwiązań podatkowych i prawnych wprowadzanych rzekomo w imię bezpieczeństwa KSeF w sposób oczywisty premiuje większe podmioty. Organizacyjny i kosztowy ciężar fakturowania w czasie bliskim

eprasa.pl 6f6219898c

rzeczywistemu dużo sprawniej udźwigną korporacje, które i tak posiadają już rozbudowane działy kadrowo-księgowe. Dla małych i średnich firm KSeF oznaczać będzie jednak rewolucję mającą oczywiście największy wpływ na podmioty wystawiające dużą liczbę faktur. Wprowadzenie nowego systemu to kolejny już ciężar biurokratyczny silnie ingerujący w kwestie organizacyjne, odbierający przedsiębiorcom cenny czas oraz zmuszający do wielu wydatków na cele informatyczne.

Twórcy KSeF bardzo optymistycznie założyli przy tym, że dostęp do Internetu jest dziś wszędzie taki sam jak w centrum Warszawy. Tymczasem znaczna liczba podmiotów działających na prowincji ma w tym zakresie spore utrudnienia. Z myślą o nich przygotowano specjalne procedury przewidujące wystawianie faktur off-line, które jednak są bardzo pogmatwane i zmuszą wielu mikroprzedsiębiorców do bardzo uciążliwych i czasochłonnych działań odrywających ich od pracy.

PSEUDOOSZCZĘDNOŚĆ

KSeF jest przedstawiany wszędzie jako rozwiązanie bardzo „ekologiczne", ponieważ ma za zadanie przenieść faktury do świata cyfrowego. Twórcy systemu nie chcieli jednak wziąć pod uwagę faktu, że tradycyjna faktura stała się stopniowo swego rodzaju umową zawieraną pomiędzy stronami. Oznacza to, że w wielu przypadkach pomimo wystawienia dokumentu w KSeF strony transakcji i tak będą chciały zachować papierową wersję. Tym bardziej że w znacznej liczbie ustaw i rozporządzeń zawarte są wciąż zapisy nakładające obowiązek przedstawienia faktur do rozliczenia. Jak informowała niedawno „Rzeczpospolita", przy wnioskach składanych do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, PFRON, Polskiej Agencji Rozwoju czy też BGK nadal wymagane są załączniki w postaci faktur w tradycyjnej formie, które w świetle przepisów o KSeF są już dokumentami cyfrowymi.

Wprowadzenie KSeF sprawi, że przez najbliższe miesiące cała Polska będzie zapewne musiała podpisywać aneksy do umów lub podpisywać je na nowo. Faktury w dotychczasowej formie (nawet cyfrowej, ale nie tej obsługiwanej przez system KSeF) były de facto jednym z fundamentów dotychczasowego systemu regulującego stosunki gospodarcze. Usuwając ten fundament, rząd już teraz skazał całą rodzimą gospodarkę na prawdziwy chaos.

Podstawowa wątpliwość związana z KSeF dotyczy jednak tego, czy jego wprowadzenie rzeczywiście pozwoli – jak przekonuje rząd – ograniczyć koszty administracyjne, uszczelnić system podatkowy oraz zwiększyć cyfryzację gospodarki. Odpowiedź brzmi, że w oczywisty sposób nie. Koszty rozliczania się z podatków zdecydowanie wzrosną, ponieważ nawet jeśli faktury będą pojawiały się natychmiastowo w rządowej chmurze, to i tak przedsiębiorcy stracą mnóstwo czasu na obowiązki związane z koniecznością raportowania w czasie rzeczywistym. Na zwiększone przychody podatkowe państwa też nie ma co liczyć, ponieważ skrajna restrykcyjność KSeF skłoni wiele podmiotów do ucieczki do szarej strefy. Najbardziej prawdopodobne wydaje się jedynie zwiększenie poziomu cyfryzacji, choć – jak wskazano powyżej – i tak najprawdopodobniej będzie występował podwójny obieg dokumentów.

W imię iluzorycznych korzyści dla polskiego budżetu wprowadzany jest skrajnie niebezpieczny system uderzający w prywatność i swobodę prowadzenia działalności gospodarczej

Jedną z istotnych trudności związanych z KSeF jest to, że dotychczas spornej faktury można było zwyczajnie nie przyjąć i zażądać dostosowania jej zawartości do rzeczywistego przebiegu transakcji. W skrajnych przypadkach obydwie strony spotykały się w sądzie. W świetle nowych zasad praktycznie każdy podmiot jest w stanie wystawić nam w systemie KSeF fakturę, która rodzi obowiązek zapłaty podatku VAT, a ewentualne ustalenie tego, czy zawiera ona błędy, może się dokonać dopiero później. W oczywisty sposób nowe rozwiązanie zdecydowanie komplikuje rozstrzyganie wszystkich kwestii spornych, które dotąd rozstrzygano w większości z pominięciem państwa.

POLSKI ŁAD KO

Jedną z głównych przyczyn utraty władzy przez PiS był niewątpliwie Polski Ład, który uderzył w rodzimy biznes i doprowadził do trwającego wiele miesięcy chaosu podatkowego. Koalicja Obywatelska pod rządami Donalda Tuska usilnie pracuje na to, aby doświadczyć czegoś analogicznego przy pomocy Krajowego Systemu e-Faktur. Wprawdzie na obecnym etapie rząd już dawno roztrwonił istotną część poparcia społecznego, które umożliwiło mu zdobycie władzy w 2023 r., lecz zmuszając Polaków do implementacji nowego systemu, może jeszcze bardziej pogorszyć swoje notowania.

KSeF to ewidentnie jedna z najbardziej szkodliwych rzeczy, która spotkała polską gospodarkę po 1989 r. Z niezrozumiałych do końca powodów PiS, a następnie KO przygotowały jeden z najbardziej restrykcyjnych i uciążliwych systemów rejestracji faktur na świecie, który korzyści przynieść może jedynie urzędnikom i międzynarodowym korporacjom. W imię iluzorycznych korzyści dla polskiego budżetu wprowadzany jest skrajnie niebezpieczny system uderzający w prywatność i swobodę prowadzenia działalności gospodarczej.

Rok 2026 będzie niewątpliwie stał pod znakiem planowanego chaosu, który zgotowali nam twórcy KSeF. Przystosowanie się do nowego systemu zajmie zapewne rodzimemu biznesowi wiele miesięcy, choć nie brak nadziei na to, że jego wdrożenie okaże się zwyczajnie jedną wielką klapą. Słychać głosy, że wobec spodziewanej zawodności systemu informatycznego obsługującego KSeF i mnożących się trudności formalnoprawnych związanych z jego obsługą władza zostanie w końcu zmuszona do przesunięcia startu całego systemu lub całkowitej z niego rezygnacji. Wypada jedynie mieć nadzieję, że kolejne wybory parlamentarne wyłonią rząd, który tuż po objęciu władzy zlikwiduje KSeF, choć i to przekonanie zdaje się przejawem nadmiernego i nieuzasadnionego optymizmu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f6219898c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto podrzucił KSeF Tuskowi?

Pamiętają państwo tzw. Polski Ład, a potem próbę ucieczki z tej pułapki, w którą rząd Morawieckiego koncertowo sam się wpakował? A raczej wpakował w nią siebie, swój rząd i tworzący go PiS osobiście premier Morawiecki? A potem próbował siebie, swój rząd i PiS zeń wyciągnąć, uciekając w Polski Ład 2.0, Polski Ład 3.0 itd. – jeden gorszy od drugiego? No jasne, że państwo pamiętają, bo tego się przecież nie da zapomnieć; tego nie da się „odzobaczyć" i „odprzeżyć". A małe polskie firmy do dziś liżą rany po tamtej deformie Morawieckiego. I niewykluczone, że to właśnie ów tzw. Polski Ład jest dziś jedną z głównych przyczyn faktycznej niewybieralności Morawieckiego na premiera.

Właśnie dlatego z dużym zaciekawieniem obserwuję rozwój sytuacji wokół KSeF, czyli Krajowego Systemu e-Faktur. A obserwuję ów rozwój sytuacji z takim zaciekawieniem, bo jak coraz więcej znaków na niebie i na ziemi wskazuje, ów legendarny tzw. Polski Ład autorstwa premiera Morawieckiego, który politycznie „dorżnął" jego własny rząd, może okazać się „niczym" w porównaniu z tym, co może spotkać rząd Tuska w związku z „reformą KSeF", którą wkrótce zamierza narzucić premier Tusk. Narzucić, czyli w ciągu kilku najbliższych miesięcy zmusić wszystkie, co do jednej, działające w Polsce firmy do poddania się jej rygorom.

Tymczasem w sprawie mankamentów tej kolejnej po tzw. Polskim Ładzie fanaberii władzy od miesięcy pojawiają się coraz to nowe raporty. O zapychających się serwerach, o groźbie ataków hakerskich, o niemożności załatwienia w urzędach jakiejkolwiek sprawy bez obecnych, papierowych faktur, itd. I dokładnie tak samo, jak nic sobie z podobnych przestróg, płynących od analityków przed wejściem w życie tzw. Polskiego Ładu, nie robił ówczesny premier Morawiecki, tak nie słychać, by teraz cokolwiek robił sobie z takich przestróg, płynących do niego w sprawie KSeF, premier Tusk. Tym bardziej że to jedna z najbardziej restrykcyjnych, spośród i tak nielicznych, obowiązujących na świecie wersji KSeF.

A może warto, by się tymi przestrogami jednak przejął choćby z tego powodu, że KSeF jest przecież ukochanym „dzieckiem"... premiera Morawieckiego, który chciał go wprowadzić w życie – gdyby utrzymał się u władzy – już 1 stycznia 2024 r. I w ten sposób po raz trzeci wyrazić swą wielką miłość do małych polskich firm – po wcześniejszym uszczęśliwieniu ich serią rekordowych podwyżek płacy minimalnej i tzw. Polskim Ładem; wyrazić w ten sposób swą do nich wprost... ZABÓJCZO wielką miłość.

A dokończyć miłowanie na zabój tych firm rękami Tuska – za pomoca własnego konia trojańskiego KSeF – to dopiero byłaby dlań gratka! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Tęsknota za pejczem

Premier Tusk oficjalnie wyrzucił do kosza ukochany plan minister Dziemianowicz-Bąk, zakładający wyposażenie Państwowej Inspekcji Pracy w uprawnienia do natychmiastowej zamiany, decyzją administracyjną, umów cywilnoprawnych w umowy o pracę. Wydarzyło się to m.in. za sprawą głośnego sprzeciwu przedsiębiorców, w tym zrzeszonych w Radzie Przedsiębiorców, organizacji byłego rzecznika małych i średnich przedsiębiorców Adama Abramowicza.

Ogromna część Polaków po prostu nie chce wolności wyboru i wręcz domaga się większego urzędniczego zamordyzmu

Stało się dobrze, ale na kilka aspektów trzeba zwrócić uwagę. Po pierwsze – ta zmiana byłaby realizacją zapisu KPO. A zapisy KPO uzgadniał i zatwierdzał – w skandalicznym zresztą trybie, procedując je w ciągu paru godzin po nocy – premier Morawiecki. Skądinąd pakowanie Polski w KPO to w ogóle jeden z najpoważniejszych zarzutów wobec byłego szefa rządu.

Po drugie – za to, że ten i podobne pomysły powstają w resorcie rodziny, pracy i polityki społecznej, politycznie odpowiada sam premier Tusk. To on, lepiąc koalicyjną rządową układankę, zgodził się na to, żeby ministrem odpowiedzialnym w dużej mierze za regulacje dotyczące przedsiębiorców została lewicowa fanatyczka z zerowym doświadczeniem w biznesie i z biznesem. Zatem teraz Tusk naprawia problem, który przynajmniej częściowo sam stworzył.

Po trzecie – i to może jest najbardziej przerażające – z sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" wynika, że ponad 60 proc. respondentów jest za wyposażeniem PIP w uprawnienia, które chciała jej nadać minister Dziemianowicz-Bąk. Kolejny raz w kolejnej sprawie okazuje się, że ogromna część Polaków po prostu nie chce wolności wyboru i wręcz domaga się większego urzędniczego zamordyzmu, z entuzjazmem reagując na hasełka o bezpieczeństwie – socjalnym, zdrowotnym czy jakimkolwiek innym.

Gdyby dzisiejszych Polaków przenieść o 35 lat wstecz, do czasu przełomu gospodarczego końcówki lat 80. i początku 90., nigdy nie odbilibyśmy się od dna, tak jak nam się to udało. Powie ktoś, że polskie społeczeństwo dojrzało. A ja powiem, że stało się eunuchowate i tęskni za pejczem oraz kagańcem. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Koniec marzeń

W litewskich podręcznikach historii często można znaleźć opinię, że upadkowi Wielkiego Księstwa Litewskiego winna była unia z Polską, zupełnie jakby to Królestwo zadało cios w plecy północno-wschodniego sąsiada. Klęska nad rzeką Wiedroszą, dziś Selnią, koło Aleksina, ok. 20 km na południe od Dorohobuża, pokazuje jednak, co stałoby się z osamotnionym księstwem, gdyby nie coraz ściślejsze unie pomiędzy państwami, gwarantujące pomoc wojskową. Porażka oznaczała koniec mocarstwowej pozycji Litwy, która od tego czasu już tylko cofała się na zachód, tracąc kolejne ziemie na rzecz Moskwy.

Do wojny doszło za panowania wielkiego księcia Aleksandra, który nie był jednocześnie królem w Krakowie, prowadził niezależną politykę, a Litwa nie była związana z Polską. Oba kraje łączyła tylko unia wileńska, która stała się właściwie sojuszem – zakładała bowiem samodzielność polityczną obu podmiotów, gwarantowała zaś jedynie udzielanie sobie pomocy i niewypowiadanie wojen bez powiadomienia sojusznika.

RYS. MART

Wojna zaczęła się od zdrady, typowej dla ludzi Wschodu. Książę Semen Iwanowicz Bielski przeszedł bowiem na stronę wielkiego księcia moskiewskiego Iwana Srogiego razem z całym księstwem, podając jako powód próbę zmuszenia go przez księcia Aleksandra do przyjęcia wiary katolickiej. Wykorzystując ten fakt, Iwan uderzył w maju 1500 r. trzema armiami na Toropiec, Smoleńsk i Briańsk. Czwarta – pod dowództwem kniazia Daniła Szczeni – pozostawała w odwodzie w Twerze. Wojska moskiewskie dokonały ogromnych zniszczeń i zaborów, zajmując Briańsk, Mceńsk, Sierpiejsk, a także Starodub, Czernichów, Putywl, Rylsk, Homel i Nowogród Siewierski, dodatkowo Moskwę wspierał atak Tatarów krymskich pod wodzą Mengli Gereja. Pod koniec czerwca zdobyto Dorohobuż, do którego na wieść o nadciąganiu odsieczy litewskiej dotarła armia odwodowa. Po połączeniu z pozostającym tutaj wojskiem Koszkina dowództwo objął wspomniany Daniło Szczenia.

W tym samym czasie kniaź Konstanty Ostrogski dotarł z niewielkimi, liczącymi mniej niż 10 tys. siłami litewskimi do Smoleńska. Mając przeciwko sobie trzy wrogie armie, postanowił rozbić je po kolei – zaczynając od tej znajdującej się w okolicach Dorohobuża. W tym celu pomaszerował do Jelni, a potem do rzeczki zwanej Wiedrosza, nad którą znajdowała się osada o takiej samej nazwie, która dziś figuruje na mapach jako Aleksino. Naprzeciwko oczekiwały już oddziały moskiewskie.

14 lipca Ostrogski zaatakował najpierw znajdujący się po zachodniej stronie rzeki Riasnej pułk straży przedniej przeciwnika, przeciwko któremu rzucił większość sił. Siły Daniły Szczeni zostały rozbite i wycofały się na wschodni brzeg rzeczki, ponosząc straty. Popędliwy Ostrogski rzucił się w pościg, napotykając na południowym wschodzie od miejscowości Jełowa główny pułk wielki przeciwnika. Znów zaatakował go większością sił, jednak Moskale opanowali panikę i kiedy Szczenia zorientował się, że Litwini zużyli prawie wszystkie odwody, rzucił trzymany na tę chwilę pułk Koszkina, który oskrzydlił wojsko Ostrogskiego od południowego, prawego skrzydła litewskiego. Chociaż książę próbował odeprzeć uderzenie, rzucając do walki piechotę, to Moskale okrążyli armię litewską, niszcząc przy okazji most na rzece. Wojsko rzuciło się do ucieczki, wielu rycerzy i bojarów potopiło się w okolicznych rzeczkach. Bitwa skończyła się pogromem – do niewoli dostał się sam główny dowódca – książę Konstanty Ostrogski, a razem z nim cała elita litewskiej armii – Hrehory Ościk, Fedor Massalski, Mikołaj Chlebowicz, jedynie Stanisław Kiszka, Mikołaj Radziwiłł i Jerzy Pac uciekli z pola bitwy. Ostrogskiego zesłano później na północ – do Wołogdy, skąd uciekł dopiero po trzech latach.

Ogółem w bitwie zginęło ok. 5 tys. żołnierzy litewskich, połowa ówczesnej armii wielkiego księstwa. Klęska przypieczętowała utratę przez Litwę ok. jednej trzeciej terytorium, osłabiając państwo do tego stopnia, że można sądzić, iż bez polskiej pomocy zostałoby rozbite i wcielone do Moskwy już w połowie XVI stulecia. W zawartym trzy lata później pokoju Litwini stracili księstwa: Wierchowskie, Czernichowskie i Siewierskie, Lubecz i Putywl, części księstwa Mścisławskiego, Smoleńszczyzny i Połocczyzny. W dodatku książę Aleksander musiał odtąd tytułować Iwana III „Gosudarem Wsieju Rusi". Klęska zmusiła Litwę do zawarcia w 1501 r. ściślejszej unii z Polską w Piotrkowie i Mielniku, której postanowienia nie zostały jak zwykle wypełnione. Otwierała ona jednak nowy rozdział współpracy polsko-litewskiej, gwarantując stałą pomoc wojskową dla książąt. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

MITSUBISHI OUTLANDER PHEV

FOT. JAP

Czwarta generacja popularnego japońskiego SUV-a to model, który wreszcie wyraźnie odróżnia się od dziesiątek konkurencyjnych aut. Dynamicznie zarysowana sylwetka, muskularne przetłoczenia, okazała atrapa chłodnicy, spore ilości chromu oraz bardzo charakterystyczne, dzielone reflektory LED sprawiają, że auto wydaje się większe, niż jest w rzeczywistości, jakby podczas liftingu nabrało więcej pewności siebie.

Auto z napędem 4 x 4 S-AWC, 2,4-litrowym silnikiem benzynowym, dwoma silnikami elektrycznymi ma łączną moc 306 KM i maksymalny moment obrotowy na poziomie 450 Nm. Dzięki temu nowy Outlander dobrze sprawdza się nie tylko na asfalcie. Przyspieszenie od zera do 100 km/h wynosi 7,9 s. Układ kierowniczy jest precyzyjny, a auto sprawnie pokonuje kolejne serpentyny.

Japończyk nieźle czuje się również w lekkim terenie (ma nawet odpowiednie do tego tryby jazdy, choć trzeba pamiętać, że prześwit Outlandera wynosi 20 cm). Miłośników ekologii ucieszy z kolei możliwość pokonywania krótkich dystansów wyłącznie na prądzie. Według producenta zasięg w trybie EV wynosi 86 km, ale podczas testu przy –14 st. C nawet przy wyłącznie delikatnych muśnięciach nóżką pedału gazu nie dało mi się nawet zbliżyć do tego wyniku. Zimowy apetyt na tradycyjną benzynę (gdy w baterii nie ma było już w ogóle prądu) wynosił na autostradzie ok. 11 l/100 km. Przy wyższych temperaturach i spokojnej jeździe po trasie krajowej spalanie dało się jednak ograniczyć do poziomu poniżej 7 l/100 km.

Outlander czwartej generacji waży nieco ponad 2,1 t, a mierzy 471,9 cm długości, 186,2 cm szerokości oraz 175 cm wysokości. Kabina jest przestronna, świetnie zaprojektowana i wykonana z dobrej jakości materiałów. Również spasowanie poszczególnych elementów jest na poziomie marek klasy premium. Na pochwałę zasługują też bardzo dobry system audio Yamahy, wygodne skórzane fotele z funkcją masażu (a także grzania lub wentylowania), skórzane wykończenie kokpitu, a także czytelny wyświetlacz przezierny (HUD). Japończycy uniknęli też pokusy likwidacji fizycznych przycisków – będącej bolączką wielu chińskich konkurentów marki. Wystarczy rzut oka na deskę rozdzielczą i od razu wiadomo, gdzie co się włącza.

Niestety, czas na łyżkę dziegciu. A nawet na dwie łyżki. Po pierwsze, bagażnik ma zaledwie 495 l pojemności. Jak na tak dużego SUV-a – nawet z hybrydowym napędem – to mocno rozczarowujący wynik. Drugi minus dotyczy wyświetlacza multimedialnego. I nie chodzi już nawet o to, że obecnie przekątna 12,3 cala nie pozwala pokonać konkurencji z innego azjatyckiego kraju, ale np. o to, że grafiki w fabrycznej nawigacji nadal wyglądają tak, jakby od pięciu lat żaden z projektantów do nich nie zaglądał. Na szczęście system bez problemu obsługuje bezprzewodowo Android Auto i Apple CarPlay – wówczas wszystko działa szybko i wygląda nowocześnie.

Za nowego Outlandera trzeba zapłacić co najmniej 237 890 zł.

ROUTER FRITZ!BOX 4690

Dwa 10-gigabitowe porty WAN i LAN, trzy porty LAN o przepustowości 2,5 Gbit/s, obsługa Wi-Fi 7 oraz technologii Mesh – to największe zalety nowego bezprzewodowego routera znanego niemieckiego producenta urządzeń sieciowych znanego wcześniej pod nazwą AVM.

Testowane urządzenie nie jest modemem, ale wydajnym routerem z obsługą standardu Wi-Fi 7, który należy podłączyć np. do modemu światłowodowego. Fritz!Box 4690 pracuje w dwóch pasmach, oferując teoretycznie sumaryczną prędkość do 6,9 Gbit/s (czyli do 5760 Mbit/s w paśmie 5 GHz i do 1200 Mbit/s w paśmie 2,4 GHz). W naszym praktycznym teście te prędkości były mniejsze, ale przewaga technologii Wi-Fi 7 w porównaniu z routerami obsługującymi tylko Wi-Fi 6 i tak była widoczna.

10-gigabitowe porty WAN i LAN docenią nie tylko miłośnicy filmów i seriali w rozdzielczości 4K, lecz także także ci, którzy codziennie odbywają on-line konferencje wideo, oraz gracze, którzy docenią niskie czasy ping i niemalże zerowe opóźnienia (realizacja obietnicy „zero lagów" zależy niestety nie tylko od routera). Dodatkowo dostępne są trzy porty LAN o przepustowości 2,5 Gbit/s (np. na konsolę lub PC).

Konfiguracja urządzenia jest dziecinnie prosta i szybka. Bezpieczeństwo zapewnia szyfrowanie WPA3 (jest też oczywiście tryb WPA2/WPA3). Do routera można także podłączyć różne urządzenia inteligentnego domu, służące np. do sterowania oświetleniem czy ogrzewaniem (obsługiwane są jednak sprzęty wyłącznie marki Frtiz!). Przydatne jest też złącze USB 3.0, które umożliwia podłączenie do sieci domowej dysku NAS, drukarki czy skanera. Przydatne są również stabilny Mesh (urządzenie może być wykorzystywane jako repeater sygnału), oddzielna sieć wi-fi dla gości oraz kontrola rodzicielska. Producent oferuje również bezpłatne aplikacje MyFRITZ!App, FRITZ!App WLAN, FRITZ!App Smart Home.

Wady? Niestety, testowany router nie obsługuje jeszcze pasma 6 Ghz. Podobnie jest jednak w przypadku wielu, jeśli nie większości nowych urządzeń z Wi-Fi 7. Mimo to zastosowana w modelu Fritz!Box 4690 technologia Wi-Fi 7 i tak potrafi poszerzyć domową autostradę służącą do przesyłu danych, wyeliminować wąskie gardła i zapobiec przycięciom, np. podczas ważnej wideokonferencji. Cena: 1353,99 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 6f6219898c

SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Szarlotka na palonym maśle

Jest karnawał. Można zatem, a nawet należy, zaakcentować ten czas w naszym menu. Proponujemy coś prostego, a zarazem wyrafinowanego. To szarlotka na palonym maśle. Zacznijmy od tradycyjnego przepisu na kruche ciasto. Potrzebne są: zimne masło, mąka – najlepiej krupczatka, sól lub cukier oraz żółtko, jeśli chcemy, aby ciasto było bardziej związane. To wszystko. Składniki należy szybko wymieszać i zagnieść, włożyć do lodówki na minimum jedną godzinę. Ciasto po upieczeniu jest kruche, maślane i delikatne.

Jako że jesteśmy miłośniczkami szarlotki, to w naszych domach pieczemy ją od jesieni tak długo, jak tylko są dostępne jabłka odmiany szarej renety. Jabłka cieniutko obieramy ze skórki i ścieramy na tarce o grubych oczkach, potem podduszamy z dodatkiem cynamonu i soku z cytryny tak długo, aż się lekko uprażą. Do mąki zaś dodajemy roztopione, a właściwie nawet lekko przypalone masło. Dzięki temu ma ono intensywny orzechowy smak i zapach, co nadaje wyjątkowy smak szarlotce. Masło wkładamy do garnuszka. Na średnim ogniu roztapiamy je tak długo, aż na wierzchu pojawią się ciemnobrązowe plamki i zacznie ono pachnieć orzechami. Roztopione masło przekładamy do mąki, mieszamy je drewnianą łyżką, dodajemy cukier, sól i żółtko.

Ciasto zagniatamy, następnie dzielimy na dwie części – jedną wykładamy na blaszkę, wyklejamy, nakłuwamy widelcem, wstawiamy do lodówki, a drugą zawijamy i odstawiamy do zamrażalnika. Po godzinie nagrzewamy piekarnik. Wyjmujemy ciasto, przekładamy na nie jabłka, na wierzchu rozdrabniamy pozostałe ciasto, tak aby pokryło ono całość, posypujemy jeszcze brązowym cukrem. Wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 190 st. C. Pieczemy ok. 50 min.

FOT. ADOBE STOCK

Skąd pochodzi ciasto kruche? Jak większość słodkich przepisów – z Francji. Było ono podstawą wielu dań – zarówno w wersji słodkiej, jak i wytrawnej. Podawano je na stołach dworów, a także w najlepszych restauracjach. Do dziś jest najbardziej popularnym ciastem.

Przepis na szarlotkę

• 400 g mąki – najlepiej krupczatki • 120 g cukru – najlepiej brązowego • ½ łyżeczki soli • 1 żółtko • 250 g masła • jabłka: 2 kg szarej renety lub golden delicious – ważne, aby były kwaśne • 2 łyżki masła • 1 łyżeczka cynamonu • sok z cytryny. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

W com tam miał

Chory na Alzheimera bohater filmu „Ojciec" (w tytułowej roli Anthony Hopkins) przebywa u córki, w obszernym i eleganckim londyńskim mieszkaniu. Widzimy go rano, niedługo po wstaniu z łóżka, ale jest już ubrany: marynarka, świeża koszula, buty.

Jeśli na poranny zabieg albo spotkanie z opiekunką nie zdąży się ubrać, to ma narzucony na piżamę wełniany szlafrok w kolorze bordo. To strój przejściowy: chory, nawet jeśli nie ma w planie zajęć ani wyjść, w domu jest zawsze ubrany.

Stan ojca nie pozwala córce zająć się nim w domu i ostatnie sceny filmu pokazują dom opieki. Widać Hopkinsa we własnym pokoju i w towarzystwie atrakcyjnej pielęgniarki, ale już nie w marynarce i butach, tylko w rozciągniętej podkoszulce luźno wyrzuconej na spodnie. W tym, zdawałoby się, nieznaczącym aspekcie życia widać, czym jest godność człowieka i czym jej utrata.

Mego ojca zobaczyłam w piżamie dopiero wtedy, gdy już poważnie i śmiertelnie zachorował i nie wstawał z łóżka. Wcześniej widywałam go, gdy już jako emeryt, w bonżurce, koszuli, spodniach i butach siedział w fotelu z gazetą lub książką. Mieliśmy ciasne gomułkowskie mieszkanie, nie było się gdzie zaszyć w negliżu. A zresztą w jego pokoleniu było niedopuszczalne pokazywać się światu w dezabilu. W stroju niekompletnym, jak wówczas się mawiało.

Gdy w XXI w. historia przyspieszyła, pożegnaliśmy krawat, koszula staczając nierówny bój z T-shirtem, wciąż się nie poddaje. Powinna być wyprasowana, a to okoliczność dyskwalifikująca, przynajmniej dla młodszego pokolenia. Nie jestem pilną obserwatorką programów informacyjnych, ale nawet ja widzę, jak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc luzuje się strój męskich uczestników tych programów. O krawacie zapomnijmy, rozpięta przy kołnierzyku koszula jeszcze trwa, chociaż u Krzysztofa Stanowskiego prowadzący i jego goście poczynają sobie pod tym względem coraz śmielej.

Są dwa składniki garderoby, które zmiażdżyły konkurencję: T-shirt i bluza dresowa. T-shirt wykasował koszulę, bluza dresowa dokonała anihilacji swetra i zabrała się do marynarki. Niech państwo popatrzą na Roberta Mazurka, o Wojciechu Cejrowskim nie chce mi się gadać.

Przez kilka ostatnich dni będąc za granicą, poddawałam się praniu mózgu, oglądając CNN i wniosek mam jeden: dziennikarze programów informacyjnych tej stacji już odpuścili sobie zasady (dawniejszej) elegancji. Ubrałem się, w com tam miał – to ich nowe credo. Jeszcze chwila, czuję, że i u nas będzie to samo. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

PIECZEŃ RZYMSKA

O kwestii palestyńskiej

PIOTR KOWALCZUK

Włoska policja skarbowa na wniosek prokuratury w Genui aresztowała założyciela i przewodniczącego Stowarzyszenia Palestyńczyków we Włoszech Mohammada Hannouna wraz z ośmioma kompanami. Oskarżeni są o wspieranie terrorystów Hamasu, którzy 7 października 2023 r. przeprowadzili bestialski atak na Izrael. Aresztowany został pośpiesznie, bo zapewne przeczuwając, co się święci, planował błyskawiczną przeprowadzkę do Turcji.

Hannoun (63 lata) mieszka w Italii od blisko 40 lat. Ukończył architekturę. Zdaniem śledczych dzięki swojemu stowarzyszeniu, trzem fundacjom i kurierom przekazał islamskim terrorystom ponad 7 mln euro, czyli 70 proc. zebranych we Włoszech datków na pomoc Palestyńczykom. Trochę grosza skapnęło również libańskiemu Hezbollahowi.

Zarzuty znajdują potwierdzenie w dokumentach finansowych, podsłuchanych rozmowach telefonicznych i danych, które śledczy zdobyli, włamując się zdalnie do komputerów Hannouna, jego stowarzyszenia i wspólników. Przewodniczący, rozmawiając ze wspólnikiem, zwierzył się, że musi wykasować „wrażliwe" dane z komputera, bo inaczej trafi za kratki na co najmniej sześć lat za wspieranie terroryzmu. Nie zdążył.

Co więcej, podczas rewizji w biurach stowarzyszenia w Mediolanie, we Florencji i w Genui policja znalazła w skrytkach paczki z gotówką – niemal 2 mln euro. Kurierzy mieli je przekazać przedstawicielom Hamasu w Libanie. Wyszło też na jaw, że gdy Izrael po ataku 7 października zamknął granice, gotówkę dla bojówek organizacji w Gazie ukrywano w docierających do miasta urządzeniach medycznych.

Co więcej, w komputerze Hannouna znaleziono wiele zdjęć właściciela z dostojnikami Hamasu. Włoską prasę obiegła też fotka, na której jego totumfacki, niejaki Riyad Albustanji, pozuje z kałachem w ręku i flagą Hamasu wraz z sześcioma uzbrojonymi po zęby brodaczami.

Od roku Hannoun i jego organizacje znajdują się na czarnej liście amerykańskiego Departamentu Stanu jako wspierający terroryzm. Dwukrotnie (w latach 2024 i 2025) otrzymał zakaz przebywania Mediolanie za szerzenie nienawiści i zachęcanie do przemocy. Nie bacząc na to, włoska lewica w ramach solidarności z Palestyną zaprosiła go Izby Deputowanych. Podczas demonstracji propalestyńskich z dumą fetowali go i maszerowali u jego boku lewicowi burmistrzowie i burmistrzynie Mediolanu, Genui, Bolonii, Turynu, Neapolu, Bari i Florencji.

Najwyraźniej zdaniem coraz bardziej pogubionych włoskich postępowców terroryzm można wspierać, jeśli służy słusznej sprawie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

DEKAMERONKI

Coraz brzydszy uwiąd starczy

JERZY KARWELIS

Sezon na Owsiaka uważam za otwarty. Tak jak tuż po Wszystkich Świętych pojawiają się symbole cocacolowego Bożego Narodzenia, a właściwie nieokreślonej „magii świąt", tak zaraz po Nowym Roku powstaje fala Owsiakowego fejmu. Jest on dyżurnie i regularnie wywoływany przez inicjujące media, zazwyczaj w formie zaczepek zatytułowanych „No jak tam, pisowcy (wymiennie Kościół katolicki), pewnie jesteście przeciw… dzieciom i Jurasowi". Po tym następuje również dyżurny pierwszy kontratak. Ci, którzy go przypuszczają, wyraźnie na tę okazję czekają (rok?!).

Argumenty są przewidywalne do znudzenia i wręcz rytualne, każdy nowy adept wchodzi już od razu na udeptaną ziemię, jest magnesowany podziałem północ-południe, co staje się pokoleniowo pierwszym treningiem w uprawianym polskim amoku plemienności. Argumenty można cytować na pamięć, mijają się z kontrargumentami, gdyż pochodzą z innych wymiarów: te przeciw obudowane są demaskacyjnymi liczbami i kwotami, te obrończe – odwrotnie – nurzają się w emocjach, historiach o ratowanych dzieciach, wytykaniu katolom hipokryzji, bo przecież sprzęt Jurasa służy również im. Nic nie mówi się o „formacyjnym" celu przeznaczania pieniędzy „na dzieciaki", w rzeczywistości idące na rockandrollowe spędy i treningi polityczne pod pretekstem Akademii Sztuk Przepięknych. Ale to, jako się tu rzekło – rytuał.

Ważny jest pewien trend, którego nie da się chyba odwrócić, a który jest coraz bardziej powszechny. Zbiórka coraz to przesuwa się ze zbiorowego groszowego aktu idącego w miliony w kierunku marketingu celebrycko-korporacyjnego. To na Jurasie promują się duże firmy, głównie firmowi sponsorzy, to oni coraz bardziej rosną w torcie datków. A to oznacza, że widzą w tym marketingowy cel promowania się przy odruchach serca. Ale jeśli składkowicze odchodzą, to oznacza, że korporacje gonią już tylko za uciekającym wizerunkiem szlachetnej zrzutki, który staje się bardziej bytem wirtualnym niż wartością ludu konsumentów. A z tego wynika, że ten trend będzie też zamierał, jeśli zajmą się tym zawodowi przeliczacze pieniędzy na pozytywny wizerunek.

Zostaną już tylko celebryci, ci jednak „zaśpiewają nam wszystko", jak w komedii Barei. No, zostaną nam jeszcze kolejne napływowe armie zbieraczy. Tylko widok będzie kiepski – młodzi z puszkami będą ganiali za celebrytami, występującymi na imprezach, na których za pieniądze korporacji i samorządów gra się „dla dzieciaków". Całe to wcześniejsze autentyczne poruszenie uszło wraz z politycznymi romansami lidera. Nie wieszczę tu końca Orkiestry, jak inni, tylko długi i coraz brzydszy uwiąd starczy. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Kataryniarze i prawnicy

Coraz bardziej wydłuża się lista zawodów i specjalizacji zawodowych, dla których w świecie współczesnym wydaje się nie być miejsca. Nie mowa tu o dawnych, bardzo kiedyś potrzebnych i otoczonych szacunkiem specjalnościach, takich jak bednarz, kołodziej czy bartnik leśny. Ostatnie lata sprawiły, że wizja nieprzydatności zawodowej stanęła przed licznym gronem wielkomiejskich inteligentów.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Jako pierwsi zetknęli się z tym problemem uczeni znawcy zwyczajów wirusa COVID-19. Od chwili wybuchu wojny na Ukrainie ich bezcenne umiejętności okazały się do niczego już władzy ani sponsorom niepotrzebne. Najnowsze oświadczenia administracji Donalda Trumpa, głoszące, że epidemia COVID-19, jak i światowy kryzys klimatyczny były gigantycznym przewałem i pseudonaukowym humbugiem, stanowić musiały dla polskich medycznych luminarzy bolesny wstrząs. Pogłębił się on zapewne, gdy trumpowskie herezje poparli globalni dystrybutorzy grantów – pozujący na filantropów miliarderzy oraz bogate, międzynarodowe korporacje.

Do wirusologów dołączyli niebawem wykładowcy prawa konstytucyjnego. Na przestrzeni ostatnich lat okazało się, że ich ekspertyzy i opinie warte są niewiele więcej niż przewidywania chiromantów i guślarzy – spotykanych na odpustach i jarmarkach wróżbitów ludowych. Szanowni akademicy, wychowawcy pokoleń studentów nie potrafili nagle uzgodnić pomiędzy sobą podstawowych kompetencji ani nawet sposobu obsadzania konstytucyjnych urzędów publicznych. Zrozumiałe, jak do niedawna sądzono, artykuły polskiej konstytucji obrodziły taką liczbą dziur i pułapek, z jaką nie poradziłby sobie nawet wiejski „zaklinacz kretowisk" – a co dopiero profesor, konstytucjonalista.

Przed podobnymi problemami stanęli także znawcy prawa międzynarodowego. Pierwsi pozwolili sobie zniknąć badacze zjawiska i historii ludobójstw. Ze względu na tragiczną historię naszego kraju, a także naukowe dziedzictwo wykształconego w Polsce prawnika – Rafała Lemkina – było ich w Polsce niemało. Po wybuchu wojny na Ukrainie taśmowo organizowali oni konferencje, przypominające wprowadzone przez Lemkina do prawa międzynarodowego koncepcje i definicje ludobójstwa. Ich wiedza wydawała się precyzyjna i dobrze ugruntowana, poparta autentyczną pasją nazywania sprawców zbrodni i donośnym współczuciem dla ich ofiar. Wszystko to niespodziewanie zniknęło, wraz z całym gronem badaczy, gdy władze państwa Izrael w metodyczny sposób eksterminować zaczęły dziesiątki tysięcy Palestyńczyków, także kobiet i dzieci, publicznie porównując zabijanych cywili do mieszkańców starożytnej ziemi Kanaan. Znawcy ludobójstw zapadli się pod ziemię.

Kolejnym ciosem dla polskich autorytetów prawniczych okazała się „operacja specjalna" wojsk Stanów Zjednoczonych w Wenezueli. Szybko przekonaliśmy się, że definicja aktu międzynarodowej agresji nie jest dla większości utytułowanych komentatorów do końca jasna, a zbrojne porwanie prezydenta obcego kraju niekoniecznie musi nim być, jeśli porywający tak nie uważa. Przypomina to sytuację, gdyby uczony mykolog i dietetyk, pytany o skutki zjedzenia muchomora sromotnikowego lub pieczarki, odpowiadał wymijająco, że sromotniki bywają różne, a starą i nieumytą pieczarką też się można ciężko zatruć. Jakie mogą być skutki społeczne takich nauk?

Wykładających w Polsce profesorów i doktorów prawa konstytucyjnego i międzynarodowego jest co najmniej kilka setek. Czy w ramach oszczędności nie należy zlikwidować tych ewidentnie zbędnych etatów, a odzyskane środki przeznaczyć na lepsze cele? Przy postępującym rozkładzie świadomości prawnej w Polsce utrzymywanie niepotrzebnych i niepotrafiących niczego publicznie zdefiniować ani osądzić akademików i ich katedr traci sens. Równie dobrze można by na pustyniach Synaju hodować i szkolić świnie przeznaczone do szukania trufli w lesie. Żadnych trufli tam z pewnością nie znajdą, a miejscowej ludności mogą działać na nerwy. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czego nie widzą (niektórzy) katolicy?

Ależ się podekscytowałem! Zobaczyłem tytuł: „Leon XIV: świat zawsze ma swoich »Herodów«”. To o przesłaniu papieża na Niedzielę Świętej Rodziny, przypadającą w tym roku we wspomnienie Świętych Młodzianków, a więc dzieci pomordowanych w Betlejem na zlecenie króla Heroda. Wydawało mi się, że gdy przeczytam treść papieskiego przemówienia, dostanę gotowe cytaty antyaborcyjne. Wszak papież pochodzi z USA, z kraju, w którym walka chrześcijan z aborcją mocno wiąże się z tą datą.

Nic z tego. Ojcu Świętemu chodziło o „mity o sukcesie za wszelką cenę, o bezwzględnej władzy, o pustym i powierzchownym dobrobycie, i często płaci za to samotnością, rozpaczą, podziałami i konfliktami”. Tacy to owi Herodzi naszych czasów. Nie doczekałem się, do końca pierwszego kalendarzowego roku panowania Leona, potępienia największego ludobójstwa w historii. Zdaje się go nie dostrzegać.

Ale nic to! W święta przeczytałem tekst Tomasza Terlikowskiego, z grubsza o tym, jak to „maryjna złota klatka” wpływa na sposób mówienia o kobietach w Kościele, który na pierwszy rzut oka jest pełen szacunku, pochwał i religijnego splendoru, ale w praktyce ogranicza ich realną sprawczość. Chodzi głównie o władzę.

Rola kobiety w Kościele, wynikająca przecież z niezwykle sprawczej Matki Boga, aby być wielką, wcale nie musi opierać się na hierarchicznej władzy. Nie chciał tego Chrystus, władzę pozostawiając mężczyznom. Autor zdaje się tego nie dostrzegać.

Ale wszystko to nic! Tuż przed świętami przeczytałem tekst ks. Adama Bonieckiego w „Tygodniku Powszechnym”, w którym wyznał, że nie wierzy w anioły towarzyszące narodzinom Chrystusa. Nie zaskoczyło mnie to, bo przecież to nie pierwsze takie wyznanie, nie pierwsza rzecz, której ów sędziwy kapłan nie dostrzega.

Ale przeczytałem też książkę, potwierdzającą nieco inną moją intuicję, według której jako chrześcijanie z Zachodu w ogóle coraz mniej widzimy. Coraz rzadziej dostrzegamy bowiem rzeczy… niewidzialne. Nie dlatego, że przestały istnieć, lecz dlatego, że nauczyliśmy się ich nie zauważać. Świat Zachodu wytrenował się w patrzeniu tak, jakby realne było tylko to, co mierzalne, użyteczne i dające się kontrolować. Anioły, znaki, Opatrzność, sens cierpienia – wszystko to coraz częściej traktujemy jak poetyckie metafory, a nie elementy realnego, choć nieco „zaczarowanego” porządku świata.

Proces ten opisuje Rod Dreher w książce „Życie w zadziwieniu”. Według niego „zaczarowany” świat pełen aniołów, ale i bezpośrednich Bożych interwencji, znaków Opatrzności, a nie przypadków nie został „odczarowany” przez współczesne postępy nauki – ale to nasze oczy uległy uszkodzeniu. Nawołuje zatem do odzyskania zdolności pełnego widzenia rzeczywistości.

Dla współczesnej mentalności to kompromitujące. Dla chrześcijaństwa – oczywiste. Wyznajemy przecież wiarę w Boga, Stwórcę „rzeczy widzialnych i niewidzialnych”, a jednak coraz rzadziej mamy odwagę mówić o tych drugich serio.

Dreher pokazuje, że ta utrata widzenia nie jest neutralna. Prowadzi do duchowej pustki, lęku i depresji, bo człowiek pozbawiony sensu musi go wciąż produkować sam. W próżnię po Bogu wchodzą zatem substytuty: technologia, ideologie, sztuczna inteligencja, a nawet nowe mitologie UFO – obietnice transcendencji bez nawrócenia i zbawienia bez krzyża. Antychryst, jak sugeruje autor, nie przychodzi dziś z nienawiścią do religii, lecz jako jej funkcjonalny zamiennik.

Odpowiedź na taki stan rzeczy nie jest spektakularna. To powrót do liturgii, ciszy, modlitwy, piękna i pobożności, które uczą patrzeć również na świat rzeczy niewidzialnych. Do wiary przeżywanej ciałem i wyobraźnią, a nie tylko analizowanej. Do pokory wobec tajemnicy. Nie po to, by świat stał się „magiczny”, ale by znów okazał się znaczący. Bo – jak przypomina Dreher – świat nigdy nie przestał być pełen sensu. To my coraz rzadziej mamy odwagę go zobaczyć.

Gorąco polecam Państwu tę książkę jako lekturę na nowy rok, życząc, byśmy wszyscy nauczyli się widzieć pełnię rzeczywistości. I nie bali się o niej mówić. ©℗

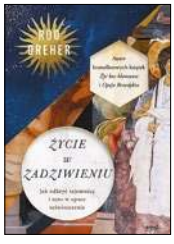

ROD DREHER „ŻYCIE W ZADZIWIENIU. JAK ODKRYĆ TAJEMNICĘ I SENS W EPOCE ZEŚWIECCZENIA” ESPRIT 2025

eprasa.pl 6f6219898c

MADURO

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Nakaz aresztowania Nicolasa Maduro wystawiono w czasach, gdy w USA rządziła ekipa Joe Bidena, czyli przeciwnicy Trumpa. Amerykańska prokuratura gromadziła materiał dowodowy od wielu lat, a Joe Biden wyznaczył nagrodę w wysokości 25 mln dol. za złapanie Maduro.

Akt oskarżenia nie dotyczy żadnych przestępstw politycznych. Maduro został zatrzymany, gdyż był (i nadal jest) szefem międzynarodowego kartelu narkotykowego. Podobnie jak był nim El Chapo – obywatel Meksyku, szef kartelu Sinaloa, który odsiaduje wyrok w USA. Wcześniej był jeszcze Manuel Noriega, dyktator Panamy. Ten ostatni prowadził przemyt narkotyków za pomocą armii, a stanowisko prezydenta w swoim kraju obsadzał ludźmi, którzy mieli mu nie przeszkadzać. Handlując narkotykami, zgromadził majątek osobisty o wartości 300 mln dol., w tym pałac na południu Francji. Amerykanie stracili cierpliwość, dokonali inwazji w Panamie, zabrali Noriegę i postawili przed sądem na Florydzie. Odsiedział kilkanaście lat, potem upomniała się o niego Francja. Tam też stanął przed sądem i swoje posiedział. W wyniku kolejnej ekstradycji trafił do Panamy, gdzie czekał na niego jeszcze jeden wyrok więzienia.

***

Ameryka ma na sumieniu usuwanie różnych niewygodnych reżimów, jednak w przypadku Noriegi, a obecnie Maduro chodzi o walkę z kartelami narkotykowymi, a nie o politykę. (Korzyści polityczne będą miłym bonusem, jeżeli się kiedyś pojawią).

Największym konsumentem kokainy na świecie są Stany Zjednoczone. Sto tysięcy zgonów rocznie i kolosalne skutki społeczne. Na żadnej wojnie nie zginęło tylu Amerykanów, ilu umiera od narkotyków. Jedni umierają szybko, inni zdychają latami. To z ich powodu Maduro trafił za kraty.

Po zatrzymaniu i osadzeniu w amerykańskim areszcie Maduro nadal jest traktowany jak osoba niewinna, bo winę trzeba dopiero udowodnić przed sądem. Maduro jako obywatel obcego państwa ma prawo kontaktować się z przedstawicielami służb konsularnych Wenezueli, a w Wenezueli władzę nadal sprawuje jego własny rząd. Trump nie dokonał przewrotu i zmiany władzy – po aresztowaniu Nicolása Maduro jego stanowisko objęła wiceprezydent, czyli stary reżim trwa.

Amerykańska operacja w Caracas była chirurgiczna. Pokaz siły i umiejętności, a jednocześnie Trump nie rozpoczął kolejnej wojny i nie obalił reżimu, choć mógł. Nie zginął ani jeden żołnierz amerykański. Po drugiej stronie ofiarami byli obywatele komunistycznej Kuby, których Maduro zatrudniał jako ochroniarzy. Swoim rodakom dyktator nie ufał.

***

Poprzednie wybory w Wenezueli zostały zmanipulowane i zrobił to reżim Maduro. Świat to wie i dlatego laureatką Pokojowej Nagrody Nobla 2025 została María Machado, przywódca wenezuelskiej opozycji. María Machado dedykowała swoją nagrodę „… prezydentowi Trumpowi za jego zdecydowane wsparcie naszej sprawy". Czyli Trump zdecydowanie wspiera wenezuelską opozycję i oni to widzą i doceniają, ale jednocześnie nie posunął się do wywołania wojny w Wenezueli i obalenia reżimu Maduro. Aresztował szefa kartelu za przestępstwa popełnione na terenie USA i na tym skończył. Do rządu w Caracas wystosował ostrzeżenie, że jeżeli przemyt narkotyków będzie kontynuowany, wówczas konsekwencje będą KOLOSALNE.

To nie jest wymiana reżimu na marionetki USA, lecz wymuszenie na istniejącym reżimie, aby zmienił swoje zachowanie. Koniec z przemytem narkotyków. Koniec z nielegalną imigracją. Wenezuela ma przyjąć z powrotem wszystkich swoich obywateli, którzy trafili do USA nielegalnie. No i ma też oddać majątek amerykańskich przedsiębiorstw skonfiskowany w ramach komunistycznej nacjonalizacji.

***

Trump w trakcie swojej pierwszej kadencji był oskarżany, że nie robi nic w kierunku usunięcia Maduro, bo sam jest dyktatorem i lubi innych dyktatorów (z Putinem na czele). Trump próbował się z Maduro dogadać i to demokratom nie pasowało. Próbował załatwić sprawę bez rozpoczynania kolejnej wojny i to nie pasowało demokratom jeszcze bardziej, bo przecież na wojnach się zarabia. Część republikanów – tych starego chowu – też lubi wojny, no chociażby środowisko byłego prezydenta George'a Busha. Jego wojna w Iraku, została zaaranżowana przez CIA, Mosad i co tam jeszcze. Saddam Husajn nie dysponował żadną bronią masowego rażenia, dowodów nie było, ale wojnę się zrobiło. Trump był gorącym przeciwnikiem wojny w Iraku i ogólnie angażowania się USA w jakiekolwiek wojny. Zawsze wolał się dogadać. Jest mistrzem dogadywania się z każdym. Wojny wygasza, bo umie negocjować nawet z dyktatorami.

Trump ma dzieci i wnuki. Na wojny patrzy poprzez liczbę trupów, a nie liczbę łupów. Życie ludzkie jest bezcenne, a zatem żaden wojenny łup nie powoduje, że wojna się opłaca.

Program wyborczy MAGA to „Żadnych nowych wojen". Liczy się siła odstraszania, czyli potencjał militarny i gospodarczy USA. Demonstracja siły, a potem negocjacje zamiast wojny. I wynik tych negocjacji ma być korzystny dla obu stron, a nie tylko dla Stanów Zjednoczonych – taka jest doktryna Trumpa.

***

Kto nie wie, jak ocenić amerykańską akcję w Wenezueli, niech patrzy na reakcję Wenezuelczyków. Jest ich wielu w USA, są w Peru, Kolumbii i wszędzie wiwatują, że dyktator został aresztowany.

Wenezuelczycy reagują tak, jakby reagowała Polska, gdyby Amerykanie porwali i postawili przed sądem Bieruta lub Jaruzelskiego. Przez kilka lat po drugiej wojnie światowej Polacy czekali na wolność, którą mieli nam przywieźć Amerykanie. W czasie stanu wojennego Polacy kibicowali działaniom Ronalda Reagana i cieszyli się z sankcji nałożonych na komunistyczne władze PRL. Gdy mnie ktoś pyta, jak oceniam aresztowanie Maduro, odpowiadam: Wenezuelczycy się cieszą, czyli dobrze. ©℗

eprasa.pl 6f6219898c

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

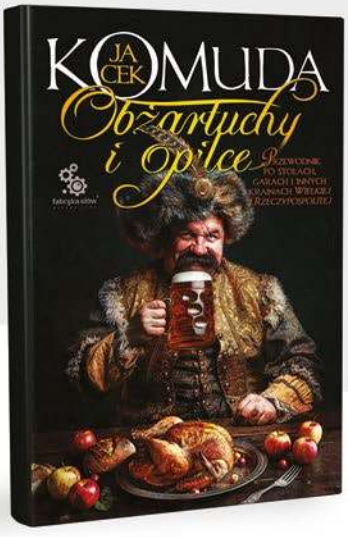

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601~~ZŁ

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 6f6219898c

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl 6f6219898c